

Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 54 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2013

Spis treści

- **Krzysztof Sadurski**
Dzieje Macieja Lecha i jego rodziny w latach 1838-1921 3
- **Tomasz Augustynowicz**
Okręgowe miasto Jakuck 25
- **Wasyli Haniewicz**
Przyczynki do historii masowych rozruchów obywateli polskich... 49
- **Ewa Rogalewska**
Zagłada dworów w województwie białostockim po roku 1939 57
- **Ewa Ziółkowska**
Coś po mnie we Lwowie zostanie 63
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Irena Świdlik**
Wspomnienie z tułaczki syberyjskiej... 67
- **Lucyna Wojno**
Tułaczka przez śniegi Syberii 72
- **Kazimierz B. Greczak**
Fatalny traf na Nowy Rok 77
- KRONIKA**
- **Edyta Justyna Kaczmarczyk**
Wyjeżdżano z bagażem pełnym planów i nadziei 81
- **Dagmara Dworak**
Drogami pamięci syberyjskiego zezłania rodziny Żukowskich 84
- **Jolanta Załączny**
Intelektualna przygoda z ogromnym ładunkiem emocjonalnym 92
- **Piotr Sobolewski**
Aby nie został zapomniany 95

Od redakcji

Rozpoczął się Nowy Rok 2013. Ten, który już jest za nami podsuwa mi myśl podziękowania za finansowe wspieranie „Zesłańca”, które zapewniło ukazanie się czterech zeszytów zaplanowanych na rok miniony. Dzieliliśmy się w nich artykułami z zakresu Syberii w historii i kulturze narodu polskiego oraz relacjami z zezłania w okresie drugiej wojny światowej, informacjami o działaniach Związku Sybiraków, z których najważniejszą był Marsz „Żywej Pamięci Polskiego Sybiru”. Obfity w recenzje był też „Regał z książkami” zapraszający do lektury publikacji zbliżających dzieje związków polsko-syberyjskich. Autorom wzbogacającym nasze czasopismo – jedyne w kraju o tematyce syberyjskiej – dziękujemy za artykuły pomnażające wiedzę o dziejach Polaków za Uralem.

W grudniu minionego roku ukazał się zeszyt poświęcony zezłańczym wigiliom na Syberii. W pamięci narratorów dzień ten był wydarzeniem szczególnym. Stanowił on czas refleksji, ożywienia wiary w Bożą opiekę, połączenia się w modlitwie z bliskimi, których los nie był dla wielu znany. Czytelnicy dziękowali redakcji za obudzenie wspomnień o tamtych zezłańczych wigiliach, które w tak dramatycznych chwilach życia na obczyźnie potwierdzały trwałość wiary, polskiej tradycji oraz tego wszystkiego co jest tak bardzo związane z Bożonarodzeniowym Świętem!

Z wieloletniej pracy redakcyjnej wynika, że nasz mit Sybiru nie jest tylko martyrologiczny. Czytelników interesuje także pozytywistyczny obraz tej ziemi. Zapraszamy więc nadal autorów do dalszych

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Kazimierz Sobolewski, *Moja droga do Polski*, Sandomierz 2011.
(Miroslaw Grudzień) 99
- Piotr Cichoracki, *Stołpce-Łowcza-Łeśna 1924. II Rzeczpospolita wobec najpoważniejszych incydentów zbrojnych...*, Łomianki.
(Tomasz Dudek) 105
- Krzysztof Walaszczyk, *Środkowy Wschód w latach II wojny światowej. Relacje i działania polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Iranie, Iraku i Afganistanie*, Toruń 2012.
(Tomasz Dudek) 107
- Stefania Skowron-Markowska, *Z Oksfordu na Syberię. Dziedzictwo naukowe Marii Antoniny Czaplickiej*, Wrocław 2012
(Antoni Przesmycki) 110

Na okładce: Symboliczna mogiła polskich zesłańców na cmentarzu w Bijuksu z napisem: „Pamięci Polaków – zesłańców i ofiar represji stalinowskich, których prochy spoczywają na Altaju. Gdzie są ich groby Polsko. Gdzie ich nie ma! Ty wiesz najlepiej i Bóg wie na Niebie.” Fot. Agnieszka Kaniewska (s. 1); Bajkał – skała „Szamanka”. Fot. Dagmara Dworak (s. 4).

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nacz.), S. Sikorski,
P. Zworski
Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

kontaktów i obiecujemy, że sprawy naszego dziedzictwa syberyjskiego są wciąż jednym z ważniejszych tematów, które będziemy kontynuować. W ten nurt badawczy włączają się także historycy rosyjscy, zwłaszcza z syberyjskiej części Rosji, a niektórzy z nich świadomi są swoich odległych polskich korzeni. Otwieramy więc dla nich łamy „Zesłańca” i dziękujemy za ubogacanie jego tematyki kolejnymi tekstami.

Naszkicowany tu obraz tematów jest niezmiernie złożony, bo wiele przecież łączyło Polaków z Syberią i składa się to na wielowątkowy katalog pojęć i dobrze, że powracają one przy okazji rocznicowych obchodów, jak np. ma to obecnie miejsce z okazji 150-tej rocznicy Powstania Styczniowego! Oczywiście są to niezmiernie obszerne zagadnienia, niemożliwe na pełniejsze ich zobrazowanie na łamach „Zesłańca”, bywa jednak nieraz i tak, że postulowane przez nas tematy podejmowane są w pełniejszych kontekstach przez historyków oraz stanowią temat polsko-rosyjskich konferencji naukowych organizowanych przez polskie stowarzyszenia kulturalno-oświatowe na Syberii – Irkuck, Jakuck, Jużno-Sachalińsk, Krasnojarsk, Nowosybirsk, Omsk, Tomsk.

Ze smutkiem odnoszę się do ograniczania ilości godzin nauki historii w szkołach. Fakt ten oddala obraz losów wspaniałych postaci ukazywanych na łamach „Zesłańca”, wspomnienia zesłańczego losu, patriotyczne tradycje czy dumę z polskości. Wiele jest pomnikowych postaci, których nie załamała ani carska, ani sowiecka przemoc, syberyjskie deportacje i dramatyczne przeżycia tam za Uralem. Im się należy pamięć oraz miejsce w naszej historii.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

KRZYSZTOF SADURSKI

**DZIEJE MACIEJA LECHA I JEGO RODZINY
W LATACH 1838-1921**

Umarłych wieczność dotąd trwa,
Dokąd pamięcią im się płaci.

Wisława Szymborska

Syberia to jedno z pierwszych słów, jakie pamiętam z mojego dzieciństwa. Słyszałem je od najbliższych, dalekich kuzynów i przyjaciół rodziny. Pojawiało się nieomal przy każdej okazji. Z czasem zdałem sobie sprawę, jak wiele znaczyła Syberia dla mojej rodziny. Zesłańcami byli mój prapradziadek i dwóch pradiadków. Na Syberii urodziło się, pracowało i mieszkało kilkadziesiąt osób z naszej rodziny. I co najsmutniejsze, pozostało tam wiele grobów, po których nie ma dziś żadnego śladu.

Przy okazji spotkań babcia i dziadek opowiadali o przodkach, Syberii, Irkucku, wojnie rosyjsko-japońskiej i rewolucji. Babcia mówiła ze wschodnim akcentem, dziadek opowiadając jakieś zdarzenia – chwilami przechodził na rosyjski. Używał tytułów i zwrotów, które z racji swej anachroniczności, mnie małego chłopca, śmieszyły. Wszystko to, co przeżyli i zobaczyli, było inne od otaczającej mnie rzeczywistości, chwilami straszne i przerażające, z drugiej strony nadzwyczaj ekscytujące.

Widziałem ich oczami Syberię, białą zimą, bajecznie kolorową latem. Angarę, w której odbijały się kopuły pokrytych złotem cerkwi. Wyobrażałem sobie, że na początku zimy stoję nad jej brzegami i patrzę, jak na oczach widzów zamarza. Chodziłem po drewnianych irkuckich chodnikach, mijając „polski kościół”, „Biały Dom”. Stawałem przed monumentalnym gmachem teatru. Widziałem jaśniejące jego wnętrze, do którego wchodziły pięknie ubrane panie i panowie. Wszędzie mężczyźni w mundurach, brodaci popi. Jakże chciałem tak jak oni, jechać koleją transsyberyjską czy płynąć parowcem po Pacyfiku. Myślałem o przodkach, którzy walczyli z Rosjanami, a później w kajdanach przemierzali tysiące wiorst, jak mówił dziadek, w drodze na zesłanie.

Niejako kontynuacją słuchania opowieści moich dziadków było czytanie opowiadań Antoniego Czechowa, którego „odkryłem” po ich śmierci. Już jako młody człowiek posiadałem dużo wiadomości o Rosji, których jednak nie miałem komu przekazywać. W czasach szkolnych mówienie o XIX i XX-wiecznych zesłańcach nie było dobrze widziane. Kiedy przy okazji omawiania lektur Żeromskiego powiedziałem o moim pradiadku – powstańcu styczniowym, reakcja nauczycielki była na tyle niesympatyczna, że przez długie lata nie

wracałem do tego tematu. Zasłyszane, lecz nie zapisane fakty z biegiem czasu uległy zatarciu. Stopniowo też odchodzili ludzie pamiętający Syberię. Ulegały zniszczeniu lub rozproszeniu nieliczne pozostałe dokumenty i fotografie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. pojechaliśmy z żoną do Kijowa. Z okiem pociągu patrzyłem na stojące w oddali malutkie domki, pastuchów w kozuchach pasących bydło, babcie na peronach stacji sprzedające towary. Byliśmy w Pieczerskiej Ławrze, gdzie przetrzymywano przed wywozem na Syberię powstańca Macieja Lecha i setki jego towarzyszy walki. Sceneria odpowiadała obrazom sprzed 100 lat. Wróciły rodzinne wspomnienia i opowieści. To przecież w Trypolu, 40 kilometrów od Kijowa mieszkał dziesięć pokoleń wcześniej mój daleki przodek Jan Trypolski.

Zaraz po powrocie z Ukrainy, wraz z moim tatą, postanowiliśmy spisać historię rodziny. Powodem, dla którego podjęliśmy się tego nadzwyczaj trudnego zadania, o czym dopiero później miałem okazję się przekonać była chęć przywrócenia pamięci o ludziach, którzy pozostali na bezkresnych terenach Rosji. Była to ostatnia chwila, aby zidentyfikować osoby na nielicznych zachowanych fotografiach. Żyli bowiem jeszcze ostatni krewni, którzy urodzili się w Irkucku.

Historia rodziny Lechów odtworzona została na podstawie wspomnień Anny i Jana Sadurskich, ich dzieci Joanny Sadalskiej, Albiny Jarmołowicz, Zdzisława, Leonarda, Jerzego oraz dokumentów będących w moim posiadaniu. Wiele lat później otrzymałem z archiwów w Irkucku i Żytomierzu oraz Muzeum w Pietropawłowsku Kamczackim¹ kserokopie licznych dokumentów, które nie tylko potwierdziły prawdziwość opisanych faktów, ale i wniosły wiele nowych informacji o ludziach, którzy przewinęli się przez irkuckie domy rodziny Lechów i Sadurskich. Szczególnie interesujące jest bogate archiwum domowe Stanisława Lecha – syna Macieja znajdujące się w Kamczackim Krajowym Muzeum, który pozostawił po sobie wiele fotografii i dokumentów, w tym aż 27 listów od rodziców i rodzeństwa. Ale o tym dowiedziałem się dopiero na początku 2012 roku. Wszystkie prezentowane zdjęcia z okresu pobytu rodziny w Rosji były własnością Macieja Lecha i mojej babci Anny Sadurskiej.

Rozpoczynając pracę nad historią rodziny nie sądziłem, że kiedykolwiek o jej członkach będę mógł przeczytać w innych aniżeli moje opracowaniach. A tak się stało. O Franciszku Brydyckim – bracie mojej prababki napisał wielki człowiek wyniesiony na ołtarze przez papieża Jana Pawła II Rafał Kalinowski², zdjęcie i biografię mojego pradziadka Macieja Lecha opublikowało Muzeum Historyczne m. st. Warszawy³, a o jego synu Stanisławie Lechu napisano na dalekiej Kamczatce⁴.

Pierwszy okres życia Macieja Lecha

Mój pradziadek – **Maciej Lech s. Teodora i Marii** (?) urodził się w 1838 r. w Gorbaczach w guberni żytomierskiej, w powiecie owruckim. Ochrzczony

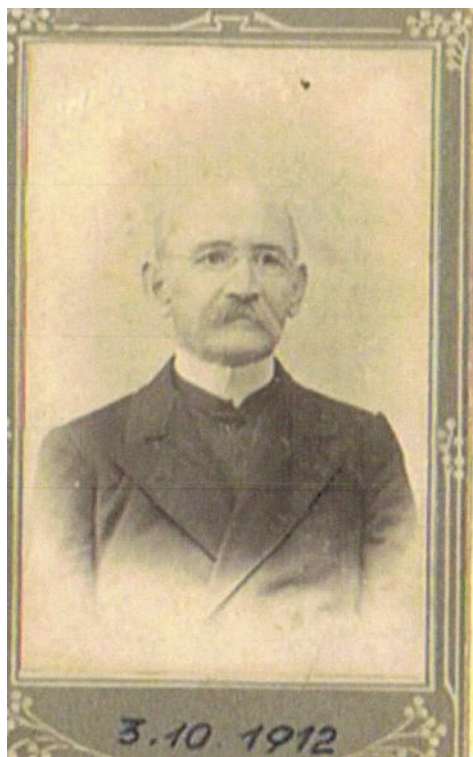
¹ S.W. Gawriłow, *Naczelnik ujezda. Kraewiedczeskije zapiski*, „Kamczackij Krajowej Objediniennyj Muziej” 2011.

² O. Cz. Gil OCD, *Ojciec Rafał Kalinowski*, Kraków 1984, s. 112.; A. i R. Młynikowie, *Na drodze do świętości Rafał Kalinowski powstaniec 1863 i karmelita bosy*, Lublin 2008, s. 224.

³ *Powstanie styczniowe i zesłańcy syberyjscy*, cz. II, oprac. Elżbieta Kamińska, Warszawa 2005, s. 315.

⁴ S.W. Gawriłow, op. cit.

został w kościele pod wezwaniem św. Tekli w Narodyczach. Pełnej informacji na temat rodziny dostarcza „Rodowód i potwierdzenie pochodzenia szlacheckiego”, gdzie pod numerem 439 znajduje rodzina Lechów. Spis szlachty z 2 stycznia 1861 r. wymienia **Teodora, syna Michała** mojego prapradziadka urodzonego w 1799 r., z synami Michałem i Maciejem oraz jego brata – Józefa urodzonego 1816 r., z synami Pawłem i Janem⁵. Michał Lech był synem Stanisława, którego ojcem był Stefan. Z kolei ojcem Stefana był Antoni Lech, żonaty z córką Jana Trypolskiego, herbu Gozdawa. Lechowie legitymowali się herbem Dołęga.



Maciej Lech (1838-1921)

O latach dzieciństwa i młodości Macieja wiadomo tylko tyle, że mieszkał wraz z bratem i ojcem w Gorbaczach w powiecie owruckim. Podobnie jak większość okolicznej młodzieży szlacheckiej Maciej uczestniczył w 1863 r. w ruchu spiskowym i walkach powstańczych, na rodzimym Wołyniu. W dniu 5 maja 1863 r. owruckie ugrupowanie wojsk powstańczych, w którym się znajdował toczyło walki z rosyjskim oddziałem Kriemienczuńskiego Pułku Piechoty. Raniony nie zdołał się ukryć. Został wzięty do niewoli i osadzony w nieodległym od miejsca zamieszkania miejskim więzieniu w Owruczu. Jest wymieniony pod poz. 10 w wykazie 32 powstańców polskich aresztowanych i przetrzymywanych za przestępstwa polityczne w szpitalu przy tym więzieniu do 1 lipca 1863 roku⁶. Wśród osadzonych w tym więzieniu byli między innymi:

⁵ Dierżawnyj Archiw Żytomirskoj Obłasti, fond 146, op.1, spr. 3411, ark. 89.

⁶ Dierżawnyj Archiw Żytomirskoj Obłasti – Wykaz przestępców politycznych i podejrzanych przetrzymywanych w więzieniu w Owruczu od 1. 05.-1. 06. 1863 r.

Aleksander Pawsza, s. Adama, Ksawery Baranowski, s. Piotra, Stanisław Wiszniewski, s. Jana, Dominik Baranowski, Franciszek Rabsztyński, s. Andrzeja, Nestor Kaleński. Przesłuchiwany był przez kierownika policji powiatu owruckiego. Następnie przewieziono go do Kijowa, gdzie został osądzony. Karą za udział w powstaniu było 5 lat ciężkich robót na Syberii.

Nieznana jest jego droga na Syberię, wiadomo jedynie, że przebył ją ostatkiem sił – być może doskwierały mu nie do końca wyleczone rany. Po przybyciu do katorgi nerczyńskiej został skierowany do kopalni Ałgacz. W 1868 r. na mocy ukazu carskiego został podobnie jak wielu zesłańców uwolniony, jednak bez możliwości powrotu w rodzinne strony. Osiedlił się w Irkucku. Tu poznał Helenę – córkę Paszkiewicza, powstańca listopadowego, który przebywał w Irkucku pod przybranym nazwiskiem Antoniego Brydyckiego.



Helena i Maciej Lech. Irkuck, 21. VII. 1881 r.

Rodzina Paszkiewiczów

Z Syberią nasza rodzina wiązała swe życie od lat trzydziestych XIX wieku. Jako zesłaniec trafił tu po powstaniu listopadowym mój prapradziadek Paszkiewicz pod przybranym nazwiskiem Antoniego Brydyckiego. Nie posiadam praktycznie żadnych informacji o tej rodzinie ani też o nim samym.⁷ Tajemnicę swego życia przekazywał on swoim dzieciom dopiero wtedy, gdy stały się na tyle dorosłe, że nie zachodziła obawa, że ją nieświadomie zdradzą. Tak samo postąpiono z wnukami, w tym z moją babką – Anną Sadurską, której historię dziadka opowiedziano gdy już była dorastającą panienką.



Z tyłu domu. Irkuck – 22. 08. 1910 r.
Rodzina Lechów w środku Maciej, obok niego z prawej strony żona Helena,
z lewej córka Anna Sadurska. Z tyłu stoi od lewej Jan Sadurski

Z jej wspomnień wiadomo tylko, że Paszkiewicz pochodzący z rodziny szlacheckiej z Wołynia (nie znamy jego imienia) w stopniu pułkownika walczył w powstaniu listopadowym. Został wzięty do niewoli i skazany na karę śmierci. W więzieniu przebywał w jednej celi razem z innym powstańcem, ciężko rannym Antonim Brydyckim. Ten czując, że jego chwile są policzone zaproponował współwięźniowi zamianę dokumentów. Dla Paszkiewicza była to jedyna szansa na uratowania życia, zgodził się więc na propozycję. Pod nazwiskiem Antoniego Brydyckiego – Paszkiewicz trafił na zesłanie na Syberię. Dał począ-

⁷ W różnego rodzaju publikacjach, m.in. J. Kaczkowski, *Konfiskaty na ziemiach polskich 1831 i 1863*, Warszawa 1918 wymienia się następujących powstańców listopadowych o nazwisku Paszkiewicz: Władysław, Szymon, Józef, Stefan, Michał, Felicjan, Teofil, Karol.

tek „nowej” rodzinie Brydyckich. Nie wiadomo, w którym roku znalazł się w Irkucku, gdzie i kiedy wziął ślub z Julianną Lachowską. Wpisany został do księgi mieszczan Irkucka. Wiadomo, że miał pięcioro dzieci, bo na liście parafian polskiego kościoła w Irkucku z 1878 roku wymieniona została cała rodzina Brydyckich:⁸

1. Antoni, lat 63 – mąż (nie jest znana prawdziwa data urodzin, był znacznie starszy); **2. Julianna**, lat 48 – żona; **3. Helena**, lat 24 – córka; **4. Mikołaj**, lat 26 – syn; **5. Józef**, lat 23 – syn; **6. Antoni**, lat 29 – syn; ożenił się 7. X. 1879 r. z pochodzącą ze stanu włościańskiego Elżbietą Kowalewską. Mieli co najmniej troje dzieci: Władysław, ur. 1881 r. zmarł wkrótce po urodzeniu; Stanisław – ur. 1882 r.; Zofia ur. 1885 r.; **7. Franciszek**, lat 18 – syn. Najmłodszego z rodzeństwa Brydyckich, szczególnie silne więzi łączyły z siostrą Heleną. Był na jej ślubie może i świadkiem? Na dokumentach sprzed zawarcia małżeństwa figuruje podpis Franciszka Brydyckiego, czy jest to podpis jedenastoletka, czy może proboszcza? Siostra wybrała go również na ojca chrzestnego jej trojga dzieci: Józefa, Tekli i Kacpra. Franciszek podjął studia na uniwersytecie w Kazaniu. W latach późniejszych przyjeżdżał wielokrotnie do Irkucka.

Daty śmierci Antoniego i Julianny Brydyckich nie udało mi się ustalić. Zmarli po 1878 r. Po rewolucji z całą rodziną Brydyckich moja babcia utraciła kontakt. Są to wszystkie wiadomości jakie posiadam.

Szukałem śladów rodziny Brydyckich poza Irkuckiem, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o wybawcy Paszkiewicza, miałem nadzieję, że przy okazji odnajdę też informacje o nim samym. W XIX i pierwszej połowie XX wieku znalazłem tylko dwóch Brydyckich: ojca Bartłomieja Brydyckiego, który w latach 1835-1864 był przeorem Klasztoru Karmelitów Bosych w Głębokiem (obecnie Białoruś) i księdza Jana Brydyckiego ur. 1872 r. zmarłego 1937 r. na terenie ZSRR. Prawdopodobnie nie dowiem się więc, kim był prawdziwy Antoni Brydycki, którego szlachetna postawa uratowała życie mojemu prapradziadkowi, ani też z jakiej rodziny pochodził. Obecnie w Polsce nie ma osób noszących to nazwisko.

Małżeństwo zesłańca

18 maja 1871 r. w Irkucku Maciej Lech i Helena Brydycka zawarli związek małżeński. Ślubu udzielił im ksiądz Krzysztof Szwernicki. Uroczystości odbyły się w Irkucku, w drewnianym kościele, który później spłonął w wyniku wielkiego pożaru miasta w 1879 r. Uczestniczyło w nim wielu zesłańców, towarzyszy niedoli Macieja. Na ślubie wraz z bratem panny młodej, Franciszkiem, pojawił się zesłaniec Józef Kalinowski, późniejszy święty znany pod imieniem Rafała Kalinowskiego. Małżonków dzieliła różnica wieku osiemnastu lat. Nie było to niczym wyjątkowym wśród zesłańców, którzy w tych latach żenili się z kobietami znacznie młodszymi od siebie. Przeważały małżeństwa gdzie różnice znajdowały się w przedziale od 10-20 lat, ale były i większe⁹.

⁸ Państwowe Archiwum Irkuckiego Obwodu w Irkucku, fond 297, op.1, d. 91 s. 54.

⁹ M. R. Nowosiółowa, B. S. Szostakowicz, *Braki irkuckich katolików (po dokumentalnym istocznikam 1870-1890-ch godow)*, [w:] *Rossija i Wostok wzglad iz Sibiri. Materialy i tezisy dokładow k XI Miedzunarodnoj nauczno-prakticzeskoj konferenciji. Irkutsk, 13-16 maja 1998 g.*, t. 1, Irkutsk 1998, s. 216.

Irkuck był dla Macieja Lecha metropolią w porównaniu z prowincjonalnymi, biednymi Narodyczami i Owróczem, z których okolic się wywodził. Tu na Syberii miał szansę na nowe życie, z czego skwapliwie skorzystał. Nie miał zresztą innego wyboru, gdyż zwolnienie z katorgi warunkowane było dalszym pobylem na Syberii. Sposobem na zarabianie pieniędzy stało się dla Macieja założenie warsztatu mechanicznego, w którym reperowano między innymi maszyny do szycia i do pisania. Zdolności do mechaniki odkrył w sobie w czasie katorgi, gdzie w kopalni podejmował się napraw urządzeń technicznych. Przewodzenie zakładu pozwalało na dostanie życie coraz liczniejszej rodziny. Urodziło się im czternaścioro dzieci, z których czworo zmarło w dzieciństwie. Małżonkowie kupili w Irkucku przy ulicy Arsenalskiej 3 dom, zbudowany z potężnych bali drewnianych, zdobiony nad oknami i drzwiami bogatą ornamentyką¹⁰.

Ogromne znaczenie Maciej przywiązywał do wychowania dzieci. Wszystkie do 11 roku życia wiedzę zdobywały w domu, do którego przychodzili nauczyciele. Uczyli nie tylko przedmiotów, które obowiązywały na egzaminie wstępnym do gimnazjum, ale także muzyki i języków. Moja babka znała biegle język francuski. Wszystkie dzieci były uzdolnione muzycznie, śpiewały, grały na pianinie. Śpiewały również w chórze kościelnym. Możemy na fragmencie listu Adelajdy do brata Stanisława wyobrazić sobie wieczory w domu Lechów: „My teraz każdy wieczór śpiewamy ja i Cesia, a Tecia gra. Ja bardzo lubię śpiewać... Andzia z Helu ciągle bawią się”¹¹.

Wszystkie dzieci skończyły gimnazjum. Chłopcy, z wyjątkiem Ludwika, który ukończył Gimnazjum Klasyczne i podjął studia, poszli do szkół wojskowych. Dbano też o podtrzymywanie polskości. W tym języku rozmawiano ze sobą, a także pisano, choć z błędami. Prababka miała w domu dość znaczną bibliotekę książek polskich, których czytanie było obowiązkiem wszystkich dzieci. Książki sprowadzano z Warszawy z Wydawnictwa Gebethnera i Wolfa. Moja babka z chwilą zamążpójścia również zaczęła tworzyć własną bibliotekę. Jak wielką wagę przywiązywano w rodzinie do książek świadczy fakt, że w kufrach wśród najpotrzebniejszych rzeczy zabieranych z Irkucka znalazły się między innymi polskie wydania Juliusza Słowackiego i Adama Mickiewicza.

Mój pradziadek był człowiekiem bardzo towarzyskim, przez wszystkich lubianym. Wśród przyjaciół rodziny było wielu mieszkańców Irkucka i okolic, w tym także Rosjan. Poznawaniu nowych osób sprzyjało nie tylko prowadzenie zakładu mechanicznego świadczącego usługi dla ludności, ale i przede wszystkim aktywne włączenie się w nurt życia towarzyskiego. Na podwórzu domu, w altanie, którą w okresie letnim oplatały gałęzie krzewu podobnego do winorośli, często odpoczywała liczna rodzina i spotykali się znajomi. Główne miejsce na stole zajmował samowar, który dostarczał wrzątku wystarczającego dla dużej liczby gości. Podstawowym napojem była herbata, którą pito jak opowiadał mój dziadek – „na prikusku” tzn. trzymając w ustach kawałek cukru. Był on kupowany na wagę; w funtach, w „głowach”, czyli w dużych kawałkach, które później rozdrabniano.

¹⁰ Państwowe Archiwum Irkuckiego Obwodu w Irkucku, GAIO, fond 297, dzieło 202, 1, s. 12. Wykaz parafian Irkuckiego kościoła: poz. 555 Maciej Teodorowicz Lech, szlachcic, zam. Irkuck, Arsenalska 3; poz. 556; Helena Antonowna Lech, szlachcianka, zam. Irkuck, Arsenalskaja 3.

¹¹ S.W. Gawriłow, op. cit., s.156.

We wspomnieniach mojej babci oprócz brata stryjecznego jej ojca – Jana s. Józefa, nie pojawiał się nikt z rodziny Lechów. Nie wiadomo, czy bracia utrzymywali ze sobą kontakt korespondencyjny czy też Jan przyjeżdżał do Irkucka. Nie byłoby to dziwne, gdyż z podlubelskiej Końskowoli do Irkucka przyjeżdżało rodzeństwo mojego dziadka Jana Sadurskiego.

Maciej i Helena utrzymywali kontakty towarzyskie z wieloma z zesłańców, których życiorysy i zdjęcia zostały zamieszczone w publikacji Muzeum Historycznego w Warszawie¹². Do osób tych należeli: Romuald i Justyna Plionkowsy, Władysław i Matylda Sochaccy, Antoni Jutkiewicz, Julij Dalesko, Mirosław i Leokadia Tarasiewicz, Marianna Drzewińska, Henryk i Elżbieta Jankowsy. Wszyscy oni byli rodzicami chrzestnymi dzieci Lechów. Jednym z częstych gości Lechów był pochodzący z tego samego powiatu (owruckiego) co Maciej – Stanisław Wiszniewski, szlachcic, student Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie. Odznaczał się niezwykłą siłą fizyczną. Wraz Maciejem walczyli w tym samym oddziale¹³, obydwaj byli ranni w walce i przebywali w tym samym więzieniu w Owrczu. W 1877 r. został on ojcem chrzestnym córki Lechów – Tekli Jadwigi. Najwięcej moja babcia wspominała przyjaciółkę matki – Annę Rozen, w naszej rodzinie mówiono o niej baronowa Róża. Jej ojciec – baron G. W. Rozen – był znanym w Irkucku architektem. Zaprojektował w tym mieście między innymi budynki kościoła luterańskiego, Muzeum Geograficznego, a także wielu cerkwi. Przyjaźniono się z rodziną Melinów¹⁴. W rodzinie mówiono o niej jakimś Klemensie – przyjacielem pradziadka, zapamiętałem to imię, gdyż kojarzyło mi się z kredensem. Razem z żoną byli chrzestnymi Adama Lecha, a jego żona Helena – Stanisława. Klemens zesłany został wraz całą rodziną na zamieszkanie we Wschodniej Syberii. Przebywał w Usolu i Irkucku, gdzie pracował (wraz z dwoma synami) jako rzemieślnik – rzeźbiarz. Zmarł nagłą śmiercią. Jaworowsy to kolejna rodzina zesłańców. Matka chrzestna Kacpra – Wiktoria z domu Ferynich była Włoszką. Wyszła za mąż za Kazimierza Jaworowskiego – lekarza, który katorgę odbywał w okręgu nerczyńskim, być może stąd znał Macieja Lecha? Jaworowski był ordynatorem szpitala w Irkucku. W 1886 r. opuścił Syberię.¹⁵ Zaprzyjaźniony z rodziną był Józef Minkiewicz, wcześniej student Uniwersytetu Kijowskiego. Pochodził z Grodzieńszczyzny. Odbywał karę zesłania w Mohylewie. Po jej odbyciu, na osiedleniu ożenił się z Romaną – córką Józefa Ciesielskiego, zesłańca, który prowadził hotel i restaurację w Irkucku. Minkiewicz zajmował się handlem, pracował u J. Szlenkiera w sklepie z towarami warszawskimi. Minkiewicz popełnił samobójstwo. Pozostawił troje dzieci, syn mieszkał na Syberii, był inżynierem¹⁶. Romana Minkiewicz była matką chrzestną Celestyny.

Zawsze zastanawiałem się jakim faktycznie miastem był Irkuck. Z częstych opowiadań rodziny jawił się jako wielkie, bogate miasto tętniące życiem. Babcia opowiadała o restauracjach i kawiarniach, balach, wystawach, przedstawieniach teatralnych czy spotkaniach towarzyskich, gdzie bywali jej rodzice, często również z dorastającymi dziećmi. Młode panienki szczególnie chętnie

¹² *Powstanie styczniowe...*, op. cit.

¹³ *Dierżawnyj Archiw Żytomirskoj Obłasti. Wykaz...*, op. cit.

¹⁴ *Powstanie styczniowe...*, op. cit., s. 224.

¹⁵ *Ibidem*, s. 299.

¹⁶ *Ibidem*, s. 315.

chodziły na bale organizowane w irkuckiej Szkole Kadetów. Była to szansa na poznanie kawalerów. Może w ten sposób najmłodsza z córek – Bronisława poznała swego przyszłego męża? Szczególnym wydarzeniem były premiery teatralne, na które przywdziewano odświętne ubrania i do Teatru Miejskiego udawano się dorożką. Repertuar teatrów Irkucka był bogaty, oprócz wspomnianego Teatru Miejskiego były jeszcze inne sceny. W sezonie teatralnym, który obejmował okres od sierpnia do początku Wielkiego postu, grano od 140-200 spektakli. Na przykład w gazecie „Sibir” z 1 stycznia 1910 r. zapraszano na „Halkę” Moniuszki i „Toskę” Pucciniego. Ceny biletów wynosiły od 23 kopiejek za miejsce na galerii do 10 rubli w łoży¹⁷.

Latem spacerowano po parku miejskim, jak pamiętam z opowieści bardzo ładnie urządzonego i utrzymanego. Niewątpliwą atrakcją były koncerty orkiestr wojskowych. Wyjście do parku dla pań było okazją do zaprezentowania nowych strojów sprowadzanych z Warszawy. Powodem do dumy, i odczucia pewnej wyższości był fakt, że Rosjanki naśladowały w sposobie ubioru nasze rodaczki. Polki w tym moja prababka, jak i jej córki, zamawiały suknie i kapelusze w Magazynie Warszawskim, znajdującym się na głównej ulicy Irkucka – Balszaj. Sklep ten prowadził sprzedaż towarów produkowanych w Warszawie. Pozostał we wspomnieniach rodzinnych nie tylko z racji udanych i częstych zakupów, ale też z powodu, że pracował w nim przyjaciel rodziny Józef Minkiewicz. Jako dziecko śmiałem się z opowiadań dziadka o drewnianych chodnikach, sądząc, że żartuje ze mnie. Dopiero teraz, czytając gazety z tamtych lat i oglądając zdjęcia dowiedziałem się o problemach mieszkańców w poruszaniu się po mieście w okresie roztopów. Z niedowierzaniem słuchałem jego opowieści o bogatych wystawach sklepów, które kusily atrakcyjnymi towarami.

Te opowiadania potwierdza lektura gazet irkuckich. „Wschodni kraj” z 2 lipca 1906 r. zachęcał do zakupu kaukaskich koniaków, zagęszczonego mleka marki Nestle, napoju dla wszystkich – Herkules, farby do włosów, zapachowego mydła. „Nasza Myśl” z 16 marca 1911 r. zachęcała do zakupu owoców cytrusowych, gorsetów, obuwia, odzieży, rowerów, mebli, dywanów i szeregu innych towarów. W czasach, gdy o tym mi opowiadał mój dziadek – lata 60-te XX wieku – towarów Polsce praktycznie niedostępnych. Ta sama gazeta na pierwszej stronie zamieszczała reklamę hotelu i restauracji „Metropol”, zapraszającego do nowo otwartego baru amerykańskiego, w którym w porze obiadowej od godziny 2 do 5 i wieczorem od godz. 10 do 3 w nocy grała damska orkiestra. W takim dużym i nowoczesnym mieście toczyło się życie naszej rodziny.

Wszyscy członkowie rodziny Lechów byli bardzo zżyci ze sobą, nawzajem sobie pomagali. Kiedy dzieci wchodziły w dorosłe życie i zmieniały miejsce zamieszkania, przychodził czas na korespondowanie z rodzicami, rodzeństwem. Wysyłano sobie zdjęcia, informowano o wydarzeniach dnia codziennego. Wzruszający jest list małego Ludwika do dorosłego brata Stanisława:¹⁸ „Kochany Braciszku ja ciebie ciągle spominam wysuszyłem na piecu mydełka i teras im myje się jak wstanę to sam ubieram się jak zmówie pacierz napisz”

¹⁷ G.W. Ogłiezniewa, *Irkuckij teatr i zritieli: iz istorii wzaimotnoszenij, Materialy dokładow i soobszczenij, diakabr 1997*, Irkuckij Gosudarstwiennoj Pedagogiczeskij Uniwersitet, Irkuck 1998, s. 58.

¹⁸ S.W. Gawriłow, op. cit., s. 156

Dorośle córki, które założyły rodziny często odwiedzały swoich rodziców. Silne więzi łączyły rodzeństwo. Kiedy najstarszy syn – Stanisław, przeniósł się do Pietropawłowska Kamczackiego, chętnie zapraszał do siebie całą rodzinę. Mimo, że Pietropawłowsk od Irkucka dzieliło 4500 km, wszyscy chętnie korzystali z gościny Stanisława. Miał duży dom. Rodzinie zapewniał również zwiedzanie Kamczatki, zabierając ją ze sobą w czasie podróży służbowych. W pamięci wszystkich pozostał jego ogród, w którym spędzano latem czas na wypoczynku. Kamczatkę i jej okolice, a także wybrzeże Morza Japońskiego zwiedziła ze swym bratem – jeszcze jako panienka – moja babka Anna. Pamiątką z jej pobytu w tak odległym zakątku Rosji są dwie muszle. Przywiozła je do Polski. Jako dziecko przykładałem je do uszu i słuchałem odgłosów morza. W ten sposób i ja trafiałem na Kamczatkę.

Pierwszym wydarzeniem zmieniającym ustabilizowane życie rodziny była śmierć Heleny Lech. Zmarła ona 4 marca 1911 r. w wieku 57 lat na skutek wylewu krwi do mózgu. Tego dnia czuła się wyśmienicie, wybierała się z mężem na imieniny do znajomego o imieniu Kazimierz. Nagle upadła i nie odzyskując przytomności zmarła. Pochowana została na katolickim Cmentarzu Jerozolimskim w Irkucku. Pozostawiła dwóch nieletnich synów (10, 14 lat) Henryka i Wiktora. 75-letni Maciej, mimo dobrego stanu zdrowia, nie mógł im zapewnić właściwej opieki. Tego podjęła się córka – Anna Sadurska wraz mężem. Z czasem chłopcy poszli wzorem najstarszego brata – do szkoły kadetów w Irkucku. Dalej toczyło się spokojne, dostatnie życie. Wydawało się, że przyszłość rysuje się jasno. Niestety, wybuch wojny i później rewolucji zniweczyły wszystkie plany. W całej rodzinie, za wyjątkiem Macieja Lecha oraz Jana Sadurskiego, który dzięki pracy na kolei nie podlegał mobilizacji, do wojska powołano wszystkich mężczyzn. Wkrótce przepadły oszczędności ulokowane w obligacjach państwowych, które miały dawać 4 procent stałego dochodu przez 10 lat, a w przyszłości stanowić kapitał założycielski rodzinnego banku. Nowa władza zaczęła wprowadzać nowe pieniądze. Niestabilne rządy powodowały, że pieniądze z dnia na dzień traciły wartość. Wprowadzano nowe banknoty, które zastępowały wcześniej obowiązujące. Trudy codzienności wzmagała obawa o życie. Wraz z postępującym rozpadem starego systemu następował wzrost przestępczości. Jak opowiadała siostra mego Taty – Joanna w Irkucku dali znać o sobie bandyci na koniach, którzy łapali na łąkach lepiej ubranych przechodniów, okradali ze wszystkich wartościowych rzeczy i ubrań. Dobrze, jeżeli poszkodowany zachował życie i zdrowie.

Sytuacja gospodarcza stawała się coraz trudniejsza. Żywność drożała. W tym czasie tylko dzięki pracy na kolei Jana Sadurskiego rodzina nie miała większych problemów finansowych, co oznaczało, że nie cierpieli głodu. Martwiono się o członków rodziny mieszkających lub przebywających poza Irkuckiem, od których długo nie było wiadomości, gdyż poczta docierała z coraz większym trudem. Wieści, które otrzymywano, stawały się coraz bardziej zatrważające. Mówiły bowiem o aresztowaniach i śmierci kolejnych bliskich osób. Maciej, wraz córką Anną i Janem Sadurskim oraz ich dziećmi: Joanną i Leonardem, okres wojny i rewolucji przeżyli w Irkucku. Trudno było zdecydować się na wyjazd ze względu na ojca Anny – Macieja Lecha, dla którego wielomiesięczna podróż w warunkach wojennych byłaby nie do zniesienia. Co więcej, Maciej praktycznie nie miał gdzie wracać. W rodzinnych stronach, zajętych zresztą przez bolszewików, które opuścił 60 lat wcześniej, nikt na niego nie czekał. Dlatego postanowiono pozostać w Irkucku do ustabilizowania się

sytuacji politycznej. Decyzję odkładano również z obawy o przyszłość, jaka ich czekała w Polsce, gdzie mieli zaczynać życie praktycznie od nowa.

Tu, w Irkucku, Dziadek miał pracę, mieli dom, znajomych, rodzinę. Jednak umacnianie się rządów bolszewickich, narastający terror i masowe opuszczenie Syberii przez Polaków nie pozostawiło wyboru. Gazeta „Włast Truda” z 4 stycznia 1921r. donosiła na pierwszej stronie „4 i 5 stycznia dni oswobodzenia Irkucka od kołczakowców”. W gazetach nie było już reklam towarów, ale pojawiały się artykuły o pomocy głodującym, o sądach nad wrogami ludu. Jakby dla przeciwwagi pojawiały się w niej radosne wiersze jak ten o tytule „W dzień wyzwolenia” napisany przez Mikołaja Chrebstowskiego, „Do pokojowej pracy” autor A. Kon. Dla Polaków traktowanych jako burżujów, nie było w Rosji miejsca, choć opuścić ją nie było łatwo.

Szczęśliwie w listopadzie 1921 roku moi przodkowie uzyskali zgodę władz bolszewickich na opuszczenie Rosji. Dziadek musiał oddać wszystkie posiadane pieniądze. Nieliczny dobytek, zapakowali do kufrów. Udali się na dworzec kolejowy, z którego tak często wyruszali na wycieczki. Teraz odjeżdżali w jakże innym nastroju i warunkach. Tuż przed wejściem na peron dworca wyjeżdżających poddawano rewizji, w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Dziadek kilka sztuk złotych monet „trzymanych na czarną godzinę” ukrył w maszynie do szycia. Kontrola ich nie znalazła. Podobnie nie znaleziono złotych kolczyków babci, mojej jedynej po niej materialnej pamiątce. Mogli wejść na peron dworca, przy którym stał pociąg z wagonami towarowymi. W każdym z nich zajęło miejsca kilkanaście osób wraz z dobytkiem. Z rodziną Sadurskich i Maciejem Lechem jechała zaprzyjaźniona z nimi rodzina Michałowskich (później w Polsce mieszkali w Kielcach). Pośrodku każdego wagonu znajdował się piecyk, który dawał ciepło i pozwalał na gotowanie jedzenia. Podróż do Polski w takich warunkach trwała ponad miesiąc. Tego nie wytrzymał ojciec Anny, 83 letni Maciej Lech. W trakcie podróży, zaledwie 1000 km od Polski, zachorował na tyfus. W czasie postoju pociągu w Moskwie przewieziony został do szpitala. Był dobrej myśli o swoim stanie zdrowia. Dlatego zabrał ze sobą drobne pamiątki rodzinne, dokumenty. Władze bolszewickie nie wyraziły zgody, aby rodzina mogła przerwać podróż i czekać na wyzdrowienie Macieja. Transport ruszył dalej. O losie Macieja nie uzyskano nigdy żadnej wiadomości.

Dzieci Macieja Lecha

Pierworodny syn Macieja i Heleny Lechów – **Stanisław Walenty**, urodził się 11 kwietnia 1872 r, w Irkucku. Ochrzczony został przez proboszcza Krzysztofa Szwernickiego. Jego rodzicami chrzestnymi byli Jan Wojucki z Karoliną Kisielewską, przy udziale Piotra Szwernickiego i Heleny Melin. W wieku 11 lat zdał do gimnazjum, później uczył się do 1889 r. w szkole średniej im. Cara Aleksandra III w Irkucku. W tym samym roku wstąpił do Szkoły Kadetów i po zdaniu egzaminów rozpoczął naukę. Po jej ukończeniu w 1892 roku, już jako podporucznik, wyjechał do 6. Wschodniosyberyjskiego Batalionu Strzelców w Posjet. Podróż odbywał konno, gdyż do miejsca stacjonowania nie dochodziła jeszcze linia kolejowa. W muzeum na Kamczatce znajduje się „podorożna” – dokument, wystawiony przez Szkołę Kadetów w Irkucku, którym posługiwał się młody Lech. Pisano w nim: „p.porucznik 6 Wschodniosyberyjskiego Batalionu Strzelców Stanisław Lech ma prawo żądać koni pocz-

towych, po dwa konie z przewodnikiem”. Po długiej podróży Stanisław Lech dotarł do Władywostoku. Drogę do Władywostoku, samo miasto, jednostkę wojskową w Posjet, ale i rozterki opowiedział w liście do rodziny, pisany wierszem po rosyjsku. Ale w 1894 roku nie był już taki samotny, znał już Wierę Nowak, córkę Borysa kupca I gildii z Władywostoku – Rosjankę, z którą korespondował, gdy przebywała w Nagasaki. 10 maja 1894 roku osiemnastoletnia Wiera pisała do narzeczonego:

Dopiero co przyплыliśmy do Nagasaki. Teraz jest godzina dwudziesta. Statek, którym przyплыliśmy odplywa z powrotem do Władywostoku i spieszę się napisać co nieco, co mam w duszy. Przepraszam, że w ostatnim liście nie złożyłam ci życzeń okazji imienin. Pozdrawiam i mam nadzieję, że w przyszłym roku spędzimy razem, jako jedna rodzina...

Mimo obaw narzeczonej, że nie będą razem, małżeństwo młodego porucznika i Wiery doszło do skutku. Pobrali się 8 stycznia 1895 r. w Posjet. Najprawdopodobniej rodzice pana młodego nie byli na tej uroczystości. Wiemy co podawano na obiad weselny, gdyż w domowym archiwum Stanisława zachowało się menu z tego przyjęcia. Podawano: rybę w majonezie, cielęcinę z groszkiem i pieczarkami, gęś z jabłkami i lody. Życzenia młoda para otrzymała od Wruka, Piermina, Klimienki, Czernowa z Władywostoku – najprawdopodobniej kolegów z czasów nauki w szkole kadetów. Wiadomo również, że Stanisław później służył w jednostce w Słowiance. Następnie prawdopodobnie oddelegowano go do pracy urzędniczej. W 1903 roku był pomocnikiem naczelnika powiatu Komandorski Ostrów. W 1904 roku z Nikolska Ussuryjskiego wysłał zdjęcie do rodziców, prawdopodobnie zrobione już po powrocie do służby wojskowej.

Wiosną 1905 roku zaproponowano mu stanowisko naczelnika powiatu pietropawłowskiego na Kamczatce. W tym czasie powiat pietropawłowski obejmował całą Kamczatkę, wchodził w skład Kraju Przymorskiego. Dopiero w 1909 roku na skutek podziału Kraju Przymorskiego na cztery samodzielne gubernie utworzona została gubernia kamczacka. Został trzecim z kolei naczelnikiem powiatu, ze stopniem w hierarchii stanowisk urzędniczych – „nadwornego sowietnika”. Dla 33-letniego człowieka był to ogromny awans, gdyż tytuł ten odpowiadał stopniowi podpułkownika armii. Ze względu na wojnę i blokadę przez okręty japońskie Władywostoku do Pietropawłowska nie można było płynąć statkiem. Jechał więc z rodziną poprzez Irkuck, Jakuck, Ochock, Giżygę.

Lech trafił na wyjątkowo trudny okres. Trwała wojna. Jedną z pierwszych jego decyzji było wprowadzenie stanu wyjątkowego na terenie Kamczatki. Organizował w tym czasie obronę z mężczyzn, którzy nadawali się do służby wojskowej. Wojsko to, wyposażone w jednostrzałowe karabiny Berdana, na szczęście nie miało okazji do konfrontacji z regularną armią japońską.

W okresie wojny z Japonią miało miejsce zdarzenie, które o mało nie zakończyło jego kariery. Latem 1905 roku większość mieszkańców w obawie przed inwazją Japończyków opuściła miasto. 31 lipca 1905 r. pod Pietropawłowsk podplynęły dwa lekkie krążowniki Suma i Izdumi i o 11 godzinie zaczęły ostrzeliwać miasto. Stanisław Lech postanowił zabrać z sejfu w urzędzie 40000 rubli, które tam się znajdowało i wyjechać z miasta. Kiedy chciał otworzyć sejf uświadomił sobie, że klucze pozostawił w drugim mundurze. Poszedł więc do

domu, skąd zabrał klucze i wracał do urzędu. W tym czasie ostrzeliwanie miasta się wzmogło. Uznał, że powrót do urzędu jest zbyt ryzykowny, gdyż może on zginąć lub dostać się do niewoli.

Wówczas Kamczatka pozostałaby bez władzy. Postanowił zostawić kasę i wyjechać z miasta. Gdy do miasta i urzędu weszli żołnierze japońscy stwierdzili, że sejf jest rozbity i nie ma w nim żadnych pieniędzy. Później okazało się, że w czasie bombardowania pomocnik naczelnika Pawski, którego zadaniem było zabezpieczenie i zarządzanie kasą, zabrał skrzynkę z pieniędzmi. Po zakończeniu wojny Sąd Okręgowy we Władywostoku prowadził dochodzenie w sprawie kradzieży pieniędzy. Śledztwo toczyło się przez lata i zakończyło niczym.



Stanisław Lech. Napis na rewersie fotografii:
„Kochanym rodzicom ot syna 14/VII 1904 r. Nikolsk Ussurijski”

Okupacja Pietropawłowska trwała krótko. Żołnierze japońscy odnosili się do nielicznych pozostałych w mieście mieszkańców dobrze i po kilku dniach opuścili miasto. Powrócili do niego mieszkańcy i władze. Stanisław mieszkał w parterowym domu, wyróżniającym się wśród innych domów Pietropawłowska wielkością i użytym do jego budowy materiałem. Wokół domu rozpościerał się ogród, w którym rosło, oprócz drzew owocowych, wiele starych lip. Obecnie na miejscu posiadłości znajduje się skwer im. Łapieruza. Stanisław Lech prowadził wyjątkowo bogate życie towarzyskie, co wynikało między innymi z jego obowiązków służbowych. Jednym z nich było organizowanie przyjęć dla znamienitszych osób przybywających do Pietropawłowska. Organizowano dla nich „wieczerniki”. Przebiegały one tradycyjnie – obiad, gra w karty, biesiadowanie, muzykowanie. Ulubioną grą w karty było „makao” nazywane na Kamczatce grą w dziewiątkę. W „wieczernikach” szczególnie lubili uczestniczyć oficerowie marynarki, którzy mogli na kilka godzin zejść na ląd.

Szczególnie uroczysty przebieg miało przyjęcie wydane na cześć gubernatora Przymorskiego Kraju – W. E. Fługa. W sobotę 28 czerwca 1908 r. Stanisław Lech zaprosił go do swojego domu na obiad. Później wszyscy biesiadnicy przeszli go ogrodu, gdzie zrobiono pamiątkową fotografię. W drodze rewanżu, wieczorem gubernator wydał kolację na stojącym w porcie wojennym transportowcu „Sziłka”. Stół został nakryty na pokładzie okrętu, udekorowanym flagami i rozświetlonym elektrycznymi lampami. Po kolacji wszyscy uczestnicy przesiedli się na wypływający do Władywostoku statek Kamczackiego Towarzystwa Handlowo-Przemysłowego. Kiedy ostatni z nich opuścił okręt, kozacy oddali salwę z broni ręcznej, a na brzegu starosta miejski wydał polecenie odpalenia ogni sztucznych. Jak wspominali goście, organizacją wieczerników zajmowała się żona naczelnika, która łączyła te dodatkowe obowiązki z wychowaniem pięciorga dzieci. Znam imiona trojga: Roman, Maria, Walentyna.

Lech zajął się także gospodarką rybną, gdyż żyjący z rybołówstwa mieszkańcy Kamczatki mieli wiele problemów z poławianiem ryb, ich przetwórstwem i sprzedażą. Z jego inicjatywy i na skutek różnorodnych zabiegów w Pietropawłowsku powstał Sąd Okręgowy. Dzięki osobistemu zaangażowaniu rozwiązał sprawę kolonii chorych na trąd, zdobywając środki na budowę dla nich 3 domów i zapewnienie im właściwej opieki. 10 listopada 1910 roku miało miejsce w Pietropawłowsku epokowe wydarzenie. Wysłano do Władywostoku i Chabarowska pierwszy radiotelegram z podpisem Stanisława Lecha.¹⁹

Był jakże inny od carskich urzędników. Tak pisał o nim metropolita prawosławny Nestor Anisimow, który w latach 1907-1909 odbywał podróże misyjne po Wschodzie Rosji, w tym po Kamczatce²⁰. „W związku z oddaleniem regionów (powiatów) od władzy centralnej, naczelnicy powiatów byli w niczym nieograniczonymi tyranami. Większość z tych złodziei i ludzi skorumpowanych, nawiązując do słów mądrości ludowej, uważała się za „Cara i Boga”.

Jednak w tym „ciemnym carstwie” spotkałem ludzi oświeconych i kulturalnych, do których zaliczyłem S. M Lecha, Sokolnikowa i „Didenkę”. Lech organizował również straż pożarną w Pietropawłowsku. W 1916 r. otrzymał

¹⁹ B. P. Polewoj, *10 let piered rewoluciej. Iz istorii Pietropawłowska-Kamczatskogo*, „Kamczatka”, 1991, s. 125-147.

²⁰ www.hrono.ru/libris/neslor-mk10.html.

srebrną odznakę za zasługi dla straży. Jesienią 1916 r. ciężko zachorował, przekazując obowiązki naczelnika swemu zastępcy. W 1917 r. posiadał już tytuł „sowieтника” (odpowiednik pułkownika w armii).



Okolice Kamczatki, ok.1910 r. Kolorowana fotografia.

W pierwszym rzędzie od lewej: Tekla Grinberg, jej mąż, Wiera Lech;
powyżej pięcioro dzieci Stanisława Lecha.

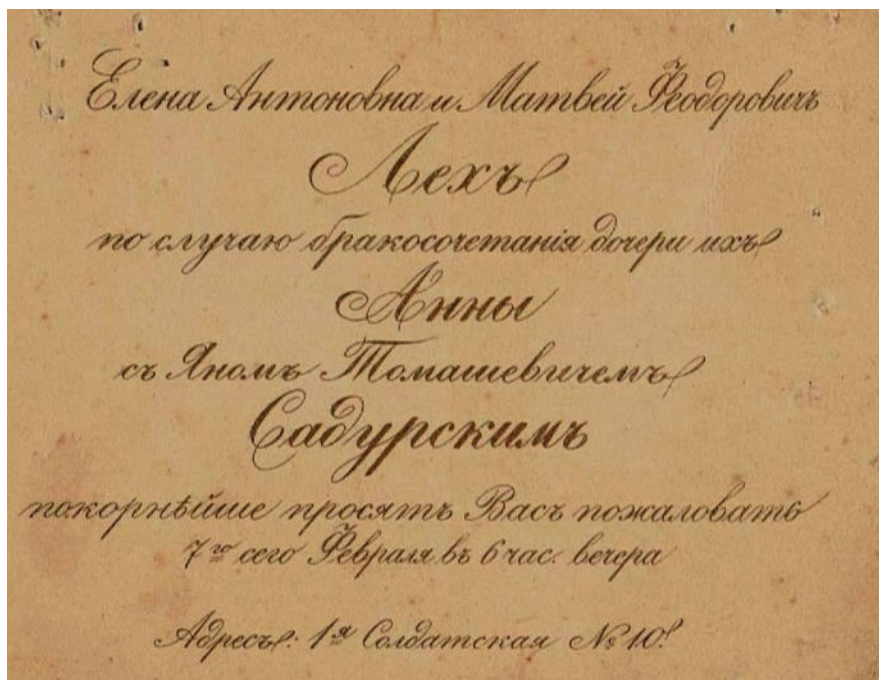
Na rewersie fotografii: „Pacyfiku? jaki piękny obrazek, to jest na brzegu muża.

Na pewno żałujesz że nie byłaś z nami.

Katia prosi żebyś spełniła prędko jej prośby. Całuję mocno Tecia/Tekla/”

Fotografia przesłana do mojej babci Anny Sadurskiej

1 marca 1917 r. drogą radiową przyszła do Pietropawłowska wiadomość o abdykacji cara Mikołaja II. Już 8 marca tego roku w Pietropawłowsku zaczął się tworzyć komitet obywatelski, który miał przejąć obowiązki od dotychczasowej władzy. Wkrótce na czele powiatu stanął komisarz. Przejęcie władzy na Kamczatce odbyło się spokojnie. Stanisław Lech wraz z rodziną, po 12 latach sprawowania funkcji naczelnika powiatu, bez problemów odpłynął z Pietropawłowska, prawdopodobnie do Władywostoku.



Zaproszenie na ślub Anny i Jana Sadurskich

Była to prawdopodobnie nagła decyzja, gdyż pozostawił w domu wiele pamiątek rodzinnych, znajdując się teraz w muzeum. Trudno powiedzieć, co spowodowało, że pozostał w Rosji. Nie wrócił również do rodzinnego Irkucka, gdzie miał rodzinę. Nie próbował też opuścić Rosji, jak uczyniło wielu innych urzędników i oficerów carskich. Nieznane są ostatnie 3 lata życia rodziny Stanisława po wyjeździe z Pietropawłowska. Wiadomo jedynie, że w 1920 r. mieszkał w Nikołajewsku nad Amurem. W tym mieście²¹, w okresie między 1 marca a 2 lipca 1920 roku został zabity. Czy przeżyła jego żona, dzieci (a może i wnuki) nie jest mi wiadome? Raczej graniczyłoby to z cudem, gdyż rodzina mieszkająca w Irkucku jeszcze przez półtora roku od jego prawdopodobnej śmierci, miała informacje, że zostali z całą rodziną zatopieni na statku lub łodzi, może właśnie na Amurze. Jego działalność na Kamczatce została obecnie doceniona.

Na wystawie poświęconej historii Kamczatki w muzeum w Pietropawłowsku, mieszczącym się w byłym pałacu gubernatora, znajduje się dużego formatu zdjęcie Stanisława, z datą 1. 01. 1905 r. z podpisem: Stanisław Matwie-

²¹ S.W. Gawriłow, op. cit., s. 166.

jewicz Lech „naczelnik ujezda pietropawłowskiego”. Działalność i życie Stanisława Lecha zostało opisane w 2011 r. w wydawnictwie Kamczackiego Krajowego Objediniennego Musieja w Pietropawłowsku.



Anna Sadurska



Jan Sadurski, Odessa 1898

Drugi syn **Adam** urodził się w Irkucku 1. 11. 1874 r. Ochrzczony był 3. 12. 1874 r. Rodzice chrzestni to: Klemens Melin i Helena Jankowska, przy udziale Henryka Jankowskiego i Heleny Melin²². Zmarł wkrótce po urodzeniu.

Trzeci z kolei syn – **Kacper Leonard** urodził się w Irkucku 6. 01. 1876 r. Ochrzczony został 7 01 1876 r. Rodzice chrzestni to: Franciszek Brydycki i Wiktoria Jaworowska²³. Zmarł wkrótce po urodzeniu.

Córka **Tekla Jadwiga** urodziła się 1877 r. w Irkucku. Wybór imienia wiązał się z kultem św. Tekli patronki parafii Narodycze, z której pochodził ojciec. Rodzice chrzestni Stanisław Wiszniewski, Justyna Plionkiewicz, przy udziale Franciszka Brydyckiego²⁴. Tekla wyszła za mąż za oficera marynarki, Łotysza o nazwisku Grinberg. Podobno z przyszłym mężem poznała ją baronessa A. Rozen. Mąż Tekli posiadał niewielki majątek ziemski koło Rygi. W czasie rewolucji udało im się uciec z terenów opanowanych przez bolszewików. Zamieszkali w niepodległej Łotwie w majątku męża. Moja babcia Anna utrzymywała z Teklą kontakt do czasu zajęcia Łotwy przez ZSRR. Najprawdopodobniej wówczas Grinbergowie zostali zabici.

Druga córka – **Celestyna** urodziła się w Irkucku 8 stycznia 1879 r. Ochrzczona została 04 03 1879 r. przez ks. Józefa Różgę. Rodzice chrzestni to: Romuald Plionkiewicz i Romana Minkiewicz²⁵ z domu Ciesielska. Celestyna z męża Dzikowska wraz z dziećmi i mężem wyjechała do Polski. Mieszkali w Warszawie. Ich syn Stanisław brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, za co odznaczony został Krzyżem Walecznych.

Syn **Józef Teodor** urodził się w Irkucku 19 marca 1884 r. Chrzest jego odbył się 12 kwietnia 1884 r.; rodzice chrzestni to: Władysław Sochacki z Leokadią Szara (?), przy udziale Franciszka Brydyckiego i Matyldy Sochackiej. Zmarł w dzieciństwie.

Kolejny syn **Saturnin** urodził się w Irkucku 29. 11. 1885 r. Ochrzczony był 2 01 1886 r. przez proboszcza Krzysztofa Szvernckiego. Chrzestni: Tymoteusz B (?) i Zofia Brydycka. Zmarł wkrótce po urodzeniu.

Syn **Ludwik** urodził się w 1886 r. w Irkucku. Ukończył Gimnazjum Klasyczne w Irkucku. W latach 1906-1908 był studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Studiował literaturę, a w roku 1907-1908 słuchał wykładów z zakresu fizyki, chemii, mineralogii i zoologii²⁶. Później wyjechał na studia do Niemiec, do Dreżna lub Monachium. Potem powrócił do Irkucka. W czasie rewolucji aresztowany przez bolszewików, zmarł w więzieniu na tyfus.

Córka **Adelajda** urodziła się w Irkucku w 1888 roku. 26 grudnia 1907 r. wyszła za mąż za Wiktora Balickiego (ur. 1880?), pochodzącego z rodziny ormiańskiej z Kamieńca Podolskiego. Mieszkali w Nerczyńsku. Miała dwie córki. Powrócili do Polski.

Kolejna córka **Helena** urodziła się 13 08 1890 r. w Irkucku. W czasie rewolucji Helena zdecydowała się na wyjazd z Irkucka do swojej siostry Bronisławy, która mieszkała we Władywostoku. W tym czasie było to jedno z nie-

²² GAIO, fond 297, op. 1, dzieło 85 a; Metrykalna księga 1898-1895, s. 8.

²³ GAIO, fond 297, op. 1, dzieło 85 a; Metrykalna księga 1898-1895, s. 26.

²⁴ GAIO, fond 297, op.1, dzieło 85 a; Metrykalna księga 1898-1895 s. 42.

²⁵ GAIO, fond 297, op.1, dzieło 85 a; Metrykalna księga 1879, s. 61.

²⁶ Archiwum Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, pismo do autora artykułu SA-6711/743/2/92

licznych miejsc, z którego można było opuścić Rosję. Udało jej się zdobyć miejsce na statku, który przysłała po rodaków kolonia polska z Szanghaju. Gdy wojska czerwonych zbliżały się do miasta, odpłynęła do Szanghaju. Mimo usilnych starań nie udało jej się przekonać do wyjazdu z miasta siostry, która postanowiła czekać na swego męża. W Szanghaju zaopiekowali się Heleną licznie mieszkający tam Polacy. Niebawem poznała Anglika Edwina Harrisona – komisarza policji, za którego wyszła za mąż. Mieszkali w Szanghaju w małym domu z ogrodem.

W październiku 1927 r. urodził im się syn, który otrzymał imię Edwin. Jego wychowaniem zajmowała się niania – Chinka. W 1934 r. wraz z synem popłynęli do Wielkiej Brytanii. Po raz pierwszy Helena znalazła się w Europie. Poznała też matkę swego męża. Po krótkim pobycie w wielkiej Brytanii powrócili do Szanghaju. Po raz drugi życie Heleny i jej rodziny było zagrożone, kiedy w 1937 roku Szanghaj zajęli Japończycy. Terror japoński skierowany był przede wszystkim przeciwko Chińczykom, których masowo mordowano. Anglików natomiast usunięto z ich domów i przeniesiono do jednej z dzielnic miasta, gdzie byli pod nadzorem wojsk japońskich. Po wypowiedzeniu wojny Japonii przez USA – wszystkich Europejczyków, w tym całą rodzinę Harrisonów przewieziono do obozu. Szczęśliwie przeżyli wojnę. Po jej zakończeniu wyjechali do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkali koło Liverpoolu. Syn Edwin został zawodowym oficerem – radiotelegrafistą marynarki brytyjskiej. Kontakt z nimi urwał się po wojnie, na początku lat 50-tych.

Córka **Anna** urodziła się w Irkucku 8 stycznia 1891 r. Ochrzczona została 24. 02. 1891 r. przez proboszcza Krzysztofa Szwernickiego. Imię przyniosła jej matka chrzestna, przyjaciółka mojej prababki, baronessa Anna Rozen. Ojcem chrzestnym był Julij Dalesko, a dziecko trzymała do chrztu Mirosława Tarasewicz²⁷. Anna uczęszczała do jednego z dwóch żeńskich gimnazjów Irkucka. Angażowała się w życie społeczności polskiej, śpiewając w polskim chórze działającym przy kościele. Tam poznała przyszłego męża – Jana Sadurskiego, syna Tomasza i Marianny z Gawrońskich pochodzącego z mieszczańskiej rodziny z Końskowoli. Jan podobnie jak przyszła żona lubił śpiewać, wolny czas poświęcał na uczestniczenie w próbach i występach chóru. Jak większość Polaków z zaboru rosyjskiego, odbywał od 1902 roku kilkuletnią służbę wojskową w wojsku carskim. Stacjonował w Odessie, na Dalekim Wschodzie. Był podoficerem w 6. Wschodnio-Syberyjskim Batalionie Saperskim. W 1905 roku brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej na terenie Mandżurii. Po zwolnieniu ze służby zamieszkał w Irkucku, gdzie podjął pracę na kolei transsyberyjskiej, początkowo jako mechanik telegrafu.

W sobotę 7 kwietnia 1909 roku osiemnastoletnia Anna wzięła ślub z 29 letnim Janem Sadurskim. Przyjęcie weselne odbyło się w Irkucku o godz. 6 wieczorem w lokalu przy ulicy I Słodackiej nr 10. Na uroczystościach zaślubin byli członkowie rodziny Jana, w tym brat Andrzej, którzy przyjechali z Końskowoli. Małżonkom Sadurskim w Irkucku urodziło się czworo dzieci: Joanna, ur. 1909 r., rodzice chrzestni: Adelajda Balicka i Władysław Bogusławski²⁸; Władysław, zmarł w Irkucku; chłopiec, nieznanego imienia, zmarł w Irkucku; Leonard Jan, ur. 1917 r., rodzice chrzestni: Tomasz Michałowski i Kata-

²⁷ GAIO, fond 297, op.1, dzieło 135 a; Metrykalna księga 1898-1895, s. 22.

²⁸ GAIO, Metrykalna księga 1909 rok, miejsce 44, nr 252.

rzyna Wiśniewska²⁹. Zmarł w Lublinie w 1996 r. W Polsce urodzili się Albina, Jerzy (p.por. AK³⁰) i Zdzisław.

Rodzina Sadurskich w Irkucku mieszkała przy ulicy Sołomatowskiej 25 a potem przy Matrieszenskiej 20/53. Jan do wyjazdu z Irkucka pracował na kolei syberyjskiej, był kierownikiem pociągu technicznego. Praca polegała na nadzorowaniu urządzeń telegraficznych na wielokilometrowych trasach kolei transsyberyjskiej. Zajęcie to przynosiło mojemu Dziadkowi znaczne dochody, co pozwalało na dostatnie życie i planowanie przyszłości. Dodatkowym plusem pracy na kolei była możliwość bezpłatnego podróżowania, o ile pamiętam raz w roku, ale bez ograniczeń odległości. Moi dziadkowie korzystali z tej okazji. Przyjechali do Końskowoli – do rodzinnego miejsca Jana, była to pierwsza podróż mojej babki do Polski. Na tę podróż (trwała prawie dwa tygodnie) dziadek otrzymał dodatkowy płatny urlop. Z tego co pamiętam, byli również w Moskwie i Władywostoku.



Rodzina Sadurskich. Radom, październik 1929 roku. Stoją od góry od lewej strony: p.por. rez. Zygmunt Sadalski, jego żona Joanna, Anna i Jan Sadurscy, u dołu od lewej, Leonard, Jerzy (w okresie II wojny światowej p.por. AK), Albina, Zdzisław.

Nie zamierzali opuszczać Syberii. Zakupili w Irkucku plac, na którym zamierzali postawić dom. W dalszej kolejności ze zgromadzonych oszczędności oraz emerytury, którą dziadek miał uzyskać po 20 latach pracy, planowali założenie banku. Podobnie jak teściowie dziadek z babcią prowadzili bogate życie towarzyskie. Z przyjaciół rodziny w Irkucku znani są Wasilij Diakonow – oficer carski, Władysław Bogusławski (ojciec chrzestny Joanny Sadalskiej), Tomasz Michałowski, Katarzyna Wiśniewska. Anna Sadurska zmarła w styczniu 1961 r. w Radomiu. Pochowana na cmentarzu przy ulicy Limanowskiego.

²⁹ GAIO, Metrykalna księga 1917 rok, miejsce 176, nr.47, s. 2.

³⁰ St. Perzanowska, *Z okupacyjnych dziejów służby zdrowia*, „Przegląd Lekarski”, 1973, t. 30, nr 1, s. 79; W. Borzobochaty, *Jodła*, Warszawa 1988, s. 143.

Kolejny syn **Wiktor** urodzony w 1892 r. Absolwent szkoły kadetów, zginął w walkach w Irkucku w 1920 roku.

Córka to **Bronisława**, urodzona w Irkucku, 30. 05. 1894 r.; ochrzczona 30. 05. 1894 r. przez proboszcza Krzysztofa Szvernickiego. Rodzice chrzestni to: Józef Brydycki i Marianna Krzewińska³¹. Wyszła za mąż za Rosjanina – podporucznika artylerii, absolwenta szkoły wojskowej. Zamieszkała we Władystoku. Utracono z nią kontakt w czasie rewolucji.

Najmłodszy z rodzeństwa – **Henryk**, urodził się w 1897 r. Absolwent szkoły kadetów. Na początku 1921 roku był w Irkucku. Są dwie wersje jego dalszych losów, pozostał w Irkucku lub wyjechał do Ameryki. W każdym razie od czasu wyjazdu Macieja Lecha z Irkucka nie nawiązano z nim kontaktu.

Ksiądz Krzysztof Szvernicki

Pisząc o naszej rodzinie nie sposób pominąć wyjątkowej postaci, znanej wszystkim ówczesnie zamieszkującym Syberię Polakom. Był to ksiądz Krzysztof Szvernicki proboszcz parafii w Irkucku. Towarzyszył naszej rodzinie jako jej przyjaciel, w dobrych i złych chwilach przez kilkadziesiąt lat.

Jego zdjęcie znajduje się w skromnym zbiorze fotografii przywiezionych z Irkucka, z odręcznym napisem atramentem na awersie fotografii – ks. Krzysztof Szvernicki. Pojawił się on na Syberii w czasie, gdy na zesłaniu przebywał już mój prapradziadek Paszkiewicz pod przybranym nazwiskiem Antoniego Brydyckiego. Sądzić należy, że wówczas dla księdza był on jednym z Polaków, nad którymi sprawował opiekę duchową. Znajomość pomiędzy tymi zesłańcami przerosła się w przyjaźń, być może dlatego, że ksiądz jako jedyny spoza rodziny znał tajemnicę jego życia. W latach siedemdziesiątych XIX wieku podjął się pomocy w wychowaniu dzieci będącemu w podeszłym wieku Brydyckiemu. Najmłodszy z jego pięciorga dzieci, 10-letni Franciszek mieszkał na plebani, gdzie zdobywał podstawy wiedzy w szkółce, którą dla dzieci zesłańców założył proboszcz. Nauczaniem w tej szkółce zajmował się również Józef Kalinowski, który po powrocie do Polski wstąpił do zgromadzenia zakonnego, przyjmując imię Rafał. W listopadzie 1870 r. pod nieobecność proboszcza, który wyjechał na kilkumiesięczną podróż po Syberii, opiekę nad Franciszkiem przejął właśnie Kalinowski. Mieszkali razem w pokoju proboszcza, a Kalinowski uczył chłopca czytania i pisania³². Jak twierdzą Anna i Roland Młynikowie, Kalinowski z ogromną serdecznością i przyjaźnią odnosił się do ludzi ze swego otoczenia. Najbliższe więzi w okresie irkuckim łączyły go z Kazimierzem Laudynem, Feliksem Zienkowiczem, Benedyktem Dybowskim, Henrykiem Wohlem i właśnie z wychowankiem ks. Szvernickiego Franciszkiem Brydyckim³³. Do końca swego życia proboszcz spotykał się ze swoim wychowankiem Franciszkiem przy różnych uroczystościach rodzinnych.

To ksiądz K. Szvernicki zapoznał córkę Brydyckiego – Helenę z zesłańcem Maciejem Lechem. Udzielił im ślubu, a później ochrzcił ich pierworodnego syna – Stanisława. Osobą towarzyszącą rodzicom chrzestnym, co została zapisane w akcie chrztu był Piotr Szvernicki – niewątpliwie ktoś z rodziny proboszcza.

³¹ GAIO, fond 297, op. 1, dzieło 135 a; Metrykalna księga 1898-1895, s. 72 (odwrotna strona).

³² O. Cz. Gil OCD, op. cit., s.112.

³³ A. i R. Młynikowie, op. cit., s. 224.

K. Szvernicky był również nauczycielem dzieci Macieja Lecha. W 1892 r. w Irkuckim Korpusie Kadetów egzaminował Stanisława Lecha, który z egzaminu z przedmiotu „Zakon Boży” otrzymał ocenę 5. Na kilka miesięcy przed swą śmiercią, 30 maja 1894 r. chory na skutek silnego pobicia ks. Krzysztof Szvernicky ochrzcił jeszcze córkę Lechów – Bronisławę. W listopadzie tego roku cała rodzina uczestniczyła w uroczystościach pogrzebowych swego proboszcza.

Syberia dla naszej rodziny stała się symbolem represji i męczeństwa. Moi przodkowie Paszkiewicz i Lech przeżyli drogę na zesłanie i katorgę. Zmuszeni do zamieszkania na obcej ziemi, z dala od swoich bliskich, budowali swoje życie od nowa. Żyli zupełnie innych warunkach. Chcąc przeżyć, musieli wykazać się siłą charakteru, odpornością na przeciwności losu, umiejętnością dostosowania do nowej rzeczywistości. Pogodzeni z losem, założyli rodziny i rozpoczęli normalne życie, które przerwał wybuch rewolucji. W jej wyniku życie straciła duża część naszej czteropokoleniowej rodziny. Zostali pochowani w bezimiennych mogiłach, na bezkresnych terenach Rosji. Ślad po nich jednak nie zaginął – pozostali w pamięci następnych pokoleń naszej rodziny.

TOMASZ AUGUSTYNOWICZ

OKRĘGOWE MIASTO JAKUCK

Jakuck, założony w 1647 r., przez długi czas nazywany był „jakuckim więzieniem”. Miasto leży na 61 stopniu szerokości północnej i 147 długości wschodniej na lewym brzegu Leny, na równym, nizinym terenie. Po jego południowo-zachodniej stronie znajduje się kilka jezior, które całkowicie wysychają w okresie letnich upałów. Największe nazywa się Tałoje. Podczas wiosennych wylewów Leny osiąga ono największą głębokość, latem zaś przekształca się w wielką kałużę, której cuchnące opary dokuczają całemu miastu, a w szczególności mieszkańcom zachodniej części. Dwanaście lat temu zaproponowano, aby oczyścić jezioro poprzez spuszczenie wody albo ogrodzenie go żerdziami i obsadzenie brzegu różną roślinnością celem zapobieżenia dostawania się do niego nieczystości z miasta. Jednak ani jednego ani drugiego zamierzenia nie udało się zrealizować. Wskutek tego jezioro, nie doczekawszy się oczyszczenia, prawie całkiem wyschło, dlatego że w ostatnich latach wiosenne rozlewy rzeki były niewielkie. Obecnie prawie cały teren wokół jeziora, zalewany wcześniej wodą, pokryty jest bagnami.

Od strony wschodniej do odnogi Leny przylega miejski plac. Po pęknięciu lodów w pierwszej połowie maja rzeka przybrała i teraz rozlewa się po całym tak zwanym „miejskim obniżeniu terenu”, które rozciąga się na dwie wiorsty w kierunku zachodnim. Bywają takie lata, że wskutek nagromadzenia lodu woda w korycie rzeki podnosi się bardzo wysoko i pomimo, że część wybrzeża jest chroniona od jej naporu wody drewnianym wałem, niewiarygodnie szybko mknie ona na ten depresyjny rejon i napełniwszy go wcina się we wszystkie części miasta, powodując powódź. Powódź ta jednakże nie jest stała; znika tak szybko, jak się pojawia, nie czyniąc żadnych szkód głównym budynkom.

Jakuck przecinają dość symetrycznie poziome i pionowe ulice, których łącznie jest trzynaście. W mieście jest około 356 domów; w tym sześć budynków urzędów oraz należących do różnych instytucji i 340 domów prywatnych (kupców, duchownych, mieszczan i kozaków). Znajduje się tu 11 cerkwi, w tym sześć murowanych, 3 drewniane i dwie urządzone w domu. Wszystkie budynki są drewniane, z wyjątkiem dwóch murowanych domów; domy mają dość niezgrabną formę; zniekształcają je wysokie, strome dachy nieodpowiednie do rozmiarów całej zabudowy. Niektóre sprawiają wrażenie dwupoziomowych, ale są tylko postawione na wysokich fundamentach. Latem niezamożni mieszczanie oraz kozacy wstawiają w okna mikę, a zimą – lód. Przy żadnym domu nie ma wychodka, a buduje się tylko czasowe kryjówki, mało intymnie, pod gołym niebem, koło domu, czasami pod samym oknem, odgradzając te miejsce gałęziami,

świerkami albo jodłą. Pomijając już nieustanny fetor i brud na podwórzu, odwiezanie wychodków w chłodne i słotne dni powoduje przeziębienie, czego następstwem są często choroby hemoroidalne, różne choroby organów brzusznych, a także nieregularne miesiączki. Wszystkie te przypadki dotyczą dwóch trzecich mieszkańców miasta.

Ludność Jakucka liczy około trzech tysięcy osób obu płci. Zamieszkują go rdzenni kupcy i mieszczenie (około 1000 osób), kozacy miejscowego pułku kozackiego, regularnego wojska kwaterującego w mieście (około 200 osób); urzędnicy miejscy, inteligencja oraz Jakuci, których część służy u kupców, mieszczan i duchownych, a pozostali zajmuje się rzemiosłem i drobnym przemysłem. W skład ludności miasta wchodzi także zesłańcy.

Suma obrotów handlowych Jakucka przewyższa rocznie milion rubli. Raz do roku, a konkretnie wraz z otwarciem żeglugi na Lenie, z jej górnych dopływów kierują się do miasta dziesiątki drewnianych statków. W Kaczudze ładują na nie przeróżne towary, głównie takie, na które jest stałe zapotrzebowanie, jak artykuły papierowe, grube sukno, herbata cegiełkowa, czerkieski tytoń czy różne drobiazgi niezbędne w życiu mieszkańców tych terenów. Duża część tych statków nazywa się handlowymi. Zatrzymują się na drodze w znanych miejscach przy brzegu rzeki, sprzedają towary miejscowym i już tylko z resztkami przyjeżdżają do Jakucka między 5 a 10 czerwca. Pozostałe statki nazywa się przechodnimi, gdyż po wypłynięciu z Kaczugi bez przystanków płyną do Jakucka, dokąd przybywają pod koniec maja lub na początku czerwca. Tymi ostatnimi przywozi się towary bardziej odpowiadające gustom i potrzebom mieszczan. Można w nich znaleźć drogie, jedwabne materiały, chusty oraz szale, damskie nakrycia głowy, koronki warszawskie, obuwie, cienkie sukna, holenderskie płótno, gotowe męskie płaszcze, różne przybory kolonialne, obrazy, wina i dużo innych przedmiotów zbytku. Statki należą do irkuckich kupców.

Wraz pojawieniem się pierwszych statków handlowych w mieście zaczyna się wielki ruch: każdy śpieszy obejrzeć towary i zapytać o ich ceny, a odwiedzając codziennie przystań pod pretekstem spaceru, kupuje dla siebie, co mu potrzebne. Chociaż na jakucki jarmark przeznaczone są dwa miesiące – czerwiec i lipiec, kiedy sprzedaż toczy się swoją koleją, to jednak największy rozkwit handlu przypada dopiero na połowę lipca, kiedy już zbiorą się wszyscy kupcy ustalający obowiązujące ceny. Poza mieszkańcami, którzy zaopatrują się w tym czasie w towary niezbędne w gospodarstwie domowym na cały rok, głównymi bywalcami na jarmarku są wiejscy księża, bogaci Jakuci oraz osoby prowadzące handel wymienny z Tunguzami, Czukczami i innymi narodami północno-wschodniej części Jakucji, którzy z kolei zajmują się tylko hodowlą zwierząt. Dla nich to jakuccy kupcy zaopatrują się na czas jarmarku w herbatę cegiełkową, tytoń i przedmioty żelazne, w zamian za co otrzymują skórki z lisa, gronostaja, a przede wszystkim z czarnej wiewiórki. Sobolego futra jest na jakuckim jarmarku bardzo mało, bo przywożą go z jednej miejscowości zwanej Udskoje. W okręgu kołymskim nie ma go w ogóle, a w innych okręgach obwo-
du jakuckiego spotyka się je nadzwyczaj rzadko.

Zgromadzone w Jakucku wyroby futrzane nabywają przybywający irkucki kupcy. Pozostałe (zwłaszcza pieśca) wysyłają oni pocztą do Moskwy na przegląd. Oprócz tego z okręgu kołymskiego i wierchojańskiego sprowadzają na jakucki jarmark dużą ilość kości mamuciej w stanie surowym, którą także transportują do Moskwy po kilkaset pudów na raz. Część pozostaje w mieście, z niej Jakuci wyrabiają grzebienie, zapinki, trzonki do noży i widelców, nożyki do przecinania papieru, pojemniczki oraz podstawki do filiżanek snycerskiej roboty, zabawki dla dzieci i inne drobiazgi.

Prawie w tym samym czasie, kiedy statki towarowe przybywają do Jakucka, na Lenie pojawia się wiele tratw z drewnem, w jakie przemysłowcy zaopatrują się zimą, aby sprzedać je mieszkańcom Jakucka. Tratwy te zajmują wszystkie małe rzeki i potoki znajdujące się w pobliżu miasta. W tym czasie urzędy, inne instytucje publiczne oraz zamożniejsze osoby zaopatrują się w opał na cały rok. Cena drewna nie jest każdego roku taka sama; waha się pomiędzy 80 kopiejkami a półtorej rubla za sążen z dostawą do brzegu i z podwyżką od każdego pół arszyna za pomiar. Sprzedaż trwa nie dłużej niż miesiąc, od połowy lipca do października, to znaczy, że do nastania pory zimowej na rzece nie widać już żadnej tratwy.

Zbyt wołowiny oraz masła za złota z kopalni w okręgu olekminskim i w guberni irkuckiej stanowi ważną formę wymiany towarowej w tym miejscu. Duże zapotrzebowanie na produkty spożywcze podniosło ich wartość w ciągu ostatnich dziesięciu lat i z pewnością wpłynęło na zmniejszenie stanu rogacizny w okręgu jakuckim, gdzie wcześniej hodowla bydła była rozwinięta na szeroka skalę. Duża ilość pogłównia oraz niskie ceny paszy pozwoliły każdemu średnio-zamożnemu Jakutowi na posiadanie dziesiątek a nawet setek sztuk bydła rogatego, które zapewniało pożywienia całej rodzinie. Można powiedzieć, że wśród Jakutów nie występowała szczególna dbałość o te zwierzęta gospodarcze. Hodowano je przede wszystkim dla zaspokojenia bieżących potrzeb. Istniały bowiem ograniczone możliwości zbytu mięsa. Jedynym miejscem, gdzie można było je sprzedać, był miejski rynek, na którym wskutek dużej konkurencji ceny były bardzo niskie. Pud wołowiny sprzedawano za 40-50 kopiejek, a pud masła można było kupić za cenę od półtorej rubla do dwóch. Przy tak niskich cenach Jakuci nie troszczyli się o rozwój hodowli ani o urozmaicenie rasy, pozostawiając naturze troskę o ich ochronę i przyrost. Cała ich uwaga była skupiona na hodowli koni, ponieważ działająca tam rosyjsko-amerykańska firma, do której należał ajanski port, potrzebowała transportu do przewozu towarów. Zajmowali się tym Jakuci, wykorzystując konie juczne, na czym zarabiali dużo pieniędzy. Wraz z zaprzestaniem handlu w porcie ajanskim skończyła się możliwość dobrego zarobku, ale wkrótce pojawiło się nowe źródło dochodów, mianowicie zapotrzebowanie robotników kopalni złota na wołowinę i masło krowie. Jakuci, którzy wcześniej nie dbali o poprawę jakości swoich stad, zaczęli zabijać bydło w celu sprzedaży mięsa pośrednikom, którzy jeździli po obwodzie jako „kopalniani dostawcy”. Nikomu nie przychodzi na myśl, że ten sposób zarobkowania jest najbardziej obłudny i szkodliwy. Wywożona każdego roku dużymi partiami wołowina znacznie zmniejszyła ilość bydła i tym samym bardzo zaszkodziła gospodarce hodowlanej. Dodajmy, że owi pośrednicy, skupując wołowinę z tzw. „pierwszej ręki”, płacili półtorej rubla za pud, a sprzedawali w kopalniach dwa, a nawet trzy razy drożej.

Wraz z pojawieniem się pieniędzy otrzymywanych za pracę w kopalniach złota nastąpiła zmiana w sposobie życia Jakutów. Jakut, zadowolający się wcześniej przedmiotami pierwszej potrzeby, teraz naśladować bogaczy, zaczął przejmować ich nawyki. Herbata cegielkowa stała się jego codzienną potrzebą; każdego Jakuta; w miejsce odzieży z reniferowej skóry pojawiło się sukno, papier i jedwab; w końcu dawne, proste naczynia (drewniane i z kory brzozonej) zostały wymienione nawet w uboższych jurtach na wyroby fabryczne, takie jak samowary, czajniczki miedziane, fajansowe serwisy itd. Jednym słowem, Jakuci w swym sposobie prowadzenia gospodarstwa starają się naśladować Rosjan.

Rybołówstwo stanowi ważne zajęcie ludności okręgu jakuckiego, bogatego w jeziora, w których żyje dużo karasi; chociaż nie są one ani tłuste, ani smaczne. Z gatunku ryb białych w Lenie można spotkać: nelma (łosoś syberyjski), muksuna, omuła, szczupaka i inne. Prawie cały połów jest dostarczany na jakucki rynek, a tylko niewielka ilość do kopalń, ponieważ podaje się tam świeżą rybę na stołach urzędników; robotnicy w dni postne zadowolają się rybą soloną. W niskich dopływach Leny, np. w mieście Żygańsk, połów zawsze jest obfity; dlatego część złowionej nelmy solą na miejscu, z innych wycinają tylko tłuste brzuszki. Te ostatnie (także solone) w dużej ilości oddają do sprzedaży pod nazwą „pępki” i rozwożą po całym okręgu jakuckim jako smaczne kąski. Z reszty tej ryby wytapiają tłuszcz, który po starannym oczyszczeniu stosuje się do żywności, a nieczyszczony służy do smarowania skóry, oświetlania pomieszczenia oraz innych potrzeb. Duże partie solonej ryby odprowadza się górą rzeki na płaskodennych łódkach nazywanych „kajukami”, unoszących około 500 pudów ciężaru. Pud nelmy kosztował w zeszłym roku od dwóch do dwóch i pół rubla, 1000 sztuk solonych pępków – od 40 do 50 rubli; kilka lat temu ceny były zdecydowanie niższe, tak że „pępki” były sprzedawane na bazarze w Jakucku po kopiejce za sztukę. Przyczyna wzrostu cen ryby leży nie w zmniejszeniu połowu, a w podniesieniu zapłaty za pracę, którą stale podwyższają właściciele kopalni złota, starając się w ten sposób pozyskać robotników. Zaiste osiągają sukcesy na tym polu, skupiając w swoich kopalniach najlepszą siłę roboczą, ale ich sukces odciska złe piętno na przemyśle wiejskim i przyczynia się do podnoszenia cen na wszystkie produkty. Szczególnie drogi jest chleb, którego tutaj jest bardzo mało z powodu warunków glebowych i klimatycznych, niesprzyjających uprawie roli.

Na czele duchowieństwa okręgu jakuckiego stoi eparchialny przywódca mający stałą siedzibę w Jakucku, skąd odbywa coroczne objazdy po wszystkich obwodach. Od dawna istnieje w tym mieście męski kompleks klasztorny, gdzie wszystkie budynki są drewniane. Jest on bardzo biedny i utrzymywany tylko z datków za posługi duchowe. Białe (miejskie) duchowieństwo żyje w materialnym dostatku; każdy pop ma swój własny dom. Dużą część dzisiejszego miejskiego duchowieństwa stanowią dawni księża wiejscy, którzy zostali sprowadzeni do miasta i otrzymali tutaj parafie. Niektórzy z nich piastują stanowiska katedralne; ci, którzy posiadają większe zdolności i wykształcenie, wykładają w szkole duchownej i są nauczycielami prawa w tutejszym progimnazjum, w przytułku dla bezdomnych, za co otrzymują solidne wynagrodzenie pieniężne. Parafie wiejskie zajmują spore terytoria i duchowny musi pokonywać duże odległości (setki wiorst) kilka razy do roku. Do tego domy Jakutów są tak rozproszone, że znajdują się jeden od drugiego w odległości dziesiątek wiorst, a przy tym tak mało pojemne i brudne, że duchowny nie może się w nich za-

trzymać nawet na krótki czas. Jeśli wziąć pod uwagę całą ze wszech miar trudną drogę i wszelkie niedostatki, które musi znosić wiejski ksiądz podczas objazdu swojej rozległej parafii, to nie można nie zgodzić się z tym, że jego obowiązek jest bardzo ciężki, a praca wynagradzana tylko skromnymi datkami parafian. A poza tym źli ludzie nie szczędzą wrogich słów temu utrudzonemu człowiekowi i jakby z zawiści o beztroskie na pozór życie starają się wzbudzić wątpliwości społeczeństwa na temat bezinteresowności i dobroduszości każdego tutejszego parafialnego księdza.

Jakucka administracja obwodowa odnosi się do tego kraju z dużą troską i we wszystkich jej przedsięwzięciach można dostrzec pozytywne wysiłki dzięki inicjatywie generał-gubernatora Syberii Wschodniej i jego szczerym intencjom. Mieszkańcy tej krainy widzą w przedstawicielu administracji nie tylko surowego stróża prawa ścigającego nadużycia, ale także człowieka inteligentnego, sprawiedliwego, pokornego, przystępnego dla wszystkich i starającego się zrozumieć sytuację każdego, nie ulegając w swoich przekonaniach wpływowi postronnych. Tak mówią w Jakucku o naczelniku tutejszego kraju.¹ Główne zadanie jakuckich urzędników to troska o dobrobyt tutejszych plemion i wykorzenienie łapówkarstwa wśród urzędników niższych szczebli, lecz niestety zadania te są bardzo trudne do wykonania i czasami nie przynoszą rezultatu. Przyczyna leży głównie w nieznajomości przez administratorów języka jakuckiego, którym władają tylko nieliczni, lecz na ich pomoc nie zawsze można liczyć. Dlatego wszystkie dokumenty urzędowe sporządzane są w języku rosyjskim i ograniczają się w dużej mierze do niekończącej się korespondencji obfitującej w nakazy, napomnienia, ostrzeżenia i przymuszenia. Rozporządzenia naczelnika okręgu o wszelkiej poprawie bytu społeczności są niewykonalne w świetle praw obcoziemców tylko dlatego, że zostały wydane w języku rosyjskim – dla nich niezrozumiałym. Choć starsi plemienni mają stały dostęp do gubernatora, to z powodu nieznajomości rosyjskiego w swoich osobistych kontaktach potrzebują tłumacza. Ta okoliczność bardzo ogranicza społeczność plemienną, ponieważ w ważniejszych sprawach nie potrafi wyrazić swoich potrzeb ani skarg na krzywdy w obecności osób trzecich w obawie przed prześladowaniami w przypadku rozgłosu. Tłumaczami są zazwyczaj kozacy, którzy nie przekazują wiernie gubernatorowi informacji tubylców, a tym z kolei odpowiedzi gubernatora.

Policja, zarówno miejska, jak i ziemska znajduje się w rękach biurokratów (miejscowych ziomków), którzy mówią po jakucku i dlatego ich stosunki z Jakutami są w dużej części tajemnicą i wymykają się kontroli okręgowego zarządu, do którego prawie nigdy nie dochodzą skargi Jakutów na policję. Naczelnictwo, widząc w tym dowód dobrego zarządzania, doszło do logicznego wniosku, że „jeśli się nie skarżą, to znaczy, że są zadowoleni” – i z pełnym zaufaniem odnosi się do domniemanej praworządności urzędników policji.

Sąd, zarówno w przypadku ciężkich spraw, jak i wykroczeń, rozstrzyga je według plemiennego wymiaru sprawiedliwości (składającego się z naczelnika i starosty) bez żadnych określonych reguł: sprawy są prowadzone według porządku, stwarzającego duże pole do nadużyć. Choć prawo daje Jakutom moż-

¹ Generał-major Wiktor Pawłowicz de Witte.

liwość kierowania swoich skarg do sądu okręgowego lub policji okręgowej, to jednak ci niechętnie z tego korzystają, woląc zakończyć sprawę na miejscu według rodzimego sądu niż wyruszyć do miasta i stosować się do wszystkich formalności „sądu pisemnego” (tak go nazywają Jakuci).

Życie codzienne Jakucka wygląda tak jak w wielu prowincjonalnych miastach, które oddalone od cywilizacji i władzy pogrążają się coraz głębiej w moralnym zastoju, a ich życie towarzyskie, sprowadzające się tylko do codziennych niesnasek, nie wygląda zbyt obiecująco. Przybyszowi od razu rzucają się w oczy fizjonomie mężczyzn i kobiet typu azjatyckiego; śniada skóra, wystające kości policzkowe, niskie czoło i wąskie oczy natychmiast ujawniają jakucką rasę, urozmaiconą poprzez przemieszanie z Rosjanami. Naród jakucki, składający się kiedyś z niezależnych plemion, został pokonany przez garstkę kozaków. Do tej pory jeszcze koło miejscowego soboru i innych miejsc zachowały się trzy bądź cztery drewniane wieże z częścią drewnianej ściany, stanowiącej kiedyś ogrodzenie „jakuckiego miasteczka”.

Spoza tego ogrodu odważni kozacy odstrzelili się z pistoletów i samozapłonów od strzał, którymi zarzucali ich broniący miasta Jakuci. Po licznych potyczkach część rosyjskich śmiałków triumfowała nad wielkimi hordami tubylców, zmuszonych do złożenia broni i poddania się rosyjskim prawom. Jakuci szybko pogodzili się z utratą niezależności, jednak rosyjski rząd, który wziął ich pod swoje panowanie, nie opóźnił się z wysłaniem tam swoich wojewodów i urzędników, a także umocnił szeregi straży wewnętrznej, zsyłając do miasta kozaków z innych miejscowości Syberii. Ci, jako w dużej części ludzie pozbawieni rodziny, zostali tutaj osiedleni na stałe i byli zmuszeni szukać sobie żon wśród tutejszych kobiet. To powinowactwo przybyszów z miejscowymi bardzo szybko zbliżyło podbitych ze zdobywcami do tego stopnia, że jedni od drugich zaczęli szybko przejmować język, obyczaje i wierzenia, co ukształtowało osobliwy jakucko-rosyjski typ, którego ślady, widoczne na twarzy niemal każdego mieszkańca miasta, rzucają się w oczy każdemu. Wskutek tego już dawnego skolidacenia wielu kozaków oraz mieszczan władza językiem jakuckim lepiej niż rosyjskim, a także w stylu życia stosują się do jakuckich obyczajów.

Jakuci, wraz z przejściem na chrześcijaństwo, przejęli chrześcijańskie imiona oraz rosyjskie nazwiska, dlatego bardzo często można spotkać nawet w odległej urasie Jakuta, który nie zna słowa po rosyjsku, ale nosi czysto rosyjskie nazwisko. Wiele nazwisk przejęli od urzędników, którzy byli ich ojcami chrzestnymi. Stały napływ Rosjan do tego kraju (urzędników, kupców, mieszczan, przemysłowców), jaki rozpoczął się ponad 200 lat temu, trwa do czasów obecnych. Element jakucki jest silnym hamulcem dla wprowadzenia oświaty; od przyjeżdżających z rosyjskich miast, a także ze stolicy, wśród których spotyka się bardzo wykształconych ludzi, Jakuci przejęli tylko zewnętrzny blask i zasady towarzyskie. Jeden z byłych gubernatorów założył tutaj jakuckie stowarzyszenie społeczne celem zbliżenia obyczajowego przedstawicieli wszystkich grup społecznych w mieście i tym sposobem zapoznania ich z niezbędnymi zasadami współżycia społecznego, jakimi kierują się Rosjanie. W takiej formie tutejsze stowarzyszenie, nazwane „błogosławionym”, jest dostępne dla wszystkich

i znajduje się pod ścisłą kontrolą naczelnika okręgu, strzegącego moralności i przyzwoitości mieszkańców. Członkami klubu oraz starszyny są przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. Kto po raz pierwszy odwiedził stowarzyszenie, ten z pewnością odniesie pozytywne wrażenie; z wyglądu przyzwoite choć skromne urządzenie nie przywodzi przybyłemu na myśl, że przebywa na prawie dzikich peryferiach Azji. Dobrze ubrani młodzi mężczyźni uważają siebie za prawdziwych dżentelmenów; dziewczęta oraz młode damy w niebogatych, lecz uszytych ze smakiem sukniach, są bardzo miłe, skromne, bez żadnego mizdrzenia się oraz nie wydają się nieśmiało w rozmowach, które potrafią ożywić trafnymi ripostami. Kobiety i młode dziewczęta zazwyczaj tańczą (muzykę wykonuje miejska orkiestra złożona z kilku artystów), a bardziej podeszli w latach rodzice spędzają czas przy karcianych stołach. W tutejszym stowarzyszeniu wszystko jest urządzone wygodnie i z prostotą, żadnych szczególnych warunków krępujących swobodę gościa; wczorajsze spotkanie trwało do północy i tylko w większe święta kończy się o godzinę, dwie później. Pierwszy opuszcza spotkanie gubernator, za nim damy oraz młodzież; pozostaje jeszcze tylko kilku mężczyzn, którzy po zakończeniu partyjki „generalskiego” goszczą się szampanem, bez wypicia którego nigdy nie rozchodzą się do domów. Mężczyźni rano zajmują się swoimi sprawami: jeden urzędowaniem, inny handlem lub jakąś swoją inną specjalnością, a wieczory każdy z nich ma wolne i poświęca je grze w karty: „generalskiej”, muszce, a czasami zabronionemu sztosikowi. Dopóki nie zbiorą się wszyscy i nie zajmą miejsca przy stołach karcianych, zebrani prowadzą rozmowy, których tematem często są jakieś przygody, jeśli nie w samym mieście to poza nim lub inna interesująca nowinka. A jeśli brakuje takich tematów, to rozmowa toczy się wokół błahostek, na przykład co powiedział jego ekscelencja na jakimś wykładzie o pewnej sprawie lub co irkucka poczta przywiozła od jego ekscelencji, czy też czym skończyła się dana sprawa itp. Dodatkowo ubarwiają swe opowieści, przy czym pytany wysuwa się na pierwszy plan przed pytającym, a ten ostatni tylko zgadza się z nim we wszystkim. Na tym polega wzajemna wymiana myśli. Siadają do kart. Już o godzinie ósmej stawiają na stół wódkę z powszechnie spożywanymi słonymi zakąskami. Co się zaś tyczy życia towarzyskiego w Jakucku, to nie różni się ono wiele od życia w innych prowincjonalnych miastach ze wszystkimi jego wadami.

W społeczności jakuckiej można spotkać niewiele osób, które interesują się naukami, czy wydarzeniami politycznymi. Wydawane tutaj pisma czyta niewielu, a zaczerpnięte z nich informacje są tematem do rozmów tylko w niektórych kręgach; lecz nie są one tak szerokie, żeby chociaż częściowo mogły wypełnić sobą te intelektualne braki, którymi cechuje się większość tutejszej społeczności.

Pod koniec grudnia 1874 r. zaproponowano mi przeniesienie się do obwodu wilujskiego (sąsiadujący z jakuckim), gdzie w tym czasie panowała ospa. Na miejsce pobytu został wybrany Wilujsk, leżący 710 wiorst od Jakucka; musiałem objechać cały obwód zamieszany głównie przez Jakutów nie znających w ogóle rosyjskiego. Obwód zajmuje 987 wiorst kwadratowych i jest ponad dwa razy większy od Francji. Ludność liczy 55 tysięcy osób obu płci, w tym cztery tysiące Tunguzów, którzy wiodą życie koczownicze, głównie w sąsiednich obwodach oraz 280 rosyjskich chłopów mieszkających w osadzie Nurbinsk. Objazdy tutejszych terenów po nieprzejezdnych drogach, szczególnie podczas silnych mrozów, wiążą się z licznymi niewygodami. Jeździ się zazwyczaj konno, a tylko Tunguzi posiadają renifery.

Od Jakucka do Wilujka najłatwiej dostać się przez las liściasty bardzo wąską drogą, po której jednak bez trudu może przejechać kibitka zaprzęgnięta w troje koni. Do takiej jazdy potrzeba trzech woźniców: jednego na kozłach, a dwóch na przednich koniach, jeden za drugim. Stacje pocztowe są położone w dużej odległości od siebie; najkrótszy odcinek wynosi 30 wiorst, a dłuższe – 40, 50, 60. Takie przejazdy od stacji do stacji są nadzwyczaj męczące i nieprzyjemne. Pomimo wygodnego wyposażenia oraz ciepłej jakuckiej odzieży odczuwa się nieprzyjemny chłód wiejący po ramionach i plecach w miarę zbliżania się do stacji pocztowej. Słowo „przyjechaliśmy” wywiera na przyjeźdnego jakiś magiczny wpływ, od razu robi mu się ciepło, lekko i wesoło; stara się jak najszybciej wyskoczyć z ekwipażu, lecz przeszkadzają mu w tym zdrętwiałe nogi. Niedługo jednak trzeba czekać na pomoc: kilka silnych, jakuckich dłoni migiem wyciąga przybysza z sani, prowadzą go, a raczej niosą do jurty, wsuwają (dosłownie) w wąskie, a przy tym nisko pochylone drzwi i na ich wysokim progu zostawiają samego. Pozostawiony w taki sposób w wąskim otworze stara się z niego wyswobodzić, lecz nie mając przed sobą punktu oparcia, odstępkuje z progu w dół i wpada do jurty napełnionej gęstą parą, przez którą niczego nie widać. Ten niespodziewany upadek nie przynosi mu żadnej szkody, ponieważ cała podłoga jurty jest pokryta sianem.

Gospodarz wraz ze swoją liczną rodziną zaczyna rozbierać gościa, który wygląda jak włochate, niedźwiedziowate i ośnieżone od nóg do głowy straszdyło, w niczym nie przypominające człowieka. Szybko zdejmują z niego wierzchnią odzież, oczyszczają ze śniegu i wieszają na żerdziach; mniejsze rzeczy suszą w rękach przed ogniem, do którego w tym czasie ciągną ręce woźnicy i pozostałej świty towarzyszącej tutaj zazwyczaj każdemu urzędnikowi. Każdy stara się podejść jak najbliżej ognia, żeby ogrzać zlodowaciałe dłonie i w ogóle rozmiękczyć członki w błogim cieple. Wszyscy przybliżają do ognia ściągniętą odzież, a wychodząca z niej kłębamii para jeszcze bardziej zagęszcza ciężkie powietrze w jurcie napełnione już oparami znajdującymi się za przegrodą chotonu.² Lecz przybyły nie zwraca na to specjalnej uwagi i po kilku godzinnym przebywaniu na 40-stopniowym mrozie śpieszy, by ogrzać swoje skostniałe członki. Ożywcze ciepło napełnia go tak przyjaznym uczuciem, że śmierzająca jurta z całym swoim odrażającym dobytkiem wydaje mu się jakimś baśniowym schronieniem z wszelkimi wygodami. Takim przyjemnym marzeniem poddaje się przybyły, leżąc na miękkiej podściółce (z siana lub miękkich skór) w jednej z brudnych przegródek, których znajduje się po kilka w każdej jurcie. Służą one Jakutom jako osobne pokoje, a raczej jako oddzielne łóżka zasłonięte czasami zasłonami, które są przeznaczone tylko dla bardziej oficjalnych gości. Kiedy przybysze zajmują się wzajemnym rozbieraniem jeden drugiego i rozwieszaniem swojej przemarzniętej odzieży, gospodarze kręcą się wokół ognia, ustawiając na nich kociołki, a dla urzędnika stawiają samowar, w który usilnie dmuchają Jakutki i ich półnagie dzieci.

Potem zaczyna się wyciąganie zapasów żywnościowych; każdy wyjmuje ze swego worka zmarznięty prowiant i niesie go do ognia. Zmarznięty chleb, nie pokrojony wcześniej, układają na cienkich deseczkach koło ognia; kawałki mięsa pieką na zaostzonych kijkach; gotują przywiezione ze sobą pierogi, rybę,

² Stajnia dla bydła rogatego, którą Jakuci urządzają w swoich jurtach za przegrodami.

parzą cegiełkową herbatę; na patelniach topią krowie masło; jednym słowem, przy ognisku odbywa się straszna bieranina, a na ogniu słychać skwierczenie i trzask tłustych potraw, wydzielających w całej jurcie zapach, który wzbudza apetyt podróżnych. Całe to pitraszenie Jakuci wykonują brudnymi rękami, gdyż prawie nigdy się nie myją, a kiedy czasem przyjdzie im do głowy obmyć zapaćkaną twarz oraz ręce (pozostałych części ciała nie myją wcale), to biorą wodę z pierwszej lepszej kałuży.

W ogóle Jakuci są bardzo niechlujni, niektórzy nie noszą koszul, a tylko jeden długi po kolana kaftan, szyty z reniferowych skór, futrem na zewnątrz. Dolna część odzieży to tak zwane selia i buturo, które ciasno obejmują nerwy kulszowe i sięgają aż do bioder, a ostatnie w formie gołeni przymocowuje się rzemykami do seli, dochodzą one do kostek, gdzie również są przywiązywane rzemykami. Na nogi wkładają torbazy (rodzaj kozaków zrobionych ze skóry renifera). Głowę mają zazwyczaj odkrytą, a tylko z okazji święta nakładają czapki. Bogatsze Jakutki noszą koszule, ale szyją sobie tylko po takiej jednej i noszą, nie zdejmując ich do tej pory, dopóki nie zostaną z nich strzępki. Mężczyźni także nie używają koszul, a ich kostium jest taki sam jak u kobiet, tylko z tą różnicą, że ich selia jest jednolita. Dzieci są ciągle półnagie; dwuletni Jakucik nosi już torbazy, reszta jego ciała jest pokryta futrzanym kaftanem; prawie cały czas siedzą koło ogniska, by się ogrzać. Wszyscy Jakuci, nie tylko dzieci, przywykli do spędzania dnia przy ogniu, szczególnie Jakutki, wskutek czego wiele z nich cierpi na chroniczne zapalenie oczu, a niektóre całkowicie tracą wzrok.

Nie ma oddzielnych stacji pocztowych w okręgu wilujskim; wszystkie są urządzone w jakuckich jurtach. Jeśli przybysz już wcześniej wiedział, że na każdej stacji czeka go to brudne miejsce, duszące powietrze i ciasnota, to i tak zziębnięty i głodny śpieszy do niej, marząc tylko o szklance gorącej herbaty i miękkim legowisku w malutkim, ciemnym kąciku jurty. Realizacji tych skromnych pragnień sprzyja na tych terenach szybka pocztowa jazda: Jakuci w ogóle jeżdżą szybko, szczególnie jeśli urzędnik zwróci się do nich po jakucku: „jedź szybciej”; wtedy woźnica mknie galopem z krzykiem: „aha... aha... aj”, co zresztą robią i bez tego już na trzy wiorsty od stacji pocztowej. Tutejsi woźnicy są bardzo pokorni, posłuszni i starają się dogodzić pasażerowi we wszystkim, ale ponieważ większość nie zna języka rosyjskiego, to zazwyczaj patrzą mu w oczy i bezmyślnie się uśmiechają, odpowiadając: „nie rozumiem”. Takie wzajemne niezrozumienie często bardzo irytuje bardziej nerwowego pasażera, któremu i bez tego już przykrzy się długa podróż przez tajgę w taki silny mróz.

Jeśli zapytać woźnicę, ile wiorst już przejechaliśmy lub ile pozostało do końca, on tylko się odwróci, uśmiechnie i zacznie szybciej poganiać konie, nie zwracając żadnej uwagi na nadzwyczaj wąską drogę biegnącą pomiędzy drzewami, których suche gałęzie ciągle zahaczają jadącego i łatwo mogą wydfubać mu oczy, a leżące po obu stronach przewrócone wraz z korzeniami pnie – przewrócić cały ekwipunek. Także nieostrożnie zstępują oni przy wąskich brzegach do jezior, rzeczek i potoków, których tutaj jest bardzo dużo. Pasażer ryzykuje złamaniem sobie karku, jeśli nie śledzi jazdy i nie potrafi po jakucku zatrzymać woźnicę na czas słowami: „jedź ostrożniej”; wtedy dwóch woźniców schodzi z koni i podtrzymuje ładunek; bez tego ostrzeżenia oni na łeb na szyję zapuszczają się w góry, chcąc w ten sposób pokazać swoją zuchowatość. Choć przy każdym urzędniku stale jest kozak przydzielony mu za przewodnika, to w cza-

się drogi nie przynosi on wielkiego pożytku, ponieważ idzie zazwyczaj daleko za podróżującym; dlatego podczas przejazdów od stacji do stacji podróżujący znajduje się w pełnej zależności od woźniców, co często staje się powodem wielu nieporozumień.

Na stacjach pocztowych i w ogóle w punktach, gdzie zmienia się konie, a także przy wyjaśnieniach z obcymi (tak ich tutaj nazywają), starosta nie może obejść się bez kozaka, który razem z nim służy urzędnikowi. Kozak-tłumacz cieszy się szczególnym szacunkiem u prostodusznych Jakutów, którzy słuchają go we wszystkim i bez szemrania wypełniają wszystkie jego rozkazy, wydawane często z czysto interesownych pobudek, niby w imieniu urzędników. W taki sposób jego kręctwa są powodem do narzekań i skarg na wymagania, za które władze administracyjne obwiniają w niczym niewinnego urzędnika. Oszustwa kozaka-przewodnika polegają głównie na żądaniu od właścicieli poczty (Jakuta) dodatkowych koni, rzekomo dla przedstawiciela władzy, a naprawdę wykorzystywanych do przewozu jego własnego bagażu składającego się z różnych przedmiotów, w które zaopatrują się w Jakucku celem ich wymiany na futro. Stąd biorą się częste skargi, kończące się płaceniem przez urzędników za dodatkowe konie. Kozak, wykonawszy kilka takich przejazdów, buduje sobie w mieście szeregowy domek, a nieszczęsny urzędnik ciągle musi się martwić o pieniądze na życie codzienne.

Do Wilujka przybyłem ósmego stycznia, skąd przez dwa miesiące robiłem objazdy po całym obwodzie celem doglądania chorych. Miasto to jest gorsze od każdej rosyjskiej wioski: leży jakby w kotlinie i w błocie, ze wszystkich stron jest otoczone lasem składającym się (w okolicach samego miasta) przeważnie z jodły z domieszką sosny i modrzewia. Stoi w nim gdzieś 36 brzydkich domów, pięć jakuckich jurt i jedna drewniana cerkiew. Na skraju miasta znajduje się więzienie, także drewniane i dość obszerne; stanowi ono jedną z lepszych budowli. Przebywa w nim tylko jeden skazany. Mieszkańcy to Rosjanie (mieszczanie) oraz Jakuci.

Czytelnik nie potrafi sobie wyobrazić, nawet w niewielkim stopniu, tej strasznej głuszy, w jakiej pogrążone jest to miasteczko oraz martwej ciszy, której ni dniami ni nocą nie zagłusza nawet szczekanie psa. Nie można tu dostrzec nawet najmniejszych oznak życia; ulice są zawsze puste, wokół panuje milczenie; wszyscy mieszkańcy są jak pogrążeni w letargicznym śnie, w jaki zapadają niedźwiedzie śpiące teraz pod śniegiem, w odległych szczelinach nieprzebytej tajgi. Gdzie nie rzucisz okiem, wszędzie natrafiasz tylko na tę milczącą tajgę, która niczym amfiteatr otacza miasto wysokim murem. Przed nią stoją masowe jodły, ciężkie od śniegu i nieruchome niczym marmurowe posągi skamieniałe od 50-stopniowego mrozu, od którego i samo powietrze tak stężało, że dostrzega się w nim całkowity bezruch. Na przestrzeni ponad 30 wiorst nie można spotkać wokół miasta ani jednego zwierzęcia, ani jednego ptaszka. W takim miejscu jest położony Wilujsk, sprawiający wrażenie zimowego, oddalonego cmentarza, którego budowle niby wielkie mogiły pokryte zaspami śniegu z daleka rzucają się w oczy. Spędziwszy w nim trzy dni z rzędu, jakby w więzieniu, poczułem tak silny smutek, że ledwo mogłem się doczekać nieuniknionego rozporządzenia miejscowej policji o konieczności objazdu obwodu. Nie odstraszały mnie ciężkie mrozy ani odrażające jakuckie jurty; przeciwnie, z radością w sercu śpieszyłem ku każdemu jakuckiemu mieszkaniu z przekonaniem, że czeka mnie tam serdeczne przyjęcie i szczerą chęć dogodzenia mi we wszystkim.

Tutejsi Jakuci w ogóle nie dbają o higienę, nie myją się, a odzież noszą bez przerwy, w ogóle się nie rozbierając nawet do snu; w wyborze pożywienia i napojów także nie są zbyt wybredni i aby ugasić pragnienie sięgają ręką do pierwszej lepszej kałuży (latem) lub roztopionego śniegu zdeptanego przez bydło. Biedniejsi Jakuci zamiast mąki żytniej używają zmielonej w drobny proszek kory sosnowej, oczyszczonej z wierzchniej powłoki. Przygotowują z niej zaczyn, mieszając z gorącą wodą. Pożywienie to nazywają „bałtuska”. Drobną rybę, którą latem łowią w dużych ilościach, zakopują w ziemi i już zgniłą gotują, przygotowując z niej potrawę pod nazwą „symba”. Ma ona nieprzyjemny ostry zapach, który rozprzestrzenia się bardzo daleko, na wiorstę, a nawet dalej od tego miejsca, gdzie się znajduje. Jakuci stosują także jako pożywienie koninę, przedkładając ją nad wołowinę, pomimo że bogatsi posiadają czasem po kilkadziesiąt sztuk bydła. Do tego nie przywiązują większej wagi do prawidłowego odżywiania, choć wydają się nadzwyczaj wstrzemięźliwymi. Niekiedy, z powodu braku zapasów, Jakut znosi głód dwie-trzy doby, a nawet dłużej, co zdarza się często podczas polowania na wiewiórki. Bywa i na odwrót, na przykład podczas wesela czy stypy zaproszony w gości długo oddaje się obżarstwu bez żadnego uszczerbku na zdrowiu.

Istnieje wyobrażenie o Jakutach, że nigdy nie można ich nakarmić do syta. Najczęściej goszczą się nawzajem roztopionym krowim masłem, do którego dodają czasami koński tłuszcz i potrafią wypić na raz po kilka funtów tej mieszanki. Tłuszcz ten wykorzystywany jest poza tym jako lekarstwo na wszelkie choroby. Chociaż wszyscy Jakuci zostali już nawróceni na chrześcijaństwo i biorą udział w obrzędzie cerkiewnym, to w przypadku chorób zwracają się do szamanów, którzy do tej pory nie zniknęli nie tylko z okręgu wilujskiego, ale z całego obwodu jakuckiego. Swoje praktyki uprawiają w tajemnicy, a Jakuci tak zręcznie ukrywają ich w swoim środowisku, że policja, nie mając żadnych jawnych dowodów, nie może ich wytropić. O szamanizm podejrzewa się tych, którzy na przekór przyjętemu zwyczajowi nie strzygą włosów, a zaplatają je w warkocz zgodnie ze starym zwyczajem. Takiemu okręgowy isprawnik każe obciąć włosy, lecz na tym kończą się próby wykorzenienia owych praktyk u tego ludu. Poza tym wśród Jakutów panuje wiele przesadów, ponieważ uparcie wierzą w dobre i złe duchy, które pragną obłąskawić i dlatego praktykują obrzędy składania ofiar w tajdze, szczególnie w tych miejscach niebezpiecznych do podróżowania. Są to bardzo strome schody do jezior i rzek oraz szczyty wysokich gór, na które wspinają się bardzo wąską ścieżką leżącą nad przepaścią. Jakut, przejeżdżający koło takiego miejsca, zawsze zatrzymuje się pod jakimkolwiek pretekstem (jeśli wiezie urzędnika) i wyrwawszy kilka włosów z końskiej grzywy lub ogona wiesza je na gałęziach wielkiego modrzewia albo sosny.

Oprócz końskich włosów Jakuci, wyruszając w drogę, zaopatrują się także w inne rzeczy, jak na przykład kawałki reniferowej skóry, stare paski, które nie nadają się już do użytku, strzępki znoszonej koszuli, kości renifera i konia pozostałe po jedzeniu, kawałki połamanych sprzętów myśliwskich: cebule, łyka itp.; wszystko to wieszają na drzewach lub kładą koło tego symbolicznego miejsca ofiarnego. Ofiary składa się obu grupom duchów: dobrym, zszedłszy już do jeziora lub rzeczki lub wspiąwszy się na wysoką górę lub zimą przed zejściem w dół lub przed niebezpieczną podróżą koło przepaści. Podczas epidemii zabijają psy i wieszają na drzwiach przed wejściem do jurty, aby w ten sposób prześlagać złego ducha. Nie zdejmują go podczas całego okresu trwania epidemii w tym

przekonaniu, że zły duch zadowolony taką ofiarą nie będzie szukał nowych pośród członków ich rodzin. Policja oczywiście tępi ten szkodliwy zabobon.

Jednym z głównych nawyków Jakuta jest palenie tytoniu. Od wczesnej młodości stale noszą przy sobie ogniwo, kamień, gąbkę lub malutką, miedzianą trąbkę (chantajar), w której ledwo można było zmieścić kilka okruchów zmiętego w dłoni tytoniu. Z tymi rzeczami Jakut nie rozstaje się nawet, kładąc się spać. Pałą nie dłużej niż 20 sekund, lecz za to z dużą częstotliwością. Jakut długo może znieść głód i bezsenność, jednak ani dnia może obejść się bez palenia. Używają zazwyczaj tytoniu czerkieckiego, a gdy go zabraknie, to wykorzystują korę starej topoli, którą bardzo często można spotkać w tajdze na obszarach nizinnych. Ubożsi Jakuci, nieposiadający miedzianej trąbki, robią ją z jakiegokolwiek szczapki za każdym razem, kiedy chcą zapalić. Nadają jej za pomocą noża³ formę czółenka o długości dwóch werszków i szerokości pół werszka. Na płaskiej stronie wydłubują wgłębienie i wiercą w nim niewielki otwór. Wypełniają go okruchami tytoniu albo zmielonej kory topoli i przez niego wdychają dym, przykładając do ust wypukłą stronę zrobionej naprędce trąbki. Przygotowanie wymaga dziesięć razy więcej czasu niż samo palenie, o czym przekonałem się, obserwując woźniców. Każdy z nich wciągał dym od 13 do 17 razy, po czym wyrzucał za siebie zrobiony szybko chantajar.

Pod koniec lutego 1875 r. powinienem wyruszyć do jednego z oddalonych okręgów obwodu jakuckiego, a mianowicie do okręgu kołymskiego. Trzeba było znowu wybrać się do Jakucka, z którego wyruszyłem 10 marca i udałem się do miasta Średniekołymska. Leży ono 2500 wiorst od Jakucka. Każdy urzędnik, wybierający się w tak daleką podróż, zaopatruje się w prowiant na co najmniej dwa miesiące, montuje jako swój pojazd dwie-trzy pary sań i szyje dla siebie jakucki ubiór. Na przewodnika wyznaczają mu kozaka z miejscowego jakuckiego pułku kozackiego. Do Średniekołymska jeździ się trochę konno, a częściowo na reniferach, a tylko na niektórych terenach używa się psiego zaprzęgu. Pasażerowie oraz woźnica jadą na końskim grzbiecie. Na życzenie jadącego zaprzęgają do sań po jednym koniu, a tam gdzie ich brakuje po dwa renifery i 13 psów (pełny psi zaprzęg). Dwanaście psów zaprzężonych w sanie idzie parami jedna za drugą, a trzynasty wytresowany podąża przodem i nazywany jest „czołowym”; trzyma się stale wydeptanej na śniegu ścieżki, która jest tu jedyną przejezdną drogą.

14 marca 1875 r. Przebywszy w ciągu czterech dni około 270 wiorst od Jakucka, wczoraj rano zatrzymałem się na nocleg w uroczysku Sangaaty. Zawięzli mnie tam saniami prawie truchtem, tak żeby nie pozostawały w tyle kroczące za mną konie juczne, którymi jechał felczer, tłumacz, woźnica, transport leków, zapasy aptekarskie oraz pozostałe bagaże w tobołkach. Cały transport zajmował jedną czwartą wiorsty i poruszał się bardzo wolno po wąskiej ścieżce, tak że od noclegu do noclegu wykonywaliśmy nie więcej niż 30-40 wiorst, zatrzymując się, póki było jeszcze w miarę jasno w pojedynczych jurtach zbudowanych w różnej odległości między sobą, pomiędzy stacjami pocztowymi. Te z kolei są położone 150, 200, 500 wiorst od siebie. Ścieżka pocztowa biegnie przez lasy i tundrę. Lasy są tutaj liściaste, tylko gdzie niegdzie można spotkać

³ Każdy Jakut nosi przy sobie niewielki nóż przywiązany rzemykiem do prawego biodra.

jodłę, a bardzo rzadko brzozę. Drzewa liściaste, chociaż dość wysokie, są cienkie i mizerne, a pomiędzy nimi znajdują się znaczne odcinki, że oko może przeniknąć głąb lasu na pół wiorsty. Lesiste miejsca są pagórkowate. Całą nizinę pokrywają tundry usiane wysokimi, zaokrąglonymi gromadkami, które w innych miejscach są tak ściśnięte, że przejechać między nimi jest nadzwyczaj trudno. Na dwie wiorsty przed uroczyskiem Sangaaly przejeżdża się koło rzeki Ałdan. Jest ona szeroka na jedną czwartą wiorsty i posiada bardzo strome zejście, a jej brzegi (zachodni oraz wschodni) są zajęte przez duże kry lodu nawarstwione w niektórych miejscach tak wysoko, że trudno znaleźć swobodny przejazd pośrodku rzeki. Wskazuje to na to, że nie zamarza ona od razu, mocno się wzburza przy silnych mrozach i na początku zimy.

15 marca 1875 r. W ciągu całego dnia przebyliśmy nie więcej niż 40 wiorst od rzeki Ałdan i zatrzymaliśmy się na nocleg w zajeździe Merekesza, od którego już tylko 150 wiorst do masywu wierchojańskiego. Wolne tempo dzisiejszej jazdy brało się stąd, że wygodnie było jechać wąską ścieżką przerzuconą przez las na zboczach, na której cały czas przewracały się jadące za mną sanie z prowiantem oraz rzeczami, kiedy moje sanie stale podtrzymywali woźnice. Poza tym było bardzo dużo ostrych zejść do rzeki wymagających napiętej uwagi woźnicy oraz typowej dla niego ostrożności, aby zaoszczędzić jadącemu stłuczek. Na dobitkę tych wszystkich niedogodności dzisiejszej jazdy wąska ścieżka prowadziła przez masę skupionych krzaków, których suche gałęzie uderzające po bokach jurty, na każdym kroku groziły wykluciem oczu w przypadku podniesienia się z sań.⁴ Po tej nadzwyczaj meczącej podróży przyszło mi po raz pierwszy nocować w tzw. „powarni”. Jest to nieduży, drewniany, ośmio-kątny domek podobny do jurty, a jeszcze bardziej do rosyjskiego spichlerza, ale bez dachu; ściany jego zbudowane są bardzo niechlujnie, z wykrzywionych, modrzewiowych brewion, pomiędzy którymi prześwieca wiele szczelin przepuszczających chłód i wilgoć. W dwóch przeciwległych ścianach, po prawej i po lewej stronie zrobiono okna, w które zimą wstawia się lód, a latem są puste. Pośrodku powarni stoi czterokątne ognisko, nad którym w suficie przewiercony jest duży otwór dla wypuszczania dymu, a wzdłuż ścian stoją najprostsze legowiska z cienkich modrzewi rozłupanych na pół, lecz nieociosanych. Z takiego materiału sklecone są byle jak podłoga i sufit; ten ostatni przykryty jest z wierzchu niezbyt grubą warstwą ziemi, a podłoga zaśmieccona, a do tego nierówna, że trzeba stąpać po niej z dużą ostrożnością ze strachu, żeby sobie nie połamać nóg. Takie udogodnienia dla przybyłych, według słów pewnego kozaka, czekają ich na początku, na całym trakcie do Średniekołymska (jeśli ścieżkę wydeptaną w śniegu można nazwać traktem) z wyjątkiem tylko stacji pocztowych, które znajdują się zazwyczaj w jurtach Jakutów.

Wszystkie powarnie stoją puste, dopóki ktoś do nich nie przybędzie i dlatego są stale chłodne i wilgotne. Dokładnie taka była powarnia Merekesza, w której się zatrzymałem na nocleg wczoraj wieczorem głodny i zmęczony jazdą. Po wejściu zauważyłem wiązkę narąbanych drewn pozostawionych, jak mi potem wyjaśniono, przez tego, który zatrzymał się tu przede mną, co również i ja powi-

⁴ Rodzaj bardzo wąskich i bardzo długich (na całą długość człowieka) sań, w których pasażer powinien cały czas leżeć, mogąc przewrócić się tylko z boku na bok. Poza poduszką i kołdrą nic się więcej tam nie może zmieścić.

nieniem zrobić, zanim opuszczę to miejsce. Woźnice zaczęli tymczasem rozpalać ogień, od czego zaraz powietrze wypełniło się tak gęstym dymem, że nie można było w żaden sposób ustać na nogach lub usiedzieć, więc byłem zmuszony przeleżeć ponad godzinę na brudnym legowisku z zamkniętymi oczami, nie rozebrawszy się wcześniej i ciągle zamykając usta, aby nie udusić się od dymu. Powietrze bardzo długo nie chciało się nagrzać, ponieważ drzwi nie zamykały się od chodzenia tam i z powrotem przez woźniców, znoszących to węzełki z pożywieniem, to lód do przygotowania herbaty, to drewno do ogniska. Słowem, tylko już dwie godziny po przybyciu do tego miejsca udało mi się uspokoić, uwolnić od niewygodnego, jakuckiego kostiumu podróżnego, napić herbaty, a po niej pokrzepić siły czym Bóg dał lub, ściślej mówiąc, zamrożonym prowiantem znajdującym się w zapasie, na rozgrzanie którego potrzeba było jeszcze 15 minut. Było już dawno po północy, kiedy postanowiliśmy się położyć spać. Powarnia napełniła się nagle skórami reniferów, których Jakuci używali jako pościeli i w jednej chwili cała podłoga była nimi pokryta z powodu braku miejsca na legowiskach, na których większą część zajmowały tobołki z manatkami i węzełki z prowiantem. W osobnym kąciku przygotowano spanie dla mnie, przed którym rozwieszono czum⁵, aby chronić mnie przed skrzącym ogniem. Każdy położył się spać, nie rozebrawszy się, i otuliwszy czym popadło od stóp do głów, ponieważ w pomieszczeniu, pomimo nieustannie podtrzymywanego ognia, panował chłód. Było tak, gdyż bardzo wiało przez nieszczelne drzwi, spod podłogi i przez ogromne szczeliny w ścianach, a wreszcie przez wielki otwór pod ogniskiem po tym, jak ogień został zgaszony. Otwór ów był tak duży, że można było przez niego obserwować gwiazdy świecące jasno na bezchmurnym niebie. Nie zmrużyłem oka przez całą noc, ponieważ drażniły mnie nosowe śpiewy wydawane przez Jakutów pogrążonych w głębokim śnie, z których jeden sprzykrzył mi się szczególnie, bo recytował przez sen swój jakucki romans. Z trudem doczekałem się poranka, a wraz z nim odjazdu z tego odpychającego miejsca.

18 marca 1875 r. O siódmej wieczorem zatrzymałem się na nocleg w powarni Ana-soch (bez drzwi) znajdującej się 20 wiorst od tego miejsca, przez które będzie mi trzeba się jutro przeprawić lub, jak mówią u nas, „przeprawić się przez wierchojański masyw”, który stanowi jedną z odnóg Gór Jabłonowych. W ciągu trzech dni przejechałem więcej niż 120 wiorst, przenocowałem dwa razy w bitiukulskiej stacji pocztowej oraz w powarni Kurun-Habczagaj. Podróże przez te tereny były tak ciężkie, że trudno sobie wyobrazić gorsze na całej kuli ziemskiej. Droga, a właściwie ścieżka biegnąca przez las na wysokich, nierównych, skalistych pagórkach ze stromymi stokami, a na nizinach przez gęste tundry, była ledwo widoczna, a w niektórych miejscach znikła całkowicie. Jej szlak znaczyły tylko niewielkie drewniane krzyże, zbudowane pośpiesznie z cienkich prętów, a w kłębiastych tundrach i w jeziorach niezbyt wysokie, grube kije, do których końców były przymocowane krągłe kępiki wraz z rosnącą na nich długą trawą, przypominające z daleka ludzkie głowy z rozpuszczonymi włosami. Wiele razy przychodziło przebijać się przez gęstwinę, leżąc w saniach twarzą w dół, aby nie zahaczyć o sterczące po obu stronach gałęzie i uniknąć potrącania o pnie, które tutaj leżą na każdym kroku, oraz utrzymać się z całych sił, aby nie spaść z prawie wiszących stromych zboczy schodzących

⁵ Rodzaj prześcieradła uszytego z materiału niskiego gatunku o szerokości 2,5 arszyna. Jego długość bywa różna.

w malutkie rzeczki i potoki, których po drodze spotkałem bardzo wiele. Wszystko to jednak nie przeszkodziło mi w obserwacjach danego miejsca. Poczтовая droga prowadzi w kierunku Gór Jabłonowych, to zbliżając się do nich na kilka sążni, to oddalając dalej niż na jedną czwartą wiorsty najczęściej w głąb lasu, gdzie biegnie pomiędzy modrzewiami stojącymi koło siebie tak blisko, że sanie ledwo mogły się przez nie prześliznąć. Pośród tych drzew rośnie też obficie topola, której gruby pień w jego dolnej części pokryty jest szczelną, popękaną korą, jaką Jakuci i Tunguzi dodają do tytoniu, a czasami palą bardzo drobno pokruszoną, bez żadnych dodatków. Można też tutaj spotkać dużo brzoź, które choć wysokie i zgrabne, są nadzwyczaj cienkie. Ostatni odcinek pomiędzy powarniami Kurun-Chabczaraj a Ana-soch przyszło nam przejechać po gołych kamieniach, ponieważ w tym miejscu droga położona pomiędzy odnogami gór w korycie rzeki Tukułana, latem jest dość głęboka, a jesienią całkowicie wysycha, pozostawiając na czas zimny kamieniste dno bez najmniejszego na nim śladu śniegu; zdmuchują go nieustanne i przenikliwe wiatry. W tych miejscach, gdzie pozostała po lecie woda zamarzała z powodu silnych mrozów, utworzyła się śliska lodowa skorupa, po której zaprzężone do sań renifery szły z wielkim trudem; jadę nimi już dwa ostatnie odcinki, a wiozę mnie Tunguzi. W miarę zbliżania się do powarni Ana-soch odnogi gór, pomiędzy którymi jechaliśmy, wyraźnie zbliżały się do siebie, od czego przestrzeń stawała się coraz węższa i węższa, a na końcu, przy samej powarni zmieniła się w wąski, kręty i głęboki jar okolony wysokimi górami, których szczyty sięgają wiszących nad nimi obłoków. W miejscu tym żyje wiele niedźwiedzi, na które polują Tunguzi. Pojawiają się one regularnie nad brzegiem rzeki Tukułana. Na niedźwiedzie poluje się gwintówką albo zabija je nożem, celując w samo serce. Poza tym żyje tu wiele dzikich reniferów, łosi, czarnych wiewiórek i lisów; te ostanie zabija się za pomocą trucizny, a także stawia się na nie zasadzki oraz wysyła w ich kierunku strzały.

Koczujący Tunguzi płacą do skarbu jasad w postaci konkretnej ilości czarnych wiewiórek lub po jednym rublu i trzy kopiejki za sztukę. Tutejsi Tunguzi mają wzrost powyżej średniego, są bardziej urodziwi od Jakutów, energiczni i schludni, a przy tym bardzo zręczni i usłużni. W ogóle nie jedzą chleba, a żywią się tylko mięsem renifera i niedźwiedzia, rzadko kiedy rybą. Chociaż oficjalnie wszyscy wyznają prawosławie, to nigdy nie przestrzegają postów, ponieważ tutaj nie można dostać niczego postnego; dlatego też duchowni przybywający w to miejsce w celu wykonania posług cerkiewnych przed Świętami Wielkanocnymi zmuszeni są żywić się mięsem renifera. Tunguzi bardzo lubią herbatę cegiełkową, którą piją bez niczego; tylko bogatsi z rzadka do herbaty przekazują malutkie, płaskie placuszki upieczone na drewnianych tackach na rozżarzonych węglach.

19 marca 1875 r. Dziś o drugiej po południu przejeżdżałem przez masyw wierchojański i o 11 rano znalazłem się u stóp gór. Najpierw było wygodnie wspiąć się na górę po dość krętym wzniesieniu o długości około pięciu wiorst, które kończy się niewielkim placykiem. Tutaj zaczyna się prawie zwisające wzniesienie na szczyt grzbietu o wysokości do 40 sążni, a może i więcej. Każdy z przejeżdżających stara się go ominąć, robiąc objazd w prawo na jakieś trzy wiorsty ścieżką położoną w niektórych miejscach nad przepaścią. Do tego jest ona tak wąska, że pasażerowie mogą nią jechać tylko konno, a konie juczne przechodzić pojedynczo. Według rady Tunguzów moje sanie trzeba było wciągnąć na szczyt przy pomocy reniferów, a ja musiałem wjechać tam konno. Jednak, zrobiwszy nie więcej niż jedną czwartą wiorsty, znalazłem się na wąskiej

ścieżce biegnącej nad przepaścią i poczułem krążenie w głowie, więc zdecydowałem zejść z konia tym bardziej, że zacząłem odczuwać chłód od ciągle wiejącego wiatru, do którego nieoczekiwanie dołączył śnieg, jaki w końcu spowodował poważną zamieć. Powróciwszy do stromego wzniesienia, postanowiłem wspiąć się nim z powrotem na szczyt grzbietu, zakładając taką możliwość na podstawie informacji woźniców, którzy zgodzili się wciągnąć moje sanie z rzeczami. Kazałem wtedy wyrąbać szczebelki i po nich wspinałem się coraz wyżej i wyżej. Tak też uczyniliśmy. Ułożyłem się w saniach, kazałem zamknąć na głucho i leżałem nieruchomo przez całą drogę. Na przystankach na wzniesieniu, które były konieczne dla wykonania nowych stopni, moje sanie podtrzymywało czterech woźniców. Wspinając się w taki sposób dość długo, usłyszałem nagle ich radosny krzyk: „szabas”. Znaczyło to, że moje sanie były już na szczycie grzbietu, o czym przekonałem się sam w tej chwili, gdy poczułem, że moje pionowe położenie w nich nagle stało się pionowym. Radośni Tunguzi zaczęli wyciągać mnie z ciasnego zakorkowania w saniach jak jakiś worek z rzeczami i dobroduszenie uśmiechając się do mnie, zaczęli pozdrawiać po tunguzku wraz ze szczęśliwym finałem niebezpiecznego przejazdu, objaśniając przy tym za pomocą gestykulacji, ile im to nastręczyło trudności! W odpowiedzi na to pozdrowienie sięgnąłem do portfela po zapłatę, a poza tym kazałem ich ugościć herbatą. Lecz okazało się, że jej tu nie ma, a pozostała wraz z resztą zapasów w saniach czekających na placu na dole do czasu, kiedy nie wtaszczy się ich na górę po wyrąbanych już stopniach. Tunguzi zadowoleni z mojej jałmużny oraz podnieceni czekającą ich gością migiem ruszyli po nie w dół; jedni siedzący na niedźwiedzich skórkach wyciągniętych z moich sań, które służyły mi za pościel, szybko zeszli ze szczytu, inni opierając się o zastrzone kije bardzo szybko prowadzili renifery. Patrzyłem z zadowoleniem na zwinność i jednych i drugich, lecz zadziwiła mnie śmiałość niektórych, którzy ryzykowali rozbiciem sobie głowy o wystające w niektórych miejscach skaliste zbocza gór, których się przytrzymywali przy zejściu. Wszystko jednakże zakończyło się pomyślnie i w ciągu niecałej godziny sanie zostały wciągnięte na górę, a samotny placyk na szczycie grzbietu ożywił się wesołym towarzyskim gwarem, żartami, głośnym śmiechem oraz skrzącymi się ogniskami, wokół których przygotowywano jedzenie, a w kociołkach ważyło się masło wytwarzane z mleka reniferów dla Tunguzów. Od nich dowiedziałem się, że zejście z góry nie było tak strome jak wejście i nie jest w ogóle niebezpieczne, że ciągnie się ustępami więcej niż trzy wiorsty po równym terenie i w końcu, że będziemy zjeżdżać saniami bez reniferów. I w rzeczy samej zjechaliśmy szczęśliwie.

Kiedy już wszystko było gotowe, aby zakończyć przystanek, przywiązali renifery z tyłu moich sań długimi sznurami, a ja wygodnie ułożyłem się w nich jak w łóżku, woźnica zaś usiadł półobrotem w tym miejscu, które w saniach jest zazwyczaj przeznaczone dla stangreta i zwiesił nogi na zewnątrz; lewą ręką trzymał się za kozła, a zaostrzonym kijkiem po lewej stronie nadawał im właściwy kierunek i podtrzymywał je na niekiedy ostrych zakrętach. Zjeżdżaliśmy z góry prawie godzinę, a o ósmej wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg w pierwszej powarni na terenie okręgu wierchojańskiego.

20 marca 1875 r. Przejechałem dziś 70 wiorst tylko reniferami i w ciągu ośmiu godzin dotarliśmy do powarni moldzegolskiej, do której 10 ostatnich wiorst trzeba było jechać rzeka Janą, i tu pozostaliśmy na nocleg. W połowie

tego odcinka trafiła nam się do odpoczynku jedna z najwstrętniejszych powarni (Tirkus-Urus), przypominająca bardziej chlew niż przystań dla przyjezdnych; tutaj jedliśmy obiad i piliśmy herbatę, podczas gdy nasze renifery szukały sobie w pobliżu pokarmu, wykopując kopytami spod ziemi mech, który rósł obficie zarówno na stokach gór, jak i na nizinach.

Rzeka Jana, nad brzegiem której stoi powarnia moldżegowska, jest w tym miejscu dość szeroka; rozpoczyna swój bieg w odnogach grzbietu wierchojańskiego od jego wschodniej strony, po czym biegnie na północ i, robiąc liczne zakręty, przechodzi wąską przestrzenią pomiędzy górskimi odgałęzieniami lub obszernymi terenami nizinnymi otoczonymi niewysokimi górami, po czym wpada wąskimi ujściami do Morza Lodowego.

Nad Janą leżą dwa miasta: Wierchojańsk i Ustjansk. W lasach rośnie głównie tálnik, olcha syberyjska, osika oraz topola. Można wśród nich natrafić gdzieś tam na drzewa liściaste. Tutejsi Jakuci, a zwłaszcza Tunguzi, wymieniają tálnik na rosyjskie ręczniki oraz serwety. Po zdjęciu z młodego drzewa kory skrobie się ją ostrym nożem i robi z niej bardzo cienkie, białe jak papier, miękkie ściereczki służące do owijania na drogę filiżanek oraz spodków, czyszczenia stołów oraz wycierania ust i rąk po posiłku. Podczas dzisiejszej jazdy na każdym niemal kroku spotykaliśmy mnóstwo kuropatw. Woźnice opowiadali mi, że mnożą się one tutaj w niezmiernej ilości. Ptaki te zimą są bardzo białe i mają puszyste łapy (podobne do króliczych), którymi Tunguzi ozdabiają swoje jurty, przyczepiając je do ścian na przemian z ich skrzydełkami lub ogonami rozpostartymi na kształt wachlarza. Są bardzo zadowoleni, jeśli ktoś z przyjezdnych zwróci uwagę na ich ozdoby i obdarowują go wtedy kilkoma ogonkami z odpowiednią ilością nóżek i skrzydełek na znak pamięci, a bardziej z nadzieją, że obdarowany odwdzięczy im się srebrną monetą.

23 marca 1875 r. Po noclegu w suruchtachskiej stacji pocztowej znów wyruszyliśmy w drogę i jednym zaprzęgiem przejechaliśmy 90 wiorst, zatrzymując się po drodze co 15-20 minut na nie dłużej niż pięć minut. Z tego można wyciągnąć wniosek, że podróżowanie reniferami jest dużo wygodniejsze niż końmi, które po pierwsze, nie mogą na raz przebiec tak długiego odcinka bez odpoczynku, a po drugie, tracą po drodze dużo czasu na szukanie trawy, którą w ciągu całej zimy nauczyły się zdobywać same, wykopując ją spod śniegu. Renifery biegną bardzo szybko i w ciągu godziny wykonują około 20 wiorst, a przy małym ponagleniu pędzą przez trzy, cztery wiorsty w takim tempie, że od tej szalonej jazdy często zapiera dech w piersiach. W ogóle podróżowanie przy pomocy reniferów jest bardzo przyjemne, a bieg tych zwierząt równomierny i lekki, szczególnie podczas silnych mrozów; wtedy wydają się dziarskie i wcale nie zmęczone, podczas gdy wiosną są osłabione i w trakcie jazdy szybko się męczą. Zmęczyły się także renifery, którymi przyjechałem wczoraj do silieńskiej stacji pocztowej, gdzie do tej pory (11 rano) oczekuję, aż wydobrzeją. Już nocą woźnice rozpoczęli ich poszukiwania w tajdze, ponieważ renifery pasą się zazwyczaj na wolności, bez żadnego dozoru i tylko w przypadkach koniecznych szuka się ich po śladach. Wskutek takiego postępowania miejscowych zwierzęta oddalają się czasami na kilkadziesiąt wiorst, a przybysz musi oczekiwać na nie bardzo długo, czego z pewnością przyjdzie mi dziś doświadczyć.

25 marca 1875 r. Z wielkim trudem udało mi się dotrzeć do powarni Etichach wraz ze zmęczonymi reniferami, które bez przerwy wiozły mnie z silieńskiej stacji pocztowej i w ciągu trzech dób przebiegły 250 wiorst. Powożących Jaku-

tów niewiele niepokoiło zmęczenie zwierząt, martwili się tylko o siebie i prawie podczas każdej przerwy gotowali sobie rybę nazywaną tutaj dżelga, w którą obfituje rzeka Jana. Ich obiad trwał zawsze nie więcej niż 15 minut, ponieważ Jakuci mają w zwyczaju jeść wszystko na wpuł surowe, a na dodatek bez soli; dlatego nie sprzeciwiałem się ich częstym posiłkom, które dostarczały mi pewnego rodzaju rozrywki, a także dawały możliwość zabicia nudy. Zajmowały mnie i palące się ogniska i ich krzątanina oraz opowieści, które przekazywał mi przewodnik-kozak; dzięki nim mogłem sobie wyrobić pojęcie o tym głuchym kraju, gdzie przez cały dzień nie można było spotkać na drodze ani jednej żywej istoty. Dziś na przykład dowiedziałem się, że w tutejszych stronach, poczynając od przeprawy przez grzbiet wierchojański, w ogóle nie można spotkać niedźwiedzi, a żyją tu tylko wilki, lisy, zające, czarne wiewiórki i dzikie renifery. Wilki wyrządzają Jakutom wiele szkód, polując na bydło oraz konie, lecz na ludzi nigdy nie napadają. Z gatunków ptaków można tu spotkać tylko białe kuropatwy, lecz w dużo mniejszej ilości niż w pobliżu masywu wierchojańskiego. Do wilków nie strzela się, lecz poluje za pomocą sidła wykonanych z końskich włosów lub stawia się niewielkie pułapki tak jak na lisy. Kuropatwy żyją na terenach nizinnych, gdzie rosną krzewy, a także w tundrze, gdzie żywią się szyszkami małosłej brzozy. W lasach, przez które dzisiaj przejeżdżałem, rosną tylko cedry na miejscach wyżynnych. Rośnie na nich gdzieś niedługo wysoki, zgrabny talnik tworzący wielkie zagajniki, pomiędzy którymi można znaleźć przestronne, sianokosne bagna, lecz ich trawy nigdy się nie kosi. Koło Jany przejeżdżaliśmy dziś co najmniej 30 razy, ponieważ robi ona tutaj wiele zakrętów i zakoli.

27 marca 1875 r. Od ostatniego noclegu podróżowałem już końmi, na które musiałem czekać do 10 rano, ponieważ wypożyczało się je od Jakutów żyjących pojedynczo w jurtach, które stoją od siebie w odległości od 10 do 15 wiorst. Pomimo że wyruszyliśmy późno, przejechałem tego dnia, a konkretnie w ciągu 11 godzin, 105 wiorst podstawianymi (w dwóch miejscach) końmi i przybyłem do Wierchojańska wczoraj o dziewiątej wieczorem. Komu było dane odbywać długie podróże, ten z łatwością zrozumie, jak się uradowałem, obudziwszy się w ciepłym i schludnym pokoju po noclegach w tych odrażających, zimnych i brudnych powarniach oraz cuchnących jakuckich jurtach, które były moją jedyną przystanią w ciągu dwutygodniowej tułaczki. Gospodarz, mający kwatery dla przyjezdnych, oczekiwał mnie z już gotową herbatą. Jego serdeczne przyjęcie oraz typowa tylko dla Sybiraków bezinteresowna uczynność pozwoliły mi zapomnieć na jakiś czas wszelkich doznanych po drodze niewygodach. Przy herbacie z gadatliwym gospodarzem doczekałem północy. Przekazał mi on ważne informacje o okręgu kołymskim, gdzie miałem mieszkać bez możliwości wyjazdu przez dwa lata.

28 marca 1875 r. Pomimo wszelkich moich oczekiwań byłem zmuszony zostać w Wierchojańsku do pierwszego kwietnia. Nie zdążyłem zrobić już nic więcej jak tylko przyrzeć się miastu, które okazało się podobne do Wilujska, tylko że mniejsze. Wierchojańsk leży na wschodnim brzegu Jany, 900 wiorst od Jakucka, na szerokim terenie nizinnym otoczonym niewysokimi górami. Stoi w nim 14 drewnianych domów bez dachów z niezgrabnymi kominami, sufity z zewnątrz są umazane gliną i przykryte grubą warstwą ziemi, okna bez szyb, zamiast których wstawiono lód, siedem rosyjskich i około 15 jakuckich jurt; pomiędzy rosyjskimi jurtami jedna wyróżnia się bardzo dokładnym wykończeniem na zewnątrz oraz wewnątrz. Znajduje się ona przy głównej ulicy, zakupio-

na na własność przez lekarza oddelegowanego w tym czasie co ja do obwodu jakuckiego; potem dwa urzędowe budynki drewniane z dachami; w jednym z nich mieści się siedziba policji. Na koniec niewielka drewniana cerkiew z dużą ilością okien (szklanych) jak w każdym domu mieszkalnym. Budynki ogólnie są brzydkie, domy rozrzucone bez żadnego rozplanowania, w jednym miejscu skupione, a w innym stoją pojedynczo. Wielkie kupy śmieci wokół nich utrudniają nie tylko wyjazd, lecz także wejście na podwórze. Ludność miasta to jeden lub dwa rody kupieckie, stacjonujący kozacy, mieszczenie, chłopci pochodzenia rosyjskiego oraz Jakuci. Poza tym jest dwóch kapłanów, z których jeden mieszka w Wierchojańsku, okręgowy isprawnik, jego pomocnik, dwóch albo trzech kancelistów oddziału policji oraz okręgowy felczer.

Głównym sposobem zdobywania pożywienia przez tutejszą ludność jest rybołówstwo oraz hodowla bydła, natomiast zbóż z powodu surowego klimatu i warunków glebowych nie uprawia się w ogóle, choć można spotkać ogrody, w których sadzi się buraki, kapustę, rzepę, marchew, rzodkiew i ziemniaki. Niestety, nie zawsze udaje się je wyhodować. Ogórki sadzą w niewielkich, wąskich, drewnianych skrzynkach, które zazwyczaj stawiają w pokojach na oknach zwróconych na południe. Pielęgnują je całe lato i tylko w sierpniu udaje się uzyskać 20 do 30 płodów, z których nieliczne są w miarę duże. Cebuli i chrzanu nie uprawia się wcale. Zboża sprowadzają z Jakucka, a w mąkę żytnią oraz w kaszę zaopatrują się też w tym mieście, gdzie jest sprzedawana taniej niż w miejscowym sklepie prowadzonym przez okręgową jednostkę policji: opłata za pud wynosi cztery ruble i 80 kopiejek, Sól, ołów oraz proch, których tylko konkretna ilość jest tutaj wysyłana każdego roku z okręgowego urzędu jakuckiego, można nabyć także jedynie w oddziale policji. Osiadli w mieście Jakuci, podobnie jak niektórzy mieszczenie i chłopci, zajmują się przemysłem zwierzęcym, futra wymieniają z kupcami na produkty żywnościowe oraz przedmioty niezbędne w gospodarstwie. Mieszkający tu kupcy handlują po domach różnymi drobiazgami i skupują od Jakutów futra, jeżdżąc po całym okręgu; płacą za nie herbatą cegiełkową, cukrem, czerkieskim tytoniem, tanimi chustkami, wstążkami i innymi rzeczami.

To wszystko, co można powiedzieć o tym małym miasteczku, które jest gorsze od innej rosyjskiej osady, lecz jeśli chodzi o sposób zarządzania, to można je porównać ze stołecznym miastem europejskim Turcji, dwa razy mniejszej od okręgu wierchojańskiego, którym niczym padiszach rządzi okręgowy isprawnik na niemalże tych samych zasadach.

1 kwietnia 1875 r. Dziś w samo w południe, po pięciodniowym odpoczynku, jaki znudził mi się aż do obrzydzenia, pożegnałem się z Wierchojańskiem. Już o 17.30 zatrzymałem się na nocleg w uroczysku „Czinchajach” należącym do wierchojańskiego naczelnika, który mnie sprowadził. Rozłożyliśmy się w zbudowanej przez niego jurcie, odznaczającej się schludnością oraz wyposażeniem. Połowę z niej zajmowały dwie komnaty przeznaczone dla przyjezdnych urzędników oraz kupców i była ona oddzielona; stało tutaj łóżko z materacem wypchanym sierścią i obleczonym perkalem, krzesła stolarskiej roboty z poduszkami, także obleczone perkalem; w kącie wisi obraz Zbawiciela w srebrnej ramie z pozłacanym wieńcem; gładkie i czyste ściany były ozdobione litografią oraz obrazami przedstawiającymi dom carów (począwszy od Aleksandra Błogosławionego), a także bohaterów roku 1812. Pod ścianą, z lewej strony przy wejściu do jurty, pomiędzy dwoma oknami (z szybami zamiast

lodu) stał czworokątny, bardzo długi stół, przykryty papierową, kolorową serwetą, a poza tym w każdym kącie znajdował się trójkątny stolik. Cała podłoga była zasłana grubym płótnem. Komin, zrobiony na wzór rosyjski, ogrzewał oba te pokoje. Umeblowanie pomieszczenia wywarło na mnie bardzo przyjemne wrażenie i chętnie zgodziłem się spędzić tutaj czas do następnego ranka, chociaż nie byłem zmęczony dzisiejszą jazdą.

3 kwietnia 1875 r. W ciągu dwóch i pół godziny przejechałem 265 wiorst i tylko raz zmieniłem renifery w adyczewskiej stacji pocztowej oraz przybyłem dziś do kolejnej położonej nad brzegiem jeziora. Droga wszędzie była równa, lecz z wieloma zakrętami w lasach, przez które głównie musiałem jechać. Biegła ona na wschód od Jany do rzeki Indigirka. Ostatecznie Jana pozostała daleko za nami, więc nie było już stromych zejść i wzniesień wydłużających jazdę, tylko w trzech czy czterech miejscach trzeba było przeprowadzić się przez maleńkie rzeczki, lecz przerzucone przez nie były małe mostki z balustradami z drzewa modrzewiowego. Na końcu tego odcinka ocknęliśmy się pod wielką górą o owalnej formie (takie góry nazywają tutaj golcami), a wspiąwszy się na jej szczyt, schodziliśmy 10 wiorst w dół stromym zboczem do samej stacji pocztowej. Renifery biegły równomiernym truchtem, czasami w takim tempie, że obawiałem się, że sanie się przewrócą. Tak się jednak nie stało i pokonałem tę odległość w ciągu 45 minut.

12 kwietnia 1875 r. Wczoraj przybyłem do ebeljachskiej stacji pocztowej, z której pozostało 670 wiorst do Średniekołymska. Zatrzymałem się tu na dwa dni z powodu Świąt Wielkiej Nocy (dziś sobota). Ta stacja leży na wschodnim brzegu jeziora. Pływa w nim ryba zwana majagaską, podobna do łososia i ważąca 15 funtów, a także bardzo długi szczupak o długości półtorej arszyna lub więcej. Znamienne, że według opowiadań Jakutów w żadnym z jezior okręgu wierchojańskiego nie można znaleźć karasi, podczas gdy w okręgu wilujskim jest ich pod dostatkiem. To samo można powiedzieć o czyrach, które żyją tylko w największych jeziorach, a to jedna z najlepszych ryb w Jakucji. Latem nad jezioro przylatuje mnóstwo łabędzi, gęsi i różnego rodzaju kaczek, wśród których najwięcej jest siwek, turkawek i morskich nurków. W okolicznych lasach żyje pełno lisów: czerwonych oraz czarno-białych (te ostatnie pojawiają się każdego roku), dzikich reniferów, gronostajów oraz czarnych wiewiórek; jest tutaj wiele wilków, a niedźwiedzi bardzo mało. Zimą i latem można spotkać pełno kuropatw.

13 kwietnia 1875 r. Już po raz drugi przyszło mi spędzać święta Wielkiej Nocy, jak to się mówi, za dziewiątą górą. W 1872 r. spędziłem je na Sachalinie wśród zesłanych z Rosji przestępców, a teraz na dalekiej północy, w głuchej tajdze zasypanej głębokim śniegiem, z niewielką jakucką rodziną, której głowa jest właścicielem ebeliachskiej stacji pocztowej. Podobnie jak prawosławni Jakuci urządzają sobie ceremonię rozgławiania już pierwszego dnia świątecznego, wykorzystując do tego kuropatwę i krowią głowę, które od samego świtu zaczynają gotować w całości. Kiedy kuropatwa jest już w odpowiedni sposób przygotowana, wtedy stawiają ją na stół pod obrazami z podniesioną do góry głową, rozpostartymi skrzydłami i rozstawionymi nogami. W takiej pozycji pozostaje ona na około dwie godziny, tzn. do tej pory, do kiedy nie ugotuje się krowia głowa. Wtedy cała rodzina oraz wszyscy obecni ubrani w świąteczne stroje stają przed siedzącą kuropatwą i zaczynają się modlić oraz gorączkowo żegnać, a także składać do ziemi pełne oddania pokłony. W takiej postaci modlitwa ta trwa prawie godzinę w całkowitym milczeniu. Po niej głowa rodziny

dzieli kuropatwę na małe kawałki i zaczyna się całować z każdym po trzy razy, mówiąc za każdym razem: „Chrystus zmartwychwstał” oraz oddając każdemu po kawałku mięsa. Po tym wszyscy członkowie rodziny składają sobie kolejno życzenia, dzieląc się kawałkami ptaka, które są zamiennikiem naszych malowanych jaj. Pozostałą na stole kuropatwę zjadają w mig. Zaraz po tym wszyscy siadają wokół stołu, stawiają na nim gotowaną, gorącą krowią głowę podzieloną na dość duże kawałki i spożywają bez chleba i soli. Tym samym kończy się cały proces rozgławiania, po którym rzadko kto pamięta, aby się przeżegnać czy złożyć pokłon. W taki sposób Jakuci witają Święto Wielkiej Nocy oraz dzień św. Mikołaja (dziewiątego maja), który uważają za równie ważny jak inne główne święta doroczne.



Tradycyjny ubiór jakucki

15 kwietnia 1875 r. Rano, w drugi dzień świąt, wyjechałem z ebeliachskiej stacji pocztowej. Przejechałem 170 wiorst do dzisiejszego noclegu w powarni w Omuch-uoch-kelia. W ciągu tych dwóch dni trzeba było przeje-

chać koło wielu jezior, z których największe to Otta-Chattah mające w obwodzie więcej niż 30 wiorst oraz jezioro Abyj, dużo mniejsze od pierwszego. Otta-Chattah jest ważne choćby dlatego, że leżą na nim dwie ruchome wysepki, koło których przejechaliśmy dziś rano. Położone są one 300 sążni od trasy pocztowej biegnącej wzdłuż jeziora. Według opowiadań Jakutów wyspy te zmieniają swoje położenie, przesuując się to w jedną to w drugą stronę zgodnie z kierunkiem wiatru, który pojawia się tutaj każdego roku w porze letniej. Jedna z tych wyseppek ma w obwodzie około wiorsty, a druga jest dwa razy mniejsza. W jeziorze Otta-chattah jest dużo omula (bardzo smaczna i delikatna ryba) o wadze od dwóch do 15 funtów oraz szczupaka, którego waga dochodzi do jednego puda i więcej. Innych gatunków ryby spotyka się w tym jeziorze bardzo mało. Miejsce, przez które przejeżdżałem w ciągu tych dwóch dni, było dużo bardziej zaludnione niż poprzednie. Po drodze spotkałem już naslegi, tzn. skupisko kilku jurt otoczonych zawsze tłumem ciekawskich Jakutów, których najwyraźniej zainteresował nasz transport. Kłaniali nam się nisko, gdy tymczasem stado psów odprowadzało nas szczekaniem jeszcze z wiorstę.

16 kwietnia 1875 r. O pierwszej po południu dotarłem do brzegów Indigirki, dokąd odprowadził mnie członek wierchojańskiej starszyny. Rzeka ta jest szeroka, bystra i bardzo kapryśna. Zimą jej szerokość wynosi nie więcej niż 50 sążni i płynie ona leniwie swoim korytem.. Od jej wschodniego brzegu zaczynają się lasy liściaste, pełne wysokich pagórków, przez które biegnie bardzo wąska ścieżka, jednak wygodna dla jazdy. Po przejechaniu 15 wiorst znaleźliśmy się nad małą rzeczką, do której zejście jest wysokie na trzy sążnie, a do tego tak strome, że kajurzy musieli wypręgać renifery, a moje sanie spuścić w dół. Jeszcze bardziej strome było wzniesienie na przeciwległy brzeg rzeki. Wspięcie się na niego z zaprzęgiem reniferów było praktycznie niemożliwe, dlatego kajurzy zostawili sanie z prowiantem na miejscu, renifery puścili wolno, aby szukały sobie pokarmu pod śniegiem, a mnie wsadzili do lekkich sań i wciągnęli na brzeg. Sto sążni od brzegu stała pojedyncza jurta, dawno już porzucona przez gospodarza, bez drzwi i okien, ale z całym paleniskiem, na którym, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, skrzył się ogień rozpalony przez przysłanego tutaj jeszcze rano Jakuta z rozkazu prowadzącego mnie członka starszyny. Pobyliśmy tutaj niedługo, ponieważ zamiast obiadu trzeba było zadowolić się herbatą, gdyż renifery zaczęły szukać mchu pod głębokim śniegiem. O szóstej wieczorem szliśmy już dalej, a o siódmej trzydzieści dowlekliśmy się do jedynej jurty Chottonach stojącej nad brzegiem jeziora Uriuchin. Ma ono pięć wiorst w obwodzie i poza szczupakiem nie pływają w nim żadne inne ryby.

17 kwietnia 1875 r. Dziś jazda była wyjątkowo męcząca: wąska, jak wszędzie dróżka, niekończące się zakręty, strome wzniesienia i zejścia, a w końcu śnieg głęboki na ponad dwa arszyny. Jednakże udało się nam pokonać 60 wiorst w tym najbardziej głuchym i pustynnym miejscu. Renifery były już tak zmęczone, że z trudem dociągnęły nas o 10 wieczorem do kolejnej powarni, gdzie ostatecznie zatrzymaliśmy się na nocleg. Okazała się ona jednak bardzo niewygodna, z pewnością już dawno nikt się w niej zatrzymał, ponieważ drzwi były zamknięte, okna bez lodu, a ściany, podłoga i nary pokryte zlodowaciałym szronem, natomiast z sufitu zwisały długie i grube sople lodu. Zaczęły one jednak szybko topnieć od palącego się ognia i zamieniły się w spadające na nas krople wody, od których nie mogły ochronić mnie i moich rzeczy ani renife-

rowe skóry, ani inne okrycia przygotowane naprędce. Mało tego. Kiedy położyliśmy się spać o drugiej w nocy (tutaj od połowy kwietnia zorza trwa przez całą noc), spod podłogi wybiegły gronostaje i zaczęły baraszkować we wszystkich kątach w poszukiwaniu pożywienia. Prawie w tym samym czasie, a może wcześniej, stadko takich samych zwierzątek wyszło z lasu i zabrało się do moich sań, wciskając się do worków z prowiantem. Taki nieoczekiwany obrót spraw zerwał wszystkich na nogi, zaczęła się ogólna bieżanina, gadanie, śmiech i uzbrajanie w pałki, ale zanim kajurzy zabrali się do karania tych nocnych łobuzów, one już zdążyły uciec do lasu lub skryć się w górach pod głębokim śniegiem. Ten nocleg był ostatnim w okręgu wierchojańskim, ponieważ za 20 wiorst stąd znajduje się granica okręgu kołymskiego, jaką stanowi grzbiet alazejski.

18 kwietnia 1875 r. O 12.30 za dnia przybyliśmy do podnóża gór alazejskich, a w ciągu godziny wspięliśmy się na najwyższy szczyt, na wysokość ponad pięciu wiorst. Góry te są tak wysokie, że rzucają się w oczy już z odległości 40 wiorst, a na ich szczytach widać ciemną powierzchnię lasów urozmaiconą małymi, białymi plamkami oznaczającymi jeziora. Na niewielkim placu grzbietu sterczą gdzieś w dużej odległości od siebie stare, zmartwiałe modrzewie, które przypominają sobą coś w rodzaju wysokich kijów wetkniętych w ziemię. W najwyższym miejscu tego placu stoi drewniany krzyż, od którego zaczyna się zejście z góry na terytorium okręgu kołymskiego. Samo zejście widocznym skłonem było bardzo łatwe. Renifery mknęły nadzwyczaj szybko, w czasie krótszym niż 45 minut i przebiegły pięć wiorst, kiedy to znaleźliśmy się u stóp góry. O siódmej trzydzięci wieczorem przybyliśmy do pierwszej powarni okręgu kołymskiego, gdzie zostałem na nocleg, żeby dać reniferom dużo czasu na odpoczynek, gdyż musiały przejechać jeszcze 130 wiorst do stacji pocztowej.

20 kwietnia 1875 r. Renifery z wielkim trudem dotaszczyły moje sanie do kolejnej stacji pocztowej o godzinie szóstej wieczorem, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg i skąd ruszyliśmy dalej psim zaprzęgiem. Miejscowość, przez którą przejeżdżałem w ciągu ostatnich dwóch dni, nie różniła się niczym od poprzednich, tylko jeziora można było spotkać częściej. Naliczyłem ich około 15. Wszystkie są małe. Na ostatnim leży kilka ruchomych wysepek porośniętych lasem liściastym i z każdym rokiem zmieniających swoje miejsce. Z ryb w tym jeziorze Jakuci łowią przeważnie szczupaka, chociaż żyje w nim tylko kilka gatunków drobnej ryby.

21 kwietnia 1875 r. Dziś przejechałem ponad 100 wiorst z tymi samymi psami, zatrzymując się po drodze tylko dwa razy na nie dłużej niż półtorej godziny, aby nakarmić je drobną rybą nazywaną munduszka. Do moich sań zaprzężono 11 psów parami, jedna przed drugą, a jedenasty, wytresowany biegł na przedzie. W ciągu godziny wykonywały 11 wiorst, nie okazując przy tym najmniejszego zmęczenia. Chociaż jazda psim zaprzęgiem była dość szybka, to niezupełnie przyjemna; przede wszystkim nieznośne było ich wycie podczas postoju na posiłek, co czasami zmuszało kajura do uciszania ich grubą, długą pałą. Poza tym, psy gryzły się między sobą i tym samym zmuszały do częstych przystanków. Nie patrząc na to, jechaliśmy bardzo szybko i o 10 wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg w jurcie nad brzegiem jeziora. Dziś przejeżdżaliśmy koło 18 jezior. Wszystkie niewielkie z wyjątkiem Kuranach-unnuna (10 wiorst długości i 6 szerokości). Żyje w nim tylko szczupak i brunatka, nazywana tutaj białą rybą spożywaną w zamrożonej formie zwaną stroganiną. Na brze-

gu jeziora Uczugiej-keł można znaleźć latem na ziemi kość mamucią, którą tutejsi mieszkańcy sprzedają kupcom po 10 rubli za pud.

22 kwietnia 1875 r. O szóstej wieczorem przybyliśmy do ostatniej stacji pocztowej, od której do Średniekołymska było 150 wiorst. Stąd wyruszamy już konno. Stacja leży nad brzegiem Alazei mającej szerokość 10 sążni. Jest ona bardzo głęboka i ma strome brzegi; podczas letnich wylewów woda podnosi się i zalewa okoliczne miejsca na dużą odległość. Z ryb w rzekach żyje: czir, nalim, szachur i jelić. Jadąc dziś z psami 70 wiorst, spotkaliśmy po drodze 11 dużych i małych jezior. W nich wszystkich pływa tylko szczupak oraz drobna, przezroczysta ryba.

23 kwietnia 1875 r. Jazda końmi nie była tak szybka jak psim i reniferowym zaprzęgiem. W ciągu dnia przejechaliśmy tylko 60 wiorst i zatrzymaliśmy się na nocleg w powarni. Podróż spowalniał nierówny teren oraz liczne doły z wybojami, na których ciągle trzeba było podtrzymywać sanie rękami, żeby się nie przewróciły. Poza tym zdarzały się strome zejścia do jezior, przez które trzeba było przejechać. 24 kwietnia o 10 wieczorem przybyliśmy do Średniekołymska.

Z języka rosyjskiego tłumaczyła Anna Mrozowicka

*

Tekst pierwotnie opublikowany był w zbiorze pt. „Driewnaja i Nowaja Rossija”, 1880, tom XVIII, s. 641-733, pt. *Tri goda w siewiero-wostocznoj Sibiri za poliamym krugom*. W roku 2007 Władysław M. Łatyszew przygotował zbiór opracowań T. M. Augustynowicza (1809-1891), Polaka, lekarza i przyrodnika pozostającego w służbie rosyjskiej, wielce zasłużonego dla badań przyrodniczych i etnograficznych na terenie Jakucji oraz na Sachalinie. Książka ta nosi tytuł *Żyż ruskich i inorodcew na ostrowie Sachalin*, Južno Sachalińsk. Publikowany tekst pochodzi właśnie z tego zbioru, a kolejne fragmenty dotyczące opisów T. M. Augustynowicza zamieszczone zostaną w następnych numerach „Zesłańca”, potwierdzając, że wbrew rozbiorem Rzeczypospolitej Obojga oraz zesłaniom na Syberię dali Polacy dali tej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności. Zdjęcie na s. 23 pochodzi z publikacji *ЫСЫАХ: Туумаада – Элэй – Үс Хатын*, Якутск 2005. (red.)

WASYLI HANIEWICZ

**PRZYCZYNEK DO HISTORII MASOWYCH ROZRUCHÓW
OBYWATELI POLSKICH DEPORTOWANYCH W 1940 ROKU
DO TOMSKO-ASINOWSKICH ŁAGRÓW („TOMASINŁAGU”)**

Deportacje ludności po napaści Związku Radzieckiego na Polskę stały się najbardziej masowym rodzajem represji sowieckich w latach 1939-1941 na terytoriach okupowanych. W 1940 r. przeprowadzono trzy operacje masowych wywózek: 10 lutego, 13 kwietnia i 29 czerwca. W maju i czerwcu 1941 r. przeprowadzono kolejną deportację. Akcje te odbywały się każdorazowo w ciągu jednego dnia. Rozpoczynano je nocą lub bardzo wczesnym rankiem. Załadowanie wysiedlonych do wagonów kolejowych i wysyłanie transportów zajmowało więcej czasu. Z reguły, transporty znajdowały się w drodze około 2-4 tygodni. Potem często następował jeszcze wielodniowy marsz, przejazd wozami lub saniami, statkami czy samochodami do miejsc przesiedlenia.

Deportowani różnili się nie tylko składem narodowościowym czy wyznaniowym (wśród deportowanych z terenu Rzeczypospolitej oprócz Polaków byli Ukraińcy, Białorusini i Żydzi). Różny też był ich status społeczny – rolnicy, rzemieślnicy, urzędnicy, ziemianie itp. Wszystko to dawało znać o sobie potem w miejscach zesłania. Jednak dla wszystkich bez wyjątku warunki nowego życia i przymusowej pracy z dala od Ojczyzny stały się prawdziwym egzaminem życiowym podczas wieloletniej deportacyjnej udręki. W sporej większości godzili się oni z tym losem, bo cóż mieli czynić? Jednak tu i ówdzie w „specpasiołkach”¹ dochodziło do okazywania różnych form niezadowolenia z warunków życia i pracy, co skutecznie było pacyfikowane przez władze.

Najbardziej ciężkimi okazały się warunki życia na przymusowym osiedleniu dla osób pochodzących głównie z inteligencji, które nigdy wcześniej nie zajmowały się pracą fizyczną. Właśnie ta kategoria deportowanych, wśród której było wielu Żydów – kupców i rzemieślników, w odróżnieniu od innych grup deportowanych, np. rolników, domagała się nieraz skierowania do pracy według posiadanych kwalifikacji, przeniesienia do ośrodków miejskich i podejmowała różnego rodzaju indywidualne i zespołowe wystąpienia oraz protesty przeciw istniejącym warunkom pracy.

¹ „Specpasiołek” – osiedle specjalne, nad którym nadzór miał Wydział Osiedli Roboczych (*Otdiel trudowych posielenij*; OTP) GUŁAG-u NKWD. Od lutego 1941 r. pod nadzorem Wydziału Osiedli Roboczych i Specjalnych (*Otdiel trudowych i spicialnych posielenij* — OTSP) GUŁAG-u NKWD. Pisał o tym m.in.: D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Warszawa 1999, s. 122.

W dokumentach archiwalnych NKWD (*Narodnyj Komissariat Wnutriennich Diel*; Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) spotkać można doniesienia o takich buntach, a dwa z nich zorganizowali „specprzesiedleńcy” w sierpniu 1940 r. na terenie obwodu nowosybirskiego (obecnie obwodu tomskiego). O wystąpieniach tych w osadach Kica, Bieregajewo, Tajga, Simonowka, należących do „Lespromchozu” (*Lesnoje promyszlennoje chozjastwo*; Przedsiębiorstwo Przemysłu Leśnego) dowiedzieli się członkowie Stowarzyszenia „Memoriał” w Tomsku od jednego z mieszkańców tego miasta, który przebywał wówczas na terenie „Lespromchozu” i słyszał o tym buncie. Jednak skala tych wystąpień, skład uczestników oraz rezultaty protestu, określanego w dokumentach NKWD „buntem” były przez długie lata nieznane, a brak obiektywnej informacji rodził plotki i domysły, ba nawet był kanwą dla literackiej konfabulacji.

Oto bowiem na łamach „Narodnej Trybuny” w 1992 r. ukazało się opowiadanie o sensacyjnej tematyce, mówiące o tym, że pewien moskiewski „specjalista” od grabieży starych grobów, przeczytał na początku lat 90. XX wieku w jakiejś syberyjskiej gazecie wspomnienie o masowym rozstrzelaniu w 1940 r. grupy obywateli polskich, którzy wznieśli bunt i odmówili wyjścia do pracy². Po zapoznaniu się z artykułem, wywnioskował, że mogły kryjące zwłoki mogą zawierać różne kosztowności, które pozostały po rozstrzelanych. Skierował więc na Syberię grupę szabrowników, jakoby członków polskiej organizacji, którzy mieli odnaleźć miejsca rozstrzelania i pod pozorem postawienia na niej krzyża zrabować złoto i inne kosztowności znajdujące się przy zwłokach. Plan wykonano dokładnie: znaleziono mogiłę ze szczątkami rozstrzelanych, zebrano złoto i dostarczono szefowi grabieżczej bandy. Opowieść kończy się tym, że owi „Polacy” odwiedzili opuszczoną mogiłę swych rodaków, rozstrzelanych 50 lat temu, uporzędkowali ją i postawili na niej krzyż katolicki. Tyle literackiej konfabulacji.

Ale czy rzeczywiście bunt taki miał miejsce, jeszcze do niedawna było to tajemnicą. Wprawdzie lakonicznie wspominali nieraz o nim mieszkańcy północnej części obwodu tomskiego, ale przekazy te nie były poparte danymi archiwalnymi. Jednak, jak powiadają, wszystko co tajne z biegiem czasu staje się jawne. Udostępnienie tajnych zespołów archiwalnych dostarcza coraz to nowych danych dotyczących represji okresu stalinowskiego. Nie stanowi też wyjątku temat oporu wobec NKWD ze strony zesłanych obywateli polskich. Materiały z tego zakresu odnaleźli pracownicy tomskiego „Memoriału” poszukujący w Archiwum Państwowym Federacji Rosyjskiej (*Gasudarstwiennyj Archiw Rossijskoj Fiedieracyi*; dalej: GARF) informacji dotyczących deportacji ludności z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1940-41³.

W trakcie kwerendy natrafili oni na wiadomości mające bezpośredni związek z buntem w „Tomasinłagu” (Tomsko-Asinowskije Łagierja – Tomsko-Asinowskie Obozy). Odnaleziono bowiem pismo zastępcy komisarza NKWD Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (dalej: ZSRR) Wasilija Czer-

² W. Priwalichin, *Modlitwa Pani Jadwigi*, „Narodnaja Trybuna” z 25 sierpnia 1992 r.

³ W 1997 r. pierwsze informacje o buncie na podstawie materiałów NKWD znajdujących się w Archiwum Państwowym Federacji Rosyjskiej przedstawił w jednym z artykułów: A. Gurianow, *Polskie spiecpieriesieliency w SSSR w 1940-1941 gg.*, [w:] *Riepiesii protiv polakow i polskich graždan*, Moskwa 1997, s. 132-133.

nyszowa, skierowane do komisarza Ławrientija Berii informujące go o masowym proteście deportowanych polskich obywateli przeciw samowoli miejscowych władz w osiedlach „Tomasinłagu” obwodu nowosybirskiego. W tym meldunku z dnia 19 sierpnia 1940 r. zastępca komisarza NKWD ZSRR informował, że:

Rozruchy rozpoczęły się na simonowskim oddziale obozu, a potem przeniosły się na inne punkty. Trwały one przez cztery dni (14, 15, 16 i 17 sierpnia) przyjmując masowy charakter. Specprzesiedleńcy przechodzili od jednego osiedla do drugiego, wznosili okrzyki, posyłali gońców do innych osiedli, aby przyłączyły się one do niezadowolonych. Tłum liczący około 400 osób udało się przekonać, aby powrócił do osiedla. Uchodźcy⁴ domagają się powrotu do miejsc skąd byli przywiezieni lub skierowania ich do innych miast, w których istnieją zakłady przemysłowe. Za pomocą podjętych różnych środków perswazji udało się bunt zlokalizować, istnieje jednak obawa, że uchodźcy opanują pociąg⁵.

Dokument nie charakteryzuje dokładniej skali tamtych wydarzeń, ale pokazuje, że w głuchej miejscowości syberyjskiej tajgi wymknęły się one spod kontroli kierownictwa obozu i stały się przedmiotem wyjaśnień na najwyższym szczeblu zarządu Gułagu. Świadczą też o tym raporty znajdujące się w tzw. specjalnej teczce Komitetu Obwodowego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (KO KPZR), do niedawna niedostępnej dla badaczy, przechowywanej w Archiwum Państwowym w Nowosybirsku. W teczce, pośród ściśle tajnych dokumentów partyjnych znalazło się sprawozdanie sporządzone dla sekretarza nowosybirskiego komitetu obwodowego Pugowkina przez członków specjalnej komisji partyjnej, skierowanej do strajkujących zesłańców, z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami, aby w jak najkrótszym czasie zlikwidować zaistniałe rozruchy.

Członkowie komisji: Dnieprowski, Gonczarenko i Poczka w sprawozdaniu z 30 sierpnia 1940 r. meldowali pierwszemu sekretarzowi Komitetu Obwodowego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) (*Wsiesojuznaja Kommunističeskaja partija (bolszewikow)*); dalej: WKP(b) o rozruchach wśród uchodźców, osiedlonych w rejonach asinowskim, zyrjańskim i teguldec kim oraz o podjętych środkach dla uśmierzenia tych wystąpień. Oto treść tej informacji:

17 sierpnia 1940 r. z Waszego polecenia do rejonów asinowskiego, zyrjańskiego i teguldeckiego została skierowana komisja w składzie: towarzysze Poczka – z NKWD, Gonczarenko z Oblispolkomu (Obwodowy Komitet Wyko-

⁴ Chodzi tu o obywateli polskich, którzy zostali deportowani w głąb ZSRS w dniu 29 czerwca 1940 r. Deportacja ta objęła uchodźców z terenów zachodniej i centralnej Polski (ros. „bieżeńców”), którzy znaleźli się na terenach polskich zajętych we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną i nie zostali objęci niemiecko-sowiecką wymianą ludności w 1939 r. i w 1940 r. lub odmówili przyjęcia paszportów sowieckich. Szacuje się, że wśród całego kontyngentu deportowanych ponad 84 % stanowili polscy Żydzi. Na przymusowym osiedleniu wszyscy deportowani otrzymali status „specprzesiedleńcy-uchodźcy” (*specpriesielency-uchodźcy*) i trafili do osad specjalnych pod nadzór NKWD. Podaję za: D. Boćkowski, *Czas nadziei...*, s. 16, 20, 61.

⁵ GARF, f. 9479, op. 1, d. 57, s. 64. Asino było końcową stacją kolejową odcinka Asino – Tomsk (uwaga tłumacza).

nawczy), Dnieprowski z Komitetu Obwodowego WKP(b) ze specjalnym zadaniem zapobieżenia buntowi – strajkom, zbadania ich przyczyn i podjęcia na miejscu stosownych działań celem uregulowania sytuacji związanej z rozsiadaniem deportowanych i wykorzystaniem ich do pracy. Po przybyciu 17/08 1940 r. do rejonu asinowskiego i zaznajomieniu się z powstałą sytuacją stwierdziliśmy, że:

a) w spec osiedlu Asino trwał strajk i nie pracowano od 14. sierpnia, przy czym miały tu miejsce niejednokrotne próby demonstracyjnych wystąpień antyradzieckich;

b) deportowani, którzy uciekli z osiedla Tajga i Bieregajewskiego odcinka wyrębu lasu od 18.04. znajdowali się na przystani w Bieregajewo i kontynuowali bunt;

c) całe osiedle Bieregajewo od 16.08 jest zbuntowane; nikt nie wychodzi do pracy;

d) w osadzie Kica również od 15.08. br. przebiegał zorganizowany strajk, któremu towarzyszyło przedstawienie ultimatywnych żądań o przeniesieniu ze spec osiedla w inne miejsca. Podjęte szybkie działania operacyjne wykazały, że we wszystkich tych osiedlach kontrrewolucyjny aktyw długo przed rozpoczęciem strajku organizował specjalne komitety, które przygotowywały, rozpoczęły a następnie kierowały buntami – strajkami.

Dzięki specjalnym przedsięwzięciom rozpoznawczym w ciągu dwu dób ustalono osobowy skład komitetów strajkowych, uzyskując 3-4 zeznania demaskujące organizatorów, którzy aktywnie przygotowywali bunt i kontrrewolucyjne wystąpienia. W osiedlach Kica, Bieregajewo, Tajga, Simonowka i Sibiraki rozruchom uchodźców towarzyszyły otwarte wystąpienia demonstracyjne, zorganizowane marsze po osiedlach z kontrrewolucyjnymi hasłami na transparentach wzywającymi do otwartych wystąpień przeciw władzy sowieckiej.

Ze strony kierownictwa Tomasina i operacyjno-czekistowskiego oddziału nie podjęto żadnych środków dla likwidacji buntów i strajków. Po zaznajomieniu się z warunkami życia i pracy we wszystkich osiedlach i po dokonaniu dochodzenia, komisja stwierdziła, że głównymi przyczynami, które spowodowały bunt były niezależnie od istnienia wśród uchodźców jawnie kontrrewolucyjnego elementu także zaniedbania operacyjno-czekistowskiego oddziału Tomasina. Stwierdzono bowiem, że w ten sposób przyczynił się do zorganizowania buntu i strajków. Charakterystyczne, że w najbardziej gorącym okresie buntu, 16 sierpnia, były Naczelnik Oddziału Operacyjnego czekistów „Tomasina” Sałtymakow, a dnia 17. naczelnik Oddziału Politycznego Bekbułatow, na wezwania telefoniczne – pierwszy – z NKWD Obwodu Nowosybirskiego (Kisielowa), drugi – z kierownictwa politycznego Gułagu (Gorbaczowa), wyjechali z obozów: Sałtymakow do Nowosybirsk a Bekbułatow do Moskwy, nie powiadamiając o tym Komitetu Obwodowego WKP(b).

Kierownictwo „Tomasina” (Borisow, Danaszajtes, Bekbułatow) nie podjęło natychmiastowych środków celem stworzenia choćby minimalnych warunków dla zorganizowania mieszkań, życia, wyżywienia i zatrudnienia „bieżeńców”, pozostawiwszy te bardzo ważne sprawy samym sobie. W wyniku tego rodziny „bieżeńców” zostały osiedlone w zupełnie nieprzygotowanych mieszkaniach, a cały szereg rodzin z małymi dziećmi znalazło się pod gołym niebem – w szałasach, szopach itp. W ciągu miesiąca „Tomasina” nie zrobił niczego odnośnie budowy nowych i doprowadzenia do porządku już posiadanych pomieszczeń. Element kontrrewolucyjny wykorzystał tę sytuację do roboty kontrrewolucyjnej i na tym gruncie przygotował bunt.

Wszystkie bez wyjątku specosiedla „Tomasina” są do granic przepelnione rodzinami „bieżeńców”; wynikało to z powodu nieodpowiedzialnego, nieprzemysł-

ślanego stosunku Gułagu NKWD ZSRR „Tomasinłagu” do rozwiązania sprawy osiedlenia i rozdziału pracy „bieżeńców” w obwodzie nowosybirskim.

Sam aparat Tomasinłagu nie był przygotowany do przyjęcia a zwłaszcza obsługi „bieżeńców”, organizacji wśród nich pracy kulturalno-wychowawczej i politycznej, oraz do prac organizacyjnych. Niżsi pracownicy obozów, przywykli do pracy z więźniami, takie same metody stosowali w całości wobec „bieżeńców”, co też powodowało oburzenie i niezadowolenie. Oprócz tego, rozruchom sprzyjał szereg innych przyczyn jak: brak organizacji pracy, brak norm pracy, złe wyposażenie w sprzęt roboczy, kierowanie do prac rolnych „bieżeńców” wywodzących się z kupiectwa i innych. W dniu przyjazdu do Asino i do innych specosiedli, dzięki przeprowadzeniu prac specjalnych ustaliliśmy organizatorów buntów i w ciągu 2 dni aresztowaliśmy w 6 specosiedlach Tomasinłagu 49 osób, członków komitetów organizacyjnych.

Dzięki specjalnym środkom doprowadziliśmy do rozkładu w szeregach buntowników, przy czym towarzyszyła temu praca wyjaśniająca, co dało znaczące dodatnie rezultaty. Podczas aresztowań uczestników komitetów były próby wszczęcia buntu i odbicia aresztowanych, ale wystąpienie te od razu zostały zniwelowane bez jakichkolwiek ekscesów.

Po pracy wyjaśniającej i po aresztowaniu buntowników, 21. 08. 1940 r. we wszystkich osiedlach zaczęto wychodzić do pracy, i 22. 08. wszyscy, w stu procentach, „bieżeńcy” pracowali. Na miejscu daliśmy też pracownikom Tomasinłagu wyczerpujące wskazówki, przeprowadziliśmy specjalne narady, na których zostały opracowane środki dla stworzenia normalnej sytuacji w osiedlach⁶.

Ciekawy jest również drugi dokument archiwalny, stanowiący protokół z posiedzenia Nowosybirskiego Biura WKP(b) z dnia 6 września 1940 r. zawierający analizę przyczyn tych wystąpień oraz podjętych środków mających je zlikwidować. W dokumencie tym są odniesienia do warunków zakwaterowania deportowanych, aprowizacji, pracy przy wyrębie tajgi itp.

Teczka specjalna. Ścisłe tajne.

Referuje tow. Borisow. Wystąpili: tow. Aksionow, Dnieprowskij, Jurow, Gonczarenko, Sałtymakow, Kudriawcew, Pugowkin.

Z dyskusji:

Tow. Borisow. Przyjęliśmy 5.825 rodzin, a mogliśmy osiedlić 3 tysiące. Otrzymując taką ilość „Tomasinłag” nie był w stanie osiedlić ich, jak trzeba, i ludzie dosłownie leżeli na wspólnych narach. Przypadało poniżej 1 m² na osobę. Warunki były niekorzystne. Z jednej strony trafiali oni do tajgi, a z drugiej strony ogólne baraki nie były zdezynfekowane, w barakach pluskwy, i gdy oni wychodzili na ulicę, to tam było wiele „maszkary” (meszki – drobniutkich zjadliwych muszek – uwaga tłum.), która ich znowu zaganiała do baraków. W związku z rozładowaniem, skierowaliśmy 7.200 osób, zostało około 10 tysięcy. W dniu dzisiejszym te 10 tysięcy osób można rozmieścić w mniej lub bardziej normalnych warunkach. Do tego potrzebne jest dodatkowe budownictwo, które już zaczęliśmy. Osiem baraków przerobiliśmy na system pokojów, ale ta przeróbka nas nie zadowala, i w niektórych punktach trwają dodatkowe prace budowlane. W szczególności, „na surowym korzeniu” budujemy 70 domków. Ale powiedzieć należy, że obecnie sytuacja jest już normalna – nie można. Teraz

⁶ Archiwum Państwowe Obwodu Nowosybirskiego (*Gasudarstwiennyj Archiw Nowosybirskoj Oblasti*; dalej: GANO, f. 4, op. 33, d. 238b, l. 37-40.

trzeba się brać za budownictwo zimowe. Trzeba dostać piece żeliwne, cegły. Z tym mamy teraz szczególnie napiętą sytuację.

Oдноśnie wyżywienia. Do głównych punktów dowieziono dostateczną ilość mąki, prawie na rok. Kaszy mamy na 2-3 miesiące. Uwzględniając tych przesiedleńców, którzy będą pracować, zabezpieczyliśmy 5 tysięcy ciepłych kufajek, 5 tysięcy par walonek. Nie wiem tylko, jak sobie poradzić z rzeczami dla dzieci i kobiet. Źle się przedstawia sprawa z obuwiem skórzanym. Tak wygląda sytuacja.

Tow. Aksionow. Powiedźcie w ogólnym zarysie o perspektywach funkcjonowania waszego przedsiębiorstwa w 3-4 kwartałach.

Tow. Borisow. W planie na 1. półrocze figuruje 1 mln 150 tysięcy rubli. W ciągu półrocza wykonaliśmy plan w 100 procentach. Teraz nie znam wielkości planu na kolejne okresy bowiem do tej pory jeszcze go nam nie dostarczono. Perspektywa bardzo niezachęcająca. Czy będziemy w stanie wykonać plan tymi ludźmi? Wątpię. Wykwalifikowanych pracowników w tym kontyngencie nie ma, my ich teraz dopiero uczymy. Chyba za dwa miesiące zakończymy kurs.

Tow. Pugowkin. Jednym słowem, doigraliśmy się.

Tow. Borisow. Na to wychodzi.

Tow. Dnieprowski odczytuje notatkę informacyjną, przygotowaną dla Komitetu Obwodowego WKP(b) oдноśnie zaistniałych rozruchów.

Tow. Jurow. Sytuacja teraz się nie polepszyła. Ludzie nie pracują i nadal strajkują. W Baturino dwa razy dochodziło do wystąpień. W Baturino, gdzie warunki zakwaterowania są stosunkowo dobre, np. kawalerowie mieszkają tam w oddzielnych pomieszczeniach, doszło ostatnio do dwu buntów. Strajkujący mówią wprost, że pracować nie będą, choćby ich miano rozstrzelać.

Po pierwsze, trzeba ich przesiedlić dalej od rejonu. Oni demoralizują ludność. Doszło do tego, że kołchoźnicy sprzedają im masło po 100 rubli. Po drugie, gospodarstwo ogromne, i z tym kontyngentem nie będzie można go zagospodarować, trzeba jakiś inny kontyngent. Wybudowali tartaki o wysokiej technice, ale z tym kontyngentem nic się nie da zrobić, nie umieją pracować, oni dosłownie teraz powodują rozkład w rejonie. Ich trzeba zmusić do pracy, ale pracą masową (wychowawczą – uwaga tłumacza) nie zmusi się ich do pracy.

Oдноśnie Tomasinału. To zamieszanie mogłoby być mniejsze, ale obóz nie był przygotowany do przyjęcia. Wiedzieli, że ten kontyngent „rodzinny”, i nie przygotowali pomieszczeń. Czy nie można było zdezynfekować, pobielić, usunąć plaskwy? Tow. Borisow winien temu, że lekko potraktował sprawę przyjęcia tego kontyngentu i nie przestawił swych podwładnych. Personel obsługujący nie uwzględnił tego, że ustosunkowanie do tego kontyngentu powinno być odmienne niż do więźniów. Oddział operacyjno-czekistowski niczego nie przedsięwziął. A oddział polityczny odsunął od siebie jakąkolwiek odpowiedzialność.

Tow. Gonczarenko. Nie ma racji tow. Jurow, że ten kontyngent trzeba wywieźć. Ten naród będzie pracował, tylko trzeba nad nim popracować. Trzeba wyłączyć grupę ludzi, to reszta będzie pracować. Ja myślę, towarzysze, że winni zaistniałej sytuacji powinni ponieść odpowiedzialność.

Tow. Sałtymakow. To zamieszanie zaczęło się 14 sierpnia. Od 26 lipca do 3 sierpnia ja byłem w Nowosybirsku. Wyjeżdżając do Nowosybirska, dałem zadanie zespołowi operacyjnemu oдноśnie obchodzenia się z tym kontyngentem. Ja nie doceniałem sytuacji i zrobiłem grubo błąd, jadąc do Nowosybirska. Ale u mnie wytworzyła się taka sytuacja, że musiałem umieścić dzieci w szkole. Co do przedsięwzięć operacyjnych, ja nie zdecydowałem od razu na ich stosowanie.

Tow. Aksionow. Oczywiście, tak wielka ilość ludzi, przy tym umieszczonych w zupełnie nieprzygotowanych pomieszczeniach, to stworzyło napiętą sytuację. Na czym od początku polegały trudności? Po pierwsze, nie było wiadome, kogo

przywieźli, gdyż nawet nie było spisu. Tam są ludzie z sowieckimi paszportami, robotnicy – sztukatorzy, ceglarze, stolarze, i są kobiety, które ukończyły paryskie instytuty. Odnośnie projektu. Zupełnie niesłusznie i nieobiektywnie tak podchodzić – udzielać surową naganę z ostrzeżeniem. A w jakich warunkach byłby tow. Kudriawcew, gdyby mu dali 18 tysięcy ludzi? Uważam to za niesłuszne, gdyż tow. Borisowowi nie udzielono instrukcji, nie wyjaśniono, jak obchodzić się z tym kontyngentem, a te 18 tysięcy ludzi szło transport za transportem. Trzeba było ich kwaterować w pomieszczeniach przeznaczonych dla kontyngentu więźniów, a przecież to był zupełnie inny skład niż więźniowie, przyjechali tu ludzie z rodzinami, z dziećmi. Oto co się stało? Osiedlili rodziny z dziećmi w ogólnych barakach, pluskwy dosłownie zżerały dzieci, zagęszczenie nieprawdopodobne. Kobiety rzucały wszystko i szły po 15-20 kilometrów szukać mleka dla niemowląt, bo mleka nie było. Pracownicy „Narkomatu”⁷ w sposób nieprzemyślany wysłali od razu 18 tysięcy ludzi bez wstępnego przygotowania do ich przyjęcia. Teraz tą sprawę naprawiają, już 6 tysięcy osób odwieziono z powrotem. Odnośnie tego gospodarstwa. W ciągu dwóch lat stworzono wspaniałe gospodarstwo, które już teraz powinno dawać 1 mln 200 tys. kubometrów drewna. Usłyszeliśmy dzisiaj referat organizacji budowlanej, tam o każde polano powstaje kłótnia, a tu takie olbrzymie możliwości, drewno przeznaczone dla organizacji budowlanych. Półroczny plan wykonany. Ten zespół będzie pracował, trzeba ich tylko nauczyć, niektóre osoby usunąć – tych, którzy dezorganizują, stworzyć normalne warunki, i oni będą dobrymi leśnikami. Jakiś czas minie, póki oni przejedzą swoje rzeczy, a potem będą pracować. GUŁAG w sposób nieprzemyślany podjął decyzję odnośnie przeniesienia więźniów tego gospodarstwa, a tow. Borisow nie zawiadomił nas o tym.

Odnośnie oddziału politycznego. Uważam, że tow. Bekbułatow – to pracownik, który i wcześniej pracował wstrzeźliwie. Z tow. Bekbułatowem zawsze rozmawiało się o jego pracy, zwracając uwagę na konieczność jej poprawy. W „Tomasinłagu” on sobie żyje podśpiewując, rozjeżdża się jak jakiś naczelnik, zaprasza do siebie do Asino na herbatę, a spraw nie ma żadnych, jak mówi: „Wiele ambicji – mało amunicji”. Pod jego nieobecność zdecydować nie można, o winie jaką on ponosi, ale jest on w jakiś stopniu odpowiedzialny za zaistniałą sytuację! Wyjechał i nikogo nie zawiadomił. Był w Nowosybirsku i nawet nie zaszedł do zastępcy naczelnika NKWD, nawet nie pojawił się w Komitecie obwodowym partii.

Tow. Kudriawcew. O tak wielkiej ilości uchodźców u nas w kierownictwie nikt nie wiedział. Ta sprawa nie była znana w całości nawet tow. Borisowowi, wskutek czego nie mógł on przygotować się do przyjęcia tych ludzi. Nie powinno nas dziwić, że my otrzymaliśmy ten kontyngent. Analizując tę sprawę, towarzysze powinni rozumieć, skąd wzięli się ci ludzie. Przez długi czas oni przebywali na granicy.

Tow. Pugowkin. Co tam właściwie się działo? Ludzie trafiwszy w takie warunki, dezorganizowali pracę. Teraz trzeba kilku miesięcy, żeby tę sprawę unormować. Trzeba napisać do Komitetu Centralnego memoriał o tym, że trzeba podnieść i wykorzystać to gospodarstwo, inaczej można je rozwalić. Przy tym trzeba podjąć najbardziej zdecydowane środki wobec tych ludzi, zorganizować tę sprawę jak należy. Trzeba w Komitecie Centralnym przedstawić zagadnienie,

⁷ Narkomat – skrót od „Narodnyj komissariat” (komisariat ludowy); nazwa stosowana dla określenia urzędów centralnych (ministerstw) w ZSRR. W tekście dokumentu prawdopodobnie chodzi o Komisariat Ludowy Spraw Wewnętrznych ZSRR (NKWD ZSRR).

aby GUŁAG rozpatrzył sprawę kierownictwa. Jedna uwaga odnośnie postanowienia obłispołkoma (obwod. komitet wykonawczy) o umieszczeniu starców i dzieci specprzesiedleńców. Trzeba powierzyć tow. Godowicynowi. aby tę decyzję uchylić (odczytuje). U nas jest wiele dzieci i pracujących inwalidów, których trzeba ulokować. Niech „Asinłag” rozdziela, jak chce.

Tow. Wołkow. Nie można im ograniczać miejsca pobytu.

Tow. Pugowkin. Trzeba stworzyć rzeczywiście takie warunki, że jak obóz, to obóz.

Tow. Aksionow. Co do opieki nad dziećmi. Trzeba na miejscu zorganizować zaopatrzenie dla dzieci, aby były produkty mleczne dla nich.

Tow. Pugowkin. Trzeba polecić tow. Kudriawcewowi, Babiczowi, Gonczarence, aby w ciągu dwu dni zredagowali postanowienie.

Tow. Kudriawcew. Tam teraz znowu wybuchły zamieszki, i uważam, że tow. Borisow nie jest w stanie zrobić tam porządku, wyznaczyłem tam Donajcewa, on to załatwi.

Tow. Jurow. W projekcie zapisano, aby zobowiązać sekretarzy Komitetów Rejonowych asinowskiego, zyrjańskiego i teguldeckiego aby okazali pomoc „Asinłagowi” w osiedleniu specprzesiedleńców i przeprowadzeniu wśród nich pracy wychowawczej.

Tow. Pugowkin. Tego nie trzeba zapisywać, należy zapisać o kontroli⁸.

Oczywiście, przytoczone wyżej dokumenty archiwalne tylko w małym stopniu pozwalają na przedstawienie rzeczywistego obrazu dziejących się wówczas wydarzeń w osiedlach zlokalizowanych w głębi tajgi w obecnym obwodzie tomskim. Nie dają one jednak pełnego obrazu wspomnianego buntu, do którego doprowadziły straszliwe warunki życia. Równocześnie dokumenty te wyraźnie demonstrują stosunek przedstawicieli miejscowych władz partyjnych i radzieckich do tego, co się działo.

Na tym wyczerpują się dokumenty archiwalne i wspomnienia świadków o tym niezwykłym wydarzeniu w zespole łagrowym „Tomasinłag”. Dotychczas jednak pozostaje niewyjaśnionych wiele stron opisywanych wydarzeń. W szczególności, z przytoczonych dokumentów archiwalnych i wspomnień nie można dokładnie poznać dalszych losów uczestników tego buntu.⁹

*Z języka rosyjskiego tłumaczył
dr Czesław Bazan*

⁸ GANO, f. 4, op. 33, d. 238b, s. 40-44.

⁹ Artykuł przygotowała do druku i uściśliła zawartą w nim faktografię oraz opatrzyła dodatkowymi przypisami Pani dr Anna Zapalec.

EWA ROGALEWSKA

ZAGŁADA DWORÓW W WOJEWÓDZTWIE BIAŁOSTOCKIM PO ROKU 1939

W dniu 16 września 2012 r., w przeddzień 73. rocznicy napaści ZSRS na Polskę, w Białostockim Muzeum Wsi odbył się wernisaż wystawy zorganizowanej przez białostocki Oddział Instytutu Pamięci Narodowej pt. „Zagłada dworów w województwie białostockim po roku 1939”. Zamyśl umieszczenia wystawy w salach osiemnastowiecznego, modrzewiowego dworu z Bobry Wielkiej, przeniesionego do Białostockiego Muzeum Wsi w 1984 r., był celowy – wzmocniono w ten sposób przekaz źródłowy *in situ*, prezentując artefakty z muzealnej kolekcji. Ekspozycja muzealna z zaaranżowanymi elementami wnętrza, z wyposażeniem podworskich mebli, bibelotów oraz pamiątek rodzinnych (m.in. rodziny Tomaszewskich z Bobry Wielkiej) przedstawia zaledwie namiastkę dworskiej aury. Po niemal trzydziestoletnim okresie, uratowany dwór udostępniono zwiedzającym w innym krajobrazie kulturowym, w nowej, muzealnej funkcji. Warto w tym miejscu przywołać postać ostatniego właściciela Bobry: Tadeusz Tomaszewski (1887-1977) ps. „Bończa”, Delegat Rządu RP na Kraj w powiecie Sokółka, oraz Referent Wojskowy Komendy Obwodu AK nr 10 Sokółka, to absolwent gimnazjum klasycznego w Kijowie, Politechniki w Karlsruhe (1912 r. inż. chemii), Uniwersytetu w Lipsku (1916 r. inż. rolnictwa), uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Po odzyskaniu niepodległości osiadł w rodzinnym majątku, który rozbudowywał, prowadząc jednocześnie bogate życie towarzyskie, podtrzymując kontakty z ówczesnymi politykami (m.in. znajomym z okresu studiów w Karlsruhe był prezydent Gabriel Narutowicz). Po kapitulacji wojska polskiego we wrześniu 1939 r. schronił się na Litwie, dzięki czemu uniknął aresztowania przez sowietów. W czasie okupacji niemieckiej powrócił do Bobry i zaangażował się w działalność ZWZ-AK. Wówczas poznał swą przyszłą żonę: Irena Sańkówna z Sokółki (ur. 1919 r. w Petersburgu, absolwentka Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. E. Plater w Grodnie – 1938r., podczas okupacji sowieckiej nauczycielka we wsi Kozło pod Sokółką), została zaprzysiężona jako żołnierz AK 1 czerwca 1942 r. i była łączniczką AK ps. „Sarna”.

Podczas wojny Tomaszewski udzielał także pomocy ludności żydowskiej z okolic Sokółki i z Grodna. Dwór w Bobrze pełnił też rolę aprowizacyjną dla przyjaciół z Warszawy. Tadeusz i jego siostra Jadwiga, oraz mieszkająca we dworze nauczycielka Amelia Lubart ps. „Lotos”, pomogli także w ostatniej drodze twórców i przyjaciół oraz częstych bywalców Bobry – poety Stanisława

Miłaszewskiego i jego żony powieściopisarki Wandy. Po śmierci Miłaszewskich w Warszawie, w pierwszych dniach powstania warszawskiego, na rozkaz AK przeprowadzono zbiórkę pieniędzy i dokonano ekshumacji i ponownego pochówku Miłaszewskich na Powązkach w Warszawie w 1945 r. Po parcelacji majątku Bobra, Tadeusz Tomaszewski wraz z żoną opuścili Sokólszczyznę i wyjechali do Szprotawy, gdzie do dziś mieszka pani Irena Tomaszewska.

Wystawa wprowadziła widza w sytuację historyczną w woj. białostockim po 1939 r., kiedy to ludność Białostoczczyzny, wraz z przedstawicielami warstwy ziemiańskiej i mieszkańcami dworów, przeżywała kolejne fale wojennej, sowieckiej i niemieckiej, okupacji. Pierwsze akty terroru, z mordowaniem właścicieli ziemskich – „białopolaków” – na skutek okupacji sowieckiej, rozpoczęły się na wschodzie województwa białostockiego po 17 września 1939 r. Szybko postępowało rugowanie właścicieli z ich siedzib, a następnie nacjonalizacja dóbr obszaru włączonego w skład tzw. Zachodniej Białorusi. Aresztowania, deportacje w głąb ZSRS z 1940 r. oraz wyroki śmierci wykonane na oficerach i rezerwistach, określane mianem Zbrodni Katyńskiej, stanowiły kolejny akt zagłady społeczności ziemiańskiej. Przykładem tych losów jest rodzina mjr. Stanisława Bilmina z Łosośnej, który został aresztowany jesienią 1939 r., był więziony w Ostaszkwowie, skąd przysłał list do żony Wiktorii, a 4 kwietnia wydano na niego wyrok śmierci i 7 kwietnia 1940 r. został rozstrzelany w Katyniu. Jego brat, Waław Bilmin, z majątku Łosośna II został także aresztowany przez sowietów i ślad po nim zaginął. Podobny los spotkał mężczyzn z rodziny Rothów, którzy zginęli w Katyniu. Z kolei właściciel majątku Kozany Jerzy Szrodecki, także aresztowany jesienią 1939 r., osadzony w więzieniu w Mińsku, a następnie w innych miejscach odosobnienia, na mocy układu Sikorski-Majski (1941) wydostał się z ZSRS wraz z armią pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Niestety jego żona, Irena, aresztowana wraz z matką i dwoma córkami, zmarła na zesłaniu w Kazachstanie. Podobny los spotkał Józefa Szrzedzińskiego, właściciela majątku Turośń Kościelna, aresztowanego i wywiezionego do Kazachstanu, gdzie zmarł w szpitalu w 1945 r., Hektora Rayskiego z Zapola k. Baranowicz, zamordowanego w Charkowie, czy braci Wincentego i Wilhelma Horczaków z ok. stuhektarowego majątku Horczaki koło Sokółki, aresztowanych przez sowietów i zaginionych na Wschodzie oraz wielu innych.

Na terenach Generalnego Gubernatorstwa powstawały organy pomocy społecznej z inicjatywy środowisk ziemiańskich. Na przełomie 1939 i 1940 r. powstała Rada Główna Opiekuńcza, w skład jej władz wszedł m.in. ziemianin Adam Ronikier. Warto przypomnieć, że po rozwiązaniu przez Niemców w końcu 1939 r. Związku Ziemian, z siedmiu okręgów terenowych związku, pięciu jego prezesów zostało potem zamordowanych (m.in. Adolf Bniński – Delegat Rządu RP na ziemi wcielone do III Rzeszy). W odpowiedzi na terror okupantów, z inicjatywy krakowskiego oddziału Związku Ziemian i jej prezesa Karola Tarnowskiego, powstał Komitet Pomocy dla Wysiedlonych i Poszkodowanych, działający w ścisłym porozumieniu z komendantem Obszaru ZWZ Kraków i jej szefem płk. Tadeuszem Komorowskim. Od początku 1940 r. Karol Tarnowski i Leon Krzeczunowicz, a wkrótce Roman Lasocki i inni, zrealizowali swój plan działania organizacji paramilitarnej skupiającej ziemian, wspierającej ZWZ, opartej na systemie „trójkowym”. Od końca roku 1940 Rząd RP nadał formalną nazwę organizacji: „Uprawa”, a następnie dla bezpieczeństwa używano kolejno kryptonimów „Tarcza”, „Opieka” oraz „S-1”.

Władze komunistyczne, które objęły rządy na terenie województwa białostockiego już we wrześniu 1944 r. rozpoczęły zaplanowany proces zniszczenia dworów poprzez reformę rolną. W maju 1945 r., po zakończeniu II wojny światowej, w wyniku ustalenia nowych granic, od Polski odpadły tereny powiatów grodzieńskiego i wołkowyskiego – wcielone do ZSRS – zmniejszając obszar dawnego województwa białostockiego. Szykany i represje wobec dawnych właścicieli, czasem powracających z Syberii czy Kazachstanu lub ponownie wywożonych w latach 1944-1947 w głąb ZSRS, ograniczyły im swobodę zamieszkania w pobliżu dawnych majątków, odebranych na mocy reformy rolnej. Zdeklasowani właściciele dworów, upokorzeni, napiętnowani, stali się na długo obywatelami drugiej kategorii. Pozytywistyczny etos pracy na roli, pracy u podstaw, został wypaczony przez propagandę PRL. Powojenne losy przedstawicieli warstwy ziemiańskiej, czy też dawnych mieszkańców dworów były pasmem kolejnych tragedii. Właściciele dworów, z goryczą przyjęli do wiadomości paradoks nowego „pojałtańskiego porządku”. Nie zaakceptowali władzy PKWN, często pozostawali w strukturach podziemia niepodległościowego, za co skazywani byli na więzienie. Na mocy dekretu PKWN o reformie rolnej utracili majątki o powierzchni powyżej 50 ha.



Wnętrze dworku z Bobry Wielkiej – aranżacja na czas wystawy.

Zasadnicza część wystawy składała się z materiałów ikonograficznych, uzupełnionych opisem; zaprezentowano ją na planszach, umieszczonych na ścianach pustych pomieszczeń dworu (w budynku prowadzone są prace konserwacyjne). Przedstawiono tu skany map, fotografii rodzinnych, wspomnień dotyczących właścicieli dworów w województwie białostockim, a także dokumenty administracyjne o zniszczeniu majątków, ukazujących represje, jakim poddawani byli właściciele ziemscy po roku 1939.

Na wystawie zaprezentowana została mapa województwa białostockiego w granicach sprzed 1 września 1939 r. z miejscowościami. Kolejny, szeroki materiał faktograficzny zawiera lista strat ziemiaństwa, opracowana w Instytucie Pamięci Narodowej na podstawie literatury, wspomnień i innych źródeł archiwalnych. Odślanianie mechanizmów zbrodni i ukazywanie ich sprawców jest równie ważne, jak upamiętnienie ofiar. Upamiętnienie to także ich odnalezienie i personifikacja. Publikacje listy strat przybliżają losy poszczególnych osób z konkretnych miejscowości. Dzięki mikrohistorii, można ukazać zwłaszcza młodemu pokoleniu, wzorce osobowe, tak potrzebne we współczesnej edukacji. Jednocześnie upamiętnienie jest kolejnym ogniwem podtrzymywanej pamięci społecznej, pamięci przechowanej przez indywidualne osoby (np. o ofiarach zmarłych czy zaginionych na zesłaniu w ZSRS) i przekazywanie kolejnych wspomnień, wypominków, genealogii, by zadośćuczynić jednej z charakterystycznych cech ziemiaństwa – pielęgnacji pamięci i tradycji – dbałości o archiwa, zapisy pamiętnikarskie.

Przy sporządzaniu listy strat i represji ziemian w województwie białostockim oparto się m.in. na pracach Krzysztofa Jasiewicza i Józefa Włodka, zasłużonych badaczy strat wojennych ziemiaństwa i całego narodu polskiego. Jak wynika z badań Krzysztofa Jasiewicza największe straty zostały zadane warstwie ziemiańskiej przez Sowieców w województwach wschodnich RP. I tak w powiecie Wołkowysk zanotował on 71 ofiar a w Grodnie 58. Owe ofiary to osoby zamordowane w „spontanicznych” (określenie K. Jasiewicza) zająściami we wrześniu 1939 r.; odnotował on 150 osób zamordowanych w ten sposób. Kolejnym etapem była eksterminacja całych rodzin – aresztowania, wywózki na tereny wschodnich republik ZSRS i życie w bardzo trudnych warunkach, które nie wszyscy wytrzymali; Jasiewicz odnotowuje tu 600 zgonów. Do zagłady ziemian przyczyniła się działalność ludobójcza tzw. partyzantki sowieckiej, np. wymordowanie rodziny Czarnowskich w majątku Worończa w pow. Nowogródek w nocy z 31 kwietnia na 1 maja 1943 r. oraz spalenie ich ciał wraz z dworem. Potem nastąpiły kolejne represje za tzw. „drugiego sowieta” – ponowne aresztowania, zsyłki do łagrów. Według Jasiewicza bilans strat w województwie białostockim to 282 ofiary, wynoszące 7,55 proc. ogółu strat w Polsce, w tym z rąk sowieckich zginęło 73,76 proc. ofiar, z niemieckich 21,99 proc., z polskich 1,77 proc. Największe zaś wskaźniki strat w ramach województwa przypadają na powiaty: Wołkowysk (25,18 proc. strat, w tym największe – 80,28 proc. z rąk sowieckich), Grodno (20,57 proc. w woj., w tym największe 81,04 proc. z rąk sowieckich), najniższy wskaźnik strat w województwie białostockim ma Kolno (0,35 proc. ogółu strat woj.).

Pisząc w tytule wystawy o zagładzie dworów, przedstawiono szerzej unicestwienie materialnej substancji, zniszczenie prywatnej własności, często pozostającej w rękach danej rodziny przez wieki, zakorzenienie rodu w polskiej, patriotycznej tradycji, pamięć o topografii miejsca w powiązaniu z wydarzeniami historycznymi i postaciami (np. płyta kominkowa we dworze w Łosośnej Małej, zamontowana na pamiątkę pobytu tamże króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, czy lipa koło dworu w Lipnikach, wskazywana według tradycji rodzinnej Lewickich jako drzewo, pod którym Łukasz Górnicki pisał *Dworzaniąna Polskiego*, czy wreszcie legenda o pogańskim, świętym wiązcie i rodzie Tracewskich, związana ze dworem w Bobrze Wielkiej, uwieczniona przez Wandę Miłaszewską i wiele innych). To kod kulturowy, kod pamięci, po latach zmitologizowany, szczególnie przez skrzywdzonych potomków ziemian, ale także prawdziwy.

Na wystawie przedstawione zostały postaci represjonowanych ziemian z województwa białostockiego i losy zniszczonych majątków. Tragicznym symbolem tych losów jest Jan Stanisław Jankowski (1882-1953), ps. „Doktor”, „Klonowski”, „Soból”, ur. we wsi Krasowo Wielkie, pow. Wysokie Mazowieckie, absolwent studiów rolniczych i chemicznych, zarządca majątków: Bendry, Miedzna, Kalinowa, żołnierz Legionów Polskich i działacz polityczny (Narodowy Związek Robotniczy, Narodowa Partia Robotnicza), minister i wiceminister pracy i opieki społecznej (1921, 1926), poseł na Sejm (1928-1935), od marca 1941 r. dyrektor Departamentu Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu, od lutego 1942 r. zastępca Delegata Rządu prof. Jana Piekalkiewicza. Po jego aresztowaniu został Delegatem Rządu w randze ministra. Natomiast w maju 1943 r. został też zastępcą Prezesa Rady Ministrów w Kraju. Aresztowany w Pruszkowie w nocy 27/28 marca 1945 r. i sądzony w pokazowym procesie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, został skazany na osiem lat więzienia (z tego okresu zachowały się dwa listy do siostry). Zmarł w więzieniu we Włodzimierzu nad Kłazmą. Owe osoby, będące ofiarami szerszych akcji, jak deportacje, aresztowania, zesłania do sowieckich łagrów, Zbrodni Katyńskiej czy też systemu niemieckich obozów koncentracyjnych, a potem represji Polski Ludowej, stanowiły fundament polskiego społeczeństwa w XX wieku. Straty, które poniosło polskie społeczeństwo wraz ze zniszczeniem świata kultury ziemian oraz zniszczeniem dworów, (zakorzenionych w romantycznej symbolice polskiego etosu niepodległościowego), wydają się być trudne do oszacowania i nie do przecenienia. Wystawa i katalog jej towarzyszący są hołdem pamięci złożonym Ofiarom.

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 r., ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRR. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *niełudzkiej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku

ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok
tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl
www.sybir.com.pl

EWA ZIÓŁKOWSKA

COŚ PO MNIE WE LWOWIE ZOSTANIE...

Grodno, Workuta, Lwów – to etapy jego życia wypełnionego walką: obrona Grodna we wrześniu 1939 roku, zmagania o przeżycie w workuckim łągrze, kolejne batalie o narodową pamięć we Lwowie i Ziemi Lwowskiej. W rocznicę napaści Związku Sowieckiego na Polskę, 17 września 2012 roku odszedł na wieczną wartę Eugeniusz Cydzik – harcerz i żołnierz Armii Krajowej. Spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim. Miał 90 lat.

Postawa żołnierska, sarmacki wąż, a wobec kobiet lwowska galanteria: „Dzień dobry Pani. Rączki całuję”. Gdy była mowa o miejscach pamięci, błysk w oczach zdradzał, że stanowią treść jego życia. W tej dziedzinie Eugeniusz Cydzik wykazywał stanowczość i determinację. O swoich 90-letnich burzliwych losach opowiadał ze swadą i dbałością o szczegóły; przytaczał daty i nazwiska.

Jego biografią można by obdzielić kilka osób. Urodził się 28 grudnia 1921 roku w zaścianku Misiewiczze koło Grodna. Duchowo uformowały go dom rodzinny i harcerstwo. Należał do żeglarskiej V Drużyny Męskiej im. Romualda Traugutta w Grodnie i do ostatnich dni życia z dumą nosił Krzyż Harcerski. W ZHP przeszedł pełny kurs przysposobienia wojskowego. Gdy Niemcy napadli na Polskę, 1 września 1939 roku zgłosił się na ochotnika do wojska. Został przyjęty do służby pomocniczej w Grodnie, po 17 września brał czynny udział w obronie miasta przed Armią Czerwoną. W lutym 1942 roku wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, następnie został żołnierzem Armii Krajowej. Służył w Biurze Informacji i Propagandy (BIP), potem w Kierownictwie Dywersji (Kedywie). Zbliżając się do 90-tki, w postawie na baczność potrafił wyrecytować rotę przysięgi, którą składał dowódca w 1942 roku:

Będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o jej wyzwolenie będę walczył z bronią w ręku. Nagrodą zwycięstwo, a za zdradę śmierć.

Przeżycia Pana Eugeniusza z lat 1939-1945 stanowią by mogły, obfitujący w gwałtowne zwroty akcji, scenariusz sensacyjnego filmu wojennego, gdyby nie tragiczny finał.

W sierpniu 1945 roku został aresztowany przez NKWD i skazany przez Trybunał Wojenny „za zdradę ojczyzny” na 15 lat katorgi i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Wyrok odbył w Workucie. Opowiadał:

Przyjechałem na Workutę... Wyszadziłem z wagonów, na torach posadzili, ja patrzę, przyszli więźniowie z obozu, węgiel zabierali do takiej skrzyni, a skrzynie miały pod spodem płozy, do stołówki węgiel biorą, mróz ponadtrzydziestostop-

niowy. To było 24 grudnia 1945 roku. W samą Wigilię. Policzyli siedzących na torach... Wprowadzili nas do baraku. Ciepło, jasno, światło, pośrodku beczka stoi po benzynie, ona jest czerwona, palą węglem, ciepło. Trzy dni kwarantanny. A potem brygady zrobili i wypędzili nas w tundrę, śniegi dookoła, tylko taka szopa stoi z desek. Tam mamy budować stadion, A jak budować, kiedy tam metrowe zaspy śniegu, więc śnieg trzeba odkopywać. Drzewo to takie deski, nie bardzo takie dobre, kawałki drzewa, palą ognisko, w tym ognisku nagrzewają stalowe łomy, łomami robią dziury, zakładają ładunki, wysadzają. I tam niwelacja. Ja miałem taką łopatę drewnianą, śnieg odrzucałem. Ale ja do tej pory nie mam mięśni, bo ja zasadniczo nigdy fizycznie nie pracowałem, słabutki byłem, tym bardziej, że w więzieniu mnie przetrzymali strasznie...

Później pracował w zespole kopalń węgla jako mierniczy i elektryk. Udało mu się nawet w Workucie uzupełnić wykształcenie techniczne.

A ja troszkę elektrotechniką się interesowałem. No i poszedłem do *elektroczu* do pracowni elektrotechnicznej. Najpierw tam niektóre remonty robiłem, to, owo... A potem w obozie zorganizowano kursy technikum górniczego. Bo jeżeli człowiek nie zna czegoś i robi przypadkowo awarię, to jego nie mają prawa zasadniczo sądzić, bo on to nieświadomie zrobił, ale jeżeli już będzie znał to, o, to znaczy świadomie to zrobił. Były tzw. kursy *otwiectwiennika*. Ale to się nazywało technikum górnicze. I ja chodziłem codziennie dwie godziny po pracy, był techniczny gabinet i tam były kursy. No i ja przyłożyłem się do tego bardzo dobrze, naprawdę, z całą mocą, bo chciałem się czegoś nauczyć, bo trzeba było przeżyć...

Dalej wspominał:

Mogę powiedzieć jedno – przeżyłem. Ja może nie zasłużyłem na to. Co prawda, wychowany byłem w duchu katolickim, w domu modliliśmy się wspólnie, moja mama była bardzo pobożna, modliła się. I ona wymodliła, że ja przeżyłem i żonę mi wymodliła.

Istotnie, w Workucie poznał lwowiankę Czesławę Hnatów, którą w marcu 1945 roku aresztował kontrwywiad sowiecki *Smiersz* za działalność w AK. Skazano ją na dwadzieścia lat katorgi. Połączyła ich wspólnota łagrowych łosów. Była to bardzo romantyczna historia, która zakończyła się ślubem udzielonym przez jednego z księży w Workucie 11 listopada 1956 roku. Eugeniusz Cydzik został zwolniony przedterminowo w marcu 1956 roku „z anulowaniem wyroku i przywróceniem praw obywatelskich”, do roku 1957 pracował jako wolny robotnik, po zwolnieniu żony przyjechał z nią do jej rodzinnego miasta.

We Lwowie otoczyli opieką polskie miejsca pamięci narodowej. Ratowali zniszczone polskie mogiły, kwatery i cmentarze wojenne w mieście i okolicach. W lutym 1984 roku Eugeniusz Cydzik powołał do życia Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi. Przez trzy kadencje był prezesem Towarzystwa, później został jego prezesem honorowym. Razem z żoną w latach osiemdziesiątych zainicjował porządkowanie Cmentarza Obrońców Lwowa. Państwo Cydzikowie, a wraz z nimi lwowscy Polacy, usuwali zwały gruzów i śmieci, ratowali zachowane detale. Czesława Cydzik własnoręcznie wykonywała cegielki, których sprzedaż zasilala fundusz, z czasem prowadzonej już oficjalnie, odbudowy.

W 1993 roku na Wzgórzach Wuleckich, w miejscu rozstrzelania przez hitlerowców polskich profesorów lwowskich uczelni, państwo Cydzikowie po-

stawili betonowy pomnik z żelaznym krzyżem. Długa jest lista mogił żołnierskich, w których uporządkowanie i renowację zaangażowany był Pan Cydzik. Tak jak długa jest lista odznaczeń państwowych i wyróżnień, którymi go uhonorowano, by wymienić jedynie Nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej, przyznaną mu i jego żonie przez Instytut Pamięci Narodowej w 2006 roku. Był także członkiem Komitetu Honorowego Obchodów 70. Rocznicy Wybuchu II Wojny Światowej. Mimo wieloletnich wysiłków, nie udało mu się jednak doprowadzić do ekshumacji i upamiętnienia żołnierzy września 1939, którzy zginęli w czasie wejścia Armii Czerwonej do Lwowa i dotąd spoczywają na terenie ogrodów Politechniki Lwowskiej i parku Żelazna Woda. Jego marzeniem było utworzenie choćby niewielkiej ekspozycji muzealnej na Cmentarzu Orłąt Lwowskich.



Eugeniusz Cydzik (1921-2012). Fot. Ewa Ziólkowska.

Jeszcze nie tak dawno Pan Eugeniusz witał swoich gości z nieodłącznym psem Bandziorem u boku. Lwowski dom państwa Cydzików był ostoją patriotyzmu. Córka Krystyna współtworzyła Harcerstwo Polskie na Ukrainie. Polska, jak w norwidowym wierszu, była dla niego wielkim obowiązkiem. Do końca swoich dni walczył o narodową pamięć. Z satysfakcją mówił: „Coś po mnie we Lwowie zostanie”. Zostało. Cześć Jego Pamięci!



„Tam gdzie lwowskie śpią Orłęta...”. Fot. Maria Bożena Ziegler.



RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Irena Świdlik – *Wspomnienie z tułaczki syberyjskiej.* Rok 1942-1943

Był rok 1942. Wraz z rodzicami jechałam pociągiem wojskowym z Taszkientu do Krosnowodka nad Morzem Kaspijskim, z Rosji w daleki świat. Pociąg był osobowy, w czterech pierwszych wagonach jechały sieroty po sybirakach, których opiekunką była Hanka Ordonówna. Dalsze wagony były wypełnione cywilami i żołnierzami z armii gen. Władysława Andersa. Nie pamiętam, jak długi był pociąg. Miałam tylko 8 lat.

Ludzie siedzieli ciasno w przedziałach. W pewnym momencie rozległ się straszny huk, a pociągiem wstrząsnęło tak, że ludzie pospadali z ławek. Po chwili całkowitej dezorientacji i strachu, ludzie wybiegli z pociągu zobaczyć, co się stało. Widok był okropny. Dwa pierwsze wagony leżały na nasypie kolejowym, następny był wypiętrzony w górę. Z wagonu słychać było krzyki i płacz dzieci. Dowiedziałam się od mamy, że wjechał w nas inny pociąg wykołajając pierwsze wagony naszego składu. Po chwili jadący z nami żołnierze zajęli się rannymi dziećmi. Martwe układano wzdłuż wagonu i przykrywano kocami. Moim rodzicom i mnie nic się nie stało. To, co najlepiej zapamiętałam, to straszny widok żołnierza, który zaklinował się między dwoma wagonami. Bardzo cierpiał, krzyczał i prosił ludzi, aby go zabili. Nikt jednak nie był w stanie mu pomóc.

Smutno też wyglądała Hanka Ordonówna, pamiętam, że była bardzo blada i zrozpaczona. Nie umiem już dziś przypomnieć sobie, jak długo trwało przeniesienie nas do innego pociągu i dalsza podróż. Pamiętam jedynie szok i koszmary, które śniły mi się przez kilka następnych nocy.

Dojechaliśmy do portu. W odległości 5 kilometrów od portu wyrzucono nas z pociągu i kazano iść pieszo. Teren był piaszczysty, wokół pustynia, bez zabudowań. Ludzie szli resztkami sił. Widziałam przewracających się, którym nikt nie był w stanie pomóc, bo każdy myślał tylko o tym, aby samemu dotrzeć do portu. Zaczął się załadunek na statek, w takich samych grupach w jakich jechaliśmy w wagonach. Okręt nie był pasażerski, nie posiadał kajut. Wszyscy mieliśmy siedzieć na pokładzie. Każdy dostał kapok i to służyło za siedzisko. Jako prowiant rozdawano pół bochenka chleba, konserwę mięsną, (ale nie codziennie) i baniak ciepłej wody na osobę. Toalety były pod pokładem. Pamiętam wielką radość ludzi i ich śpiew, gdy statek zaczął płynąć. Żegnaliśmy Związek Radziecki.



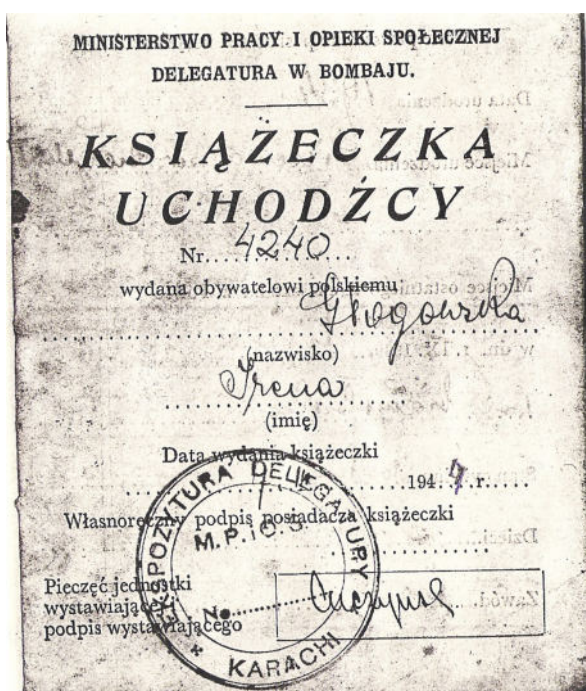
Boże Narodzenie – Karaczi 1943 r.

Następnego dnia zdarzyło się coś dziwnego. Spod pokładu wyszło kilku marynarzy, którzy nieśli na desce ludzkie ciało, nie wiem, czy mężczyzny czy kobiety. Do nóg przywiązano mu metalowe ciężarki, a całość owinięto materiałem i okręcono sznurkami. Obok deski siedł oficer w mundurze. Doszli do burty, na której oparli deskę. Oficer zaszutował i ciało wpadło do wody. Nikt nie żegnał umarłego, wszyscy milczeliśmy. Dziś myślę, że był to najsmutniejszy pogrzeb, jaki w życiu widziałam.

Po dopłynięciu do portu w Pahlewi w Persji (obecnie Iran) czekały już na nas wojskowe samochody ciężarowe. Zawieziono nas na plażę nad samym

morzem, gdzie ustawione były namioty z łózkami. Obok namiotów była kuchnia wojskowa i sanitariaty. Zaczęło się nasze życie obozowe. Karmiono nas bardzo dobrze i obficie, co niestety stało się przyczyną kilku tragedii. Wygłodzeni ludzie rzucali się na tłuste jedzenie, zaczęły się biegunki, brakło latryn, obóz wokół był zanieczyszczony. Wynikiem tego były choroby i zgony. Mój tata nie pozwolił mnie i mamie jeść mięsa i konserw, jadłyśmy tylko chleb i kaszę, dzięki czemu nie zachorowałyśmy.

Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że do naszego obozu przyjedzie generał Władysław Sikorski. Ale była radość! Wszyscy ustawiliśmy się w szeregu, aby go zobaczyć i powitać! Pamiętam, jak zapewniał ludzi, że „dopóki żyje przywiezie nas do wolnej Polski”. Dlatego później, po jego śmierci, ludzie płakali, bo stracili wiarę na powrót, bo nikt nie zapewniał więcej, że to nastąpi...



Książeczka uchodźcy Ireny Świdlik (Głogowskiej).

Przed likwidacją obozu czekał nas jeszcze jeden „czyściec”. Kolejno grupami byliśmy kierowani do żołnierskiej łaźni. Najpierw był przymusowy fryzjer (golenie głowy na łyso), następnie oddanie całego ubrania do spalania. Na umytych czekały nowe ubrania, mówiono, że od „ciotki Unry”. Były to bardzo kolorowe i różnych rozmiarów ubrania. O dopasowaniu czegoś nie można było marzyć. Najgorzej było z nami, dziećmi, a szczególnie z butami dla nas. Nie można było ich zmniejszyć, więc biegaliśmy boso. Wyglądaliśmy bardzo śmiesznie i jedni z drugich się śmiali. Ale okazało się, że Polacy na wszystko potrafią znaleźć sposób – zaczął się handel z Persami i kłopoty z ubraniami znikły.

Pewnego ranka, po śniadaniu, podjechały samochody wojskowe i zaczęły się załadunek ludzi. Jechaliśmy górzystą i skalistą okolicą. Nie było żadnej roślinności, tylko skała i piasek. Drogi w górzystym terenie były wąskie i wy-

boiste. Z prawej strony skała, z lewej ogromna przepaść. Ludzie płakali ze strachu i modlili się. Kierowcy prowadzący samochody byli bardzo sprawni i bravurowo jechali. Zdarzył się jednak przykry wypadek. Młody, kilkunastoletni chłopak wychylił się z ciężarówki i uderzył się mocno w łokieć. Uderzenie miało tragiczny finał, bo mimo leczenia chłopak stracił połowę ręki. Był to znany później, nieżyjący już dziś pisarz Jerzy Krzysztoń. Po powrocie do Polski napisał książki o Indiach i tułaczce sybiraków.

Przyjechaliśmy do Teheranu. Na przedmieściu były zorganizowane trzy obozy dla sybiraków. Jeden wojskowy, duży, z pełnym wyposażeniem i dwa dla cywilów. Nigdy nie widziałam piękniejszego obozu jak nasz! Był w pięknym sadzie owocowym, drzewa – jabłonie i granaty – właśnie kwitły. Między drzewami rozmieszczono namioty, była kuchnia żołnierska, punkty lekarskie, kaplica i nareszcie szkoła. Szkoła to był barak ze stołami i taboretami. Nie było klas, tylko jedna duża grupa dzieci, podzielona na tych, co umieją czytać i pisać oraz starszych, którzy uczyli się wiadomości o Polsce i świecie. Umiałam czytać, mama mnie nauczyła, ale pisać nie umiałam. Każdy dostał jeden zeszyt i ołówek. Zeszyt służył z jednej strony do lekcji języka polskiego, a z drugiej do rachunków.

Tam, w Teheranie, spotkało nas nieszczęście. Moja mama zachorowała. Została ambulansem wojskowym zawieziona do miejskiego, wojskowego szpitala, gdzie była operowana. Tata wystarał się o przepustkę i wybraliśmy się do miasta w odwiedzinach do mamy. Szpital bardzo mi się podobał, był czysty i cały w jasnych kolorach. Niestety z mamą nie było kontaktu, bo była w śpiączce po operacji. Tata zabrał mnie więc na wycieczkę po mieście. Teheran jest ogromnym miastem! Na ulicach było dużo ludzi i wojska. Pierwszy raz zobaczyłam prawdziwe sklepy. Chodząc tak zawędrowaliśmy do dzielnicy, gdzie były piękne pałace otoczone wokół kolorowymi kwiatami. Staliśmy podziwiając. Z jednego z domów wyszedł Pers pytając nas, kim jesteśmy i co tu robimy. Tata mu wytłumaczył. Pers zainteresował się mną, pytał ile mam lat i czy mam wszystkie zęby. Następnie spytał tatę, ile chce pieniędzy ze mnie, bo on może mnie kupić. Tata bardzo się oburzył, powiedział, że nie jestem na sprzedaż i zaczęliśmy uciekać w kierunku miasta. Pers szedł za nami i wykrzykiwał jakieś liczby. Uciekaliśmy ile sił w nogach. Na zakręcie jednej z ulic jechał samochód wojskowy, zaczęliśmy machać i prosić o pomoc. Żołnierze zatrzymali się i zawieźli nas do obozu. Komendant obozu, gdy się dowiedział, co się zdarzyło, zakazał przepustek do miasta. Tak zakończyło się zwiedzanie Teheranu.

Ludzie bardzo chorowali. Byliśmy ciągle poddawani szczepieniom na choroby egzotyczne, bo czekała nas dalsze droga w głąb Azji.

Na lekcji religii ksiądz ogłosił, że będzie pierwsza komunika dla dzieci. W obozie zawrzało. Szczególnie było to kłopotliwe dla naszych matek, bo skąd wziąć białe sukienki dla dziewczynek? „Ciocia Unra” postarała się bardzo i zdobyła dużo kreacji karnawałowych, całych w cekinach i falbanach. Matki przerabiały, co tylko mogły. Jak zjawiłyśmy się takie kolorowe przy kaplicy to nie wyglądałyśmy jak dzieci do komunii, ale jak barwne motyle! Wszystko nas wtedy cieszyło, dostaliśmy każdy po srebrnym łańcuszku i czekoladzie. Najlepsze było jednak dalsze świętowanie. Do obozu przyjechał duży ciężarowy samochód i załadował wszystkie dzieci wraz z nauczycielkami i księdzem na

proszone śniadanie do pałacu maharadży. Pałac to był cud z bajki. Piękne pokoje ze wspinałymi meblami, zasłonami i lampami. Na środku pokoju stał duży stół zastawiony wszystkimi słodyczami świata i barwnymi napojami. Gdzieś w oddali grała muzyka. Po śniadaniu zwiedzaliśmy ogrody wokół pałacu. Nie wiem, gdzie było piękniej – w pałacu czy na zewnątrz? Dookoła mnóstwo kwitnących kwiatów oraz drzew, a na gałęziach wisały klatki z egzotycznymi ptakami. Po trawnikach chodziły kolorowe pawie, nawet w bajkach nie wyobrażaliśmy sobie takiego raju. Na pożegnanie dostaliśmy paczki słodyczy. Ach, będę zawsze pamiętać tę komunię!



Autorka z żołnierzem
armii Stanów Zjednoczonych.
Boże Narodzenie, 1943 r., (Karaczi).

Czekał nas dalszy ciąg tułaczki. Dojechaliśmy do małej miejscowości w rejonie Ahwazu, ale tam byliśmy tylko dwa miesiące, ponieważ warunki obozowe były nie najlepsze. Jechaliśmy samochodami wojskowymi, a podróże były bardzo uciążliwe – wysoka temperatura, wiatr, piasek, brak regularnego odżywiania i toalet. Przyjechaliśmy do Karaczi, jednego z największych portów w Indiach (dzisiejszy Pakistan). Nasz obóz, usytuowany na pustyni, liczył kilka tysięcy ludzi. Był zbudowany poza miastem i ogrodzony, bo wokół była pustynia i zwierzęta pustynne, takie jak szakale i hieny. Obowiązywał zakaz wychodzenia z obozu. Mieliśmy stołówkę żołnierską, urządzenia sanitarne, z czasem zbudowano kaplicę, a nawet estradę, gdzie odbywały się przedstawienia. I znów ten okropny upał, piasek i dawkowanie wody. Wieczorem usypiało nas wycie hien. W czasie pobytu w obozie wypadły Święta Wielkanocy. Polacy zgodnie z tradycją urządzili dyngusa podkradając wodę z kuchni. Anglicy nie znali tego zwyczaju, nie mieli również poczucia humoru – cały obóz w tym dniu nie dostał śniadania.

Maskotką obozu była duża koza. Nikt nie wiedział skąd się wzięła, a ona chodziła wszędzie tam, gdzie ludzie: na stołówkę, do kaplicy i na estradę. Wojsko generała Władysława Andersa miało niedźwiedzia, a my kozę.

Ponieważ nasz obóz nas miał charakter przejściowy, wciąż organizowane były wyjazdy do innych krajów – Meksyku, Indii, Nowej Zelandii i do Afryki. Wojna cały czas trwała i ludzie powoli tracili nadzieję na powrót do Polski. Ojciec zapisał nas na wyjazd do Nowej Zelandii, bo mówiono, że tam klimat bardziej europejski. Niestety, choroba mamy uniemożliwiła wyjazd, mogliśmy pojechać jedynie do Indii.

I znów przyszedł ranek, i znów załadowano nas na ciężarówki, i znów jechaliśmy do portu. Najpierw z powrotem do Karaczi, skąd mieliśmy okrętem popłynąć w głąb Indii. Zbliżając się do portu zobaczyliśmy, że pośród statków stojących w porcie stoi nasz polski „Batory” z flagą polską. Jaki szła radości ogarnął ludzi, to nie do opisanania!

Było dużo płaczu i dużo śmiechu podczas witania się z załogą. „Batory” był pierwszym okrętem, gdzie częścią załogi byli lwowiacy, pełni humoru i radości. Cieszyli się ze spotkania z nami. Z powodu zagrożenia płynęliśmy po Oceanie Indyjskim w eskorcie innych statków. Uczono nas jak zachować się w wypadku storpedowania lub nalotu samolotów. Codziennie po kolacji i nabożeństwie wieczornym wraz z załogą uczyliśmy się śpiewać polskie piosenki. Dużo z nich pamiętam, a jedna, humorystyczna, była taka:

Cztery mile od Krakowa – oj
 Stoi kościół Częstochowa – oj
 Jakie cuda tam się działy – oj
 Drzwi się same otwierały – oj
 Gdy się baby bardzo pchały – oj, oj joj
 Same dzwony tam dzwoniły – oj
 Gdy dziad ciągnął z całej siły – oj
 Stał się cud pewnego razu – oj
 Dziad przemówił do obrazu –oj
 A ten obraz ani słowa – oj
 Taka była ich rozmowa – oj oj joj

Płynęliśmy dwa tygodnie. Powiedziano nam, że w następnym dniu wpływamy do portu. Byliśmy pełni oczekiwania, co nam dalej los przyniesie. Wpłynięcie „Batorego” do portu odbyło się w pełnej gali. Bombaj jest dużym portem. Dużo różnych okrętów stało na redzie, ale żaden nie był tak piękny jak nasz. W porcie grała orkiestra i witali nas przedstawiciele Polonii i administracji angielskiej. Były okrzyki „Dzień dobry Polaki!” i było bardzo wzruszająco. Tak rozpoczęło się nasze czteroletnie życie w Indiach do 1947 roku, czyli do powrotu do kraju, do Kalisza¹.

*

Lucyna Wojno – *Tułaczka przez śniegi Syberii*

Urodziłam się 23 kwietnia 1931 r. w Łomży. Moja mama Wiktoria Śliwowska z Łuniewskich h. Ślepowron, była chora i dla podtrzymania ciąży leżała w szpitalu w Łomży. Zachorowała na gripę. Leczenie w tamtych czasach było niestety słabe. Wystąpiły powikłania, najbardziej ucierpiało serce. W Łomży

¹ Wraz z rodzicami Anną i Andrzejem Głogowskim wyruszyłam na zesłańczy szlak 10 lutego 1940 roku.

przysłałam na świat. Mama nie odzyskała zdrowia i zmarła, kiedy miałam dwa lata i cztery miesiące. Moim wychowywaniem zajęła się młodsza siostra mamy – Kazimiera, która potem została żoną mojego taty Juliana, a dla mnie drugą matką. Z tamtych dni wczesnego dzieciństwa pamiętam tylko scenę, kiedy obok trumny z ciałem matki klęczał na jednym kolanie mój ojciec Julian, a na drugim kolanie siedziałam ja i wycierałam chusteczką łzy płynące mu po policzku.

Mieszkaliśmy we wsi Buczyno Mikosy pow. wysokomazowiecki na Podlasiu. Ojciec Julian Śliwowski h. Jasieńczyk był podoficerem Wojska Polskiego i w 1939 r. walczył z sowietami w okolicach Lwowa. Tam nie dostał się w sowieckie ręce, bo zdołał uciec. Tereny powiatu wysokomazowieckiego po 17 września 1939 r. znalazły się pod okupacją sowiecką. Wszelkie urzędy zostały obsadzone przez NKWD – bardzo często przez miejscowych polskich Żydów komunistów, którzy otrzymali w ten sposób dostęp do wszelkich informacji o miejscowej ludności.

Powiat wysokomazowiecki był w tym czasie zamieszkiwany w 70% przez drobną szlachtę. Już w styczniu 1941 r. zjawiono się w naszym domu NKWD z poleceniem aresztowania ojca. Nie zastali go jednak, bo akurat pojechał z końmi na jarmark do Sokół. Sowietci postanowili jednak czekać na niego. Za namową macochy powiedziałam sowieckiemu żołdakowi, że muszę udać się do wygódki obok stodoły. Poszedł za mną. Za stodołą był las. Uchyliłam ruchome deski i czmychnęłam do lasu, a potem do sąsiadów, aby powiadomili ojca, że czekają na niego „ruscy”, niech nie wraca do domu. Sąsiad wsiadł na konia i zdążył odnaleźć ojca i uprzedzić go. Kiedy wróciłam do domu dostałam srogie lanie od żołdatów. Sowietci od początku 1941 r. szukali ojca i często niespodziewanie zaglądali do naszego gospodarstwa. Ojciec ukrywał się do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej tj. do dnia 22 czerwca 1941 r. Dorośli domownicy przezywali, że może dojść do aresztowania naszej rodziny.

Dnia 20 czerwca 1941 r. o godzinie 4 rano obudziło nas łomotanie do drzwi. Do domu wtargnęli żołdacy NKWD, kazali zabrać ze sobą trochę rzeczy osobistych, ciepłe ubrania i jedzenia oraz powiedzieli, że nas aresztują i zabierają ze sobą. Przeprowadził ich polski Żyd, znajomy rodziny o nazwisku Gołąbek, (prawdopodobnie urzędnik *sielsovieta* w Kalinowie Solkach). Był w mundurze NKWD, ale nie wszedł na podwórko tylko obserwował wszystko z drogi przed bramą. Zabrano nas pięć osób: mnie 10 lat, macochę Kazimierę Śliwowską 25 lat, siostrę Wiktorię 5 lat, drugą siostrę Reginę 3 lata i najmłodszego brata Andrzeja mającego zaledwie 5 miesięcy. Matka cały czas płakała, a nasze rzeczy pakowała babcia. I tym sposobem mieliśmy niewielkie zapasy na czas podróży. Zostaliśmy aresztowani za to, że byliśmy szlachcicami, a mój ojciec brał udział w kampanii wrześniowej w stopniu podoficerskim, za to że był sympatykiem przedwojennej endecji, za to że umiał posługiwać się bronią i za to, że był dobrym gospodarzem zwanym przez ruskich „kułakiem”. Innym transportem wywieziono na Sybir także dwóch braci mojego ojca z rodzinami i dziadka Aleksandra z Osip Wydziory.

Zawieźli nas na stację kolejową Czerwony Bór i załadowali do bydłych wagonów. W wagonach umieszczano od 8 do 10 rodzin (40-50) osób. My znaleźliśmy się w wagonie nr 17. Wagonów było 19. Na zesłanie wieźli nas około czterech tygodni. Na stacjach nie wolno było komunikować się z nikim. W wagonie na środku był wycięty otwór, przez który można było załatwiać się.

W takich przypadkach rodzina osłaniała każdego kocem albo prześcieradłem zabranym z domu. Podróż była długa i wyczerpująca. Jechaliśmy latem więc w wagonach było duszno, gorąco i cuchnąco. Baliśmy się o najmłodszego kilkumiesięcznego Andrzejka. Nie mieliśmy żadnych pieluch tylko jakieś kawałki prześcieradeł czy innych szmat, nie wspominając o możliwości jakiejś kąpieli czy mycia. Często siadałam przy wrotach wagonu, sadzałam Andrzejka na kolanach, a wiatr wpadający przez szpary osuszał rany i krosty na jego ciele. Bywało, że dzieci i starsze osoby umierały z głodu oraz wycieńczenia. Nikt ich nie grzebał. Wyrzucano ciała z wagonów, najczęściej wtedy, kiedy pociąg zatrzymywał się na moście nad jakąś rzeką. Zdarzało się nieraz, że matka ukryła ciało zmarłego dziecka, bo chciała je pochować po chrześcijańsku. Jednak konwojenci sprawdzali dokładnie wagony, wtedy zabierali ciała dzieci a matka dostawała w najlepszym przypadku kilka kopniaków i cierpiała podwójnie z żalu i bólu.

Odgłosy wojny dotarły do naszego transportu na terenie dzisiejszej Białorusi w miejscowości Zelwa nad rzeką Zelwianka. Pociąg zatrzymał się na moście, a obsługa uciekła, bo nadleciały niemieckie samoloty zrzucając bomby. Mężczyźni zdołali wyrąbać parę desek i zaczęli wymachiwać białymi szmatami, wówczas niemieckie samoloty zniżyły lot i przelatując nad pociągiem odleciały. Byliśmy przekonani, że zginiemy na tym moście. Już po wojnie dowiedziałam się od znajomej, która również jechała tym transportem, że o bombardowaniu naszego pociągu dowiedziały się rodziny pozostałe w kraju. Wtedy kilkunastu mężczyzn z naszych rodzin pojechało na miejsce tego wydarzenia do Zelwy. Niestety pociągu już dawno nie było, bo odjechał gdy samoloty odleciały. Rozmawiali o tym z miejscowymi ludźmi. Świadkowie z płaczem opowiadali, że w czasie bombardowania nagle nad pociągiem pojawiła się Matka Boska okrywająca go swoim niebieskim płaszczem i razem z polskimi ofiarami popłynęła na Sybir. Świadkowie twierdzą, że był to cud.

Docelowym przystankiem tego transportu Tomsk w głębi Syberii, jednak po krótkim pobycie transport cofnięto do Omska. Wyładowano nas pod namiot areny cyrkowej. Tam spędziliśmy kilka dni. Potem zawieziono nas do miejscowości Kolosovka. Czekaliśmy na następny transport. Miejscowi przyglądali się nam bacznie. Z niedowierzaniem patrzyli na nas i dyskutowali między sobą, że niby więźniowie a mają tyle bogatych rzeczy ze sobą, bo wielu z nas zdołało zabrać ze sobą żywność, pościel, kożuchy i inne ubrania. Niektórzy mieli nawet całe bele płótna, które później wymieniali na żywność. My, jak wspominałam wcześniej mieliśmy niewiele. Pamiętam jak jedna z polskich kobiet wyłożyła na kamieniu kawałek chleba, który wiozła jeszcze z Polski. Chleb był już lekko spleśniały, więc rozsypał się na drobne kawałki – sądziła, że wydziobią go ptaki. Widział to mały rosyjski chłopiec. Podbiegł i zawołał „Babuszka nie brasaj chleba, ja jego skuszaju”. Chwycił łąpczywie resztki chleba i zjadł. Wtedy zrozumieliśmy, że tutaj na Syberii jest wielka bieda i czekają nas ciężkie czasy.

Następnie załadowano nas na statki mieszając ludzi w ten sposób, że brano ludzi z jednego wagonu z przodu pociągu i inne rodziny z tyłu pociągu. Tak płynęliśmy w dół rzeki Irtysz trzy dni i dotarliśmy do portu Tara. W Tarze załadowano nas na barki do przewozu węgla. Podróż trwała znowu cały dzień. Baliśmy się wszyscy strasznie, myśleliśmy, że się potopimy. Barka bujała się na wszystkie strony, a my wybrudziliśmy się pyłem węglowym jak górnicy. Mo-

dliliśmy się całą drogę, najbardziej trzymała nas na duchu modlitwa „Pod Twoją obronę”. Wyładowali nas na brzeg i stamtąd ciężarówkami rozwieziono po kilka rodzin do okolicznych kołchozów. Tak dotarliśmy do kołchozu Noskowa. Rozmieszczono nas w zimnych obskurnych, zawszonych i zapluskwionych barakach. Do końca życia nie zapomnę ukąszeń pluskiew. Tak nas rozdzielili i pomieszali, że wśród Rosjan było nas tylko kilka rodzin polskich. Byliśmy tam dziewięć miesięcy, tj. do kwietnia 1942 r.

Rosjanie, których spotkaliśmy w kołchozie podczas tej zesłańczej wędrówki byli biedni, jednak wyjątkowo życzliwi. Dzielili się z nami wszystkim, co mieli. Tym zwykłym biednym ludziom zawdzięczamy nasze życie. Mieszkaliśmy w drewnianym zimnym dziurawym baraku. Nie dość, że zimno, to jeszcze gryzły nas wszy i pluskwy. Strasznie piekło ich ukąszenie i na ciele długo utrzymywały się czerwone duże plamy. Tak mieli wszyscy i my zesłańcy i Rosjanie. Dostawaliśmy jakieś skromne racje żywnościowe, ale wszystkiego było mało. Zapamiętałam, że najlepsze były zmarznięte ziemniaki, które udało się nam zebrać na polu. Wtedy najadaliśmy się do syta. Jak mama dostawała pracę w oborze to po kryjomu udało jej się ukraść trochę mleka – to był rarytas ale najczęściej mleko trafiało do mojego małego braciszka Andrzeja. Mama karmiła go piersią przez cztery lata i dzięki temu zdołał przetrzymać to piekło i przeżył.

Kiedy został podpisany układ Sikorski-Majski dostaliśmy „bumagę”, że jesteśmy wolni. Matka postanowiła, że nie zostaniemy tam dłużej, że jak tylko puszczą śniegi to ruszamy na zachód w stronę Polski. Tak też uczyniła. Wiosną 1942 r. w kwietniu w pięć polskich rodzin ruszyliśmy pieszo na zachód. Niby wiosna w kalendarzu ale była to w dalszym ciągu tęga zima. Była to karkołomna wyprawa. Jeden ze znajomych Polaków zrobił dla mojego młodszego rodzeństwa drewniane sanki – matka wymościła je jakąś pierzyną i kozuchem i powędrowaliśmy w nieznaną. Ci, co zostali przestrzegali matkę żeby nie wyruszała, bo nie da rady i wszyscy zginiemy w nieznaną ziemię z zimna i głodu, albo zagryzą nas wilki. My jednak wyruszyliśmy w kierunku Polski.

Wędrowaliśmy od kołchozu do sowchozu. Prosiłiśmy o pożywienie i nocleg i zawsze go dostaliśmy w jakiejś szopie. Każdy dzień w innej wsi w innym kołchozie lub sowchozie, każda noc pod jakimś cudzym nieznanym dachem najczęściej w szopie czy stodole, rzadko w domu. Zawsze rano biegałam z siostrą po prośbie-żebrałiśmy, aby dostać coś do jedzenia. W jednej z wsi na noclegu spotkaliśmy sowieckiego żołnierza, który z przepustki wracał na front. Kiedy dowiedział się, że jesteśmy polskimi dziećmi, zesłańcami, wzruszony oddał nam swoją walizkę pełną sucharów. To dzięki takim ludziom przeżyliśmy.

Mieliśmy tylko jeden dłuższy postój w Pietropawłowsku w Kazachstanie, ponieważ były roztopy i niewyobrażalne błoto, które nie pozwalało nam na dalszą wędrówkę. W dalszą drogę ruszyliśmy dopiero po dwóch, może trzech tygodniach, kiedy ziemia i drogi trochę obeschły. Czasami udało się nam wyżebrać „łapcie” – buty z plecionego łyka i dzięki nim nie wędrowaliśmy boso. Sanki matka zamieniła na jakiś wózek coś w rodzaju drewnianej taczki i w niej wieźliśmy brata Andrzeja. Wędrówkę zakończyliśmy 2 października 1942 r. kiedy dotarliśmy na Ural. Robiło się już mroźno i dalej nie dało się wędrować. Zatrzymaliśmy się w sowchozie o nazwie „Podsiobnoje Hoziajstwo Gorbálnica”, rajon Złotoust, obłast Czelabińsk. Miejscowi Rosja-

nie nie dowierzali, że pieszo przewędrowaliśmy taki kawał Syberii – mówili, że było to około 1.500 km a może 2 tys. kilometrów. Mama poszła do „siel-sovieta” zarejestrować siebie i dzieci na pobyt. Otrzymała wtedy dary z amerykańskiej UNRY, były to ciepłe ubrania i trochę konserw. Cieszyliśmy się bardzo. Lecz radość nie trwała długo. Kiedy matka wyszła rano do pracy do sowchozu, my dzieci jeszcze spaliśmy.

Po przebudzeniu od razu zauważyłam, że nie mamy darów z UNRY. Znikła też polska rodzina, która razem z nami dotarła z dalekiej Syberii na Ural. Zrozumieliśmy, że zostaliśmy przez znajomych Polaków ograbieni. Mało tego później, już po powrocie do Polski, dowiedzieliśmy się, że rodzina ta wcześniej wróciła i zgłosiła się do mojego ojca z wiadomością, że żyjemy i na pewno zdrowi wrócimy. W podziękę za opiekę i dobre wieści ojciec zabił świniaka i obdarował nim „naszych opiekunów”. Kiedy ojciec poznał prawdę więcej już tą rodziną nie spotykał się. Na Uralu mama pracowała w sowchozie, a ja opiekowałam się przez pewien czas dzieckiem Rosjanki, ojciec dziecka był Polakiem – zesłańcem, zaciągnął się do polskiego wojska i wyjechał na front. Pracowałam za jedzenie, ale byłam rozłączona od matki i rodzeństwa, bo znajdowałam się 5 km od nich. Ta rozłąka była dla mnie nie do zniesienia. Do końca życia nie zapomnę tych uczuć.

Pamiętam pod koniec naszego pobytu na Uralu bardzo smutną historię. Pewnego dnia matka została przydzielona do pracy w chlewni przy świniach. Brygadzystką była Rosjanka. Też była biedna, miała małe dziecko, męża na wojnie, a pod opieką starą matkę. Jej dziecko też było głodne. Dostać do jedzenia zdrowe ziemniaki graniczyło z cudem, więc obie wymyśliły, że ukradną wiadro zboża i w innym sowchozie wymienią na ziemniaki. Mama jeździła wozem – „tieleżką” i wozila z innego sowchozu trociny na ściółkę dla świń. Ukryła, więc zboże i pojechała po trociny. Tam jednak trafiła na brygadzystkę Żydówkę, która sprawdziła wóz i znalazła zboże. Matkę natychmiast postawiono przed sądem i niechybnie skazanoby na więzienie, ale do sądu przyszła brygadzystka Rosjanka i całą winę wzięła na siebie. Nie musiała tego robić, ale dzięki temu matka została uwolniona i dalej opiekowała się nami. Rosjankę skazano na 9 miesięcy więzienia. Kiedy zabierano ją do więzienia, powiedziała do mojej matki „Ty Wiera (bo tak wołano na moją matkę) masz czworo dzieci one umarłyby bez Ciebie, a ja mam jedno dziecko i babcię kto się nim zajmie”? Już nie spotkaliśmy jej nigdy więcej.

Aby zarobić parę kopiejek zakradaliśmy się grupką dzieci rosyjskich i polskich na miejscową stację kolejową i kradliśmy z beczek żywicę, z której robiliśmy gumę do żucia tzw. „żwaczki”. Gotowaliśmy żywicę, a kiedy była miękka i ciągnąca wałkowaliśmy ją i ucinaliśmy coś w rodzaju kopytek (kluszek). Taką „żwaczkę” sprzedawaliśmy za parę kopiejek na dworcu żołnierzom jadącym na front. Moje młodsze rodzeństwo bawiło się z Rosjanami i między sobą rozmawiało już tylko po rosyjsku. Uczęszczały do niby przedszkola działającego przy sowchozie. Kiedy matka wracała po pracy zaczynała z nimi rozmawiać po polsku, aby nie zapomniały ojczystego języka. Przez cały czas matka uczyła nas pacierza i innych modlitw. Modlitwy dodawały nam siły i wiary, że powrócimy kiedyś do domu. Do dzisiaj mam różaniec, który mi towarzyszył przez cały ten czas na Sybirze. Dostałam go od mojej babci tuż przed zsyłką.

Jest dla mnie relikwią. Najmłodszy brat Andrzej rozmawiał długo tylko po rosyjsku. Kiedy po powrocie do Polski zobaczył ojca na podwórku, pytał matkę: „Chto że etot muzyk z usami”?

Na Uralu wegetowaliśmy do 21 kwietnia 1946 r. Miałam wówczas 15 lat, kiedy przypadkiem, pracując u Rosjanki i bawiąc jej dziecko dowiedziałam się, że na stacji kolejowej będzie podstawiony pociąg do Polski. Pobiegłam szybko do sowchozu do matki przekazać tę dobrą wiadomość. Biegłam pięć kilometrów wieczorem przez las, w którym były wilki, ale wtedy już ich się nie bałam. Chciałam jak najprędzej dotrzeć do matki i rodzeństwa. Kiedy dotarłam i przekazałam tę radosną nowinę, rozplakaliśmy się wszyscy i w biegu zabieraliśmy resztkę naszych rzeczy spiesząc się żeby zdążyć na pociąg. Udało się. Okazało się, że w pociągu byli prawie sami Żydzi i wagon z „ochronką” – dziećmi polskimi, syberyjskimi sierotami. Byliśmy jedyną polską rodziną w całym transporcie.

Kiedy pociąg zbliżał się do obecnych granic Polski, zauważyliśmy, że Żydzi wysiadali w popłochu na stacjach i uciekali. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, przecież przez całą dotychczasową podróż byli zadowoleni, głośno rozmawiali, śpiewali i cieszyli się, że jadą do Polski. Matka postanowiła porozmawiać z jednym starym Żydem i dowiedziała się wtedy, że w Polsce hitlerowcy wymordowali Żydów. W Rosji nikt o tym nic nie słyszał. Większość Żydów ze strachu wysiadła z pociągu i nie pojechała dalej.

Pociągiem dowieziono nas do Opoła. Z Opoła dostaliśmy bilety do naszej najbliższej stacji Szepietowo na Podlasiu. Był maj. Jak wysiedliśmy na stacji brudni, śmierdzący i obdarci ludzie pokazywali nas palcami mówiąc: „Sybiryacy?” Wyglądaliśmy jak nędzarze. W Polsce była już w pełni wiosna, a my po ubierani w grube, brudne i połatane ciuchy. Matka miała na sobie spódnicę, którą zabrała jeszcze z Polski. Spódnica cała w łatach, łata na łacie, tylko po opaśnicy można było rozpoznać materiał, z jakiego była uszyta. Pieszko dotarliśmy do pobliskiej wsi Średnica gdzie mieszkali nasi krewni. Nikt nas nie poznał. Ile było radości i płaczu, gdy wyjawiliśmy, kim jesteśmy. Pamiętam pierwszy gorący posiłek w Polsce – ciotka ugotowała prędko zacierkę na mleku. Nie mogłam się nadziwić, że jedzenie może być takie dobre. Tego uczucia nie zapomnę do końca życia.

Do domu (odległego o 10 km) do Buczyna Mikosy zawiózł nas furmanką krewny ze Średnicy. Radości było, co nie miara, gdy przywitał nas ojciec. Ale jeszcze dzisiaj mam koszmary senne!²

*

Kazimierz B. Grenzak – *Fatalny traf na Nowy Rok*

Piąta zima na zesłaniu w Semipałatyńsku była zwyczajna – mróz, zaspasy i ponure niebo. Wojna szła ku końcowi, front był już gdzieś za Lwowem, nieśmiało rodziła się nadzieja, że uda się przeżyć dramat Sybiru. Ale tej zimy, tu w głębi ZSRR, nastał najgorszy czas powszechnego głodu, bo – „Wsio dla Fronta! Wsio dla Pobjedy!” Głodowali miejscowi, ale najbardziej zesłańcy, pozbawieni wszystkiego.

² Opowiadała: Lucyna Wojno z d. Śliwowska; zanotował: Zdzisław Wojno, syn Lucyny. Brzoski Gromki – lipiec 2010 r.

Nastał dzień 1 stycznia 1945 roku. Siedziałem z Mamą, opatulony, w zimnej izbie chaty, gdzie był nasz kąt z litości. Gospodyni poszła gdzieś do swoich, by się pożywić, bo w domu nic nie miała. Wczoraj zjedliśmy ostatni burak cukrowy, którego wywarem ratowaliśmy się w ostatnich dniach. Teraz już nie było nic do zjedzenia. Nic! A głód skręcał kiszki.

Szło już pod wieczór, gdy mama się ożywiła:

– Nie możemy tu tak zczekać! Musimy szukać ratunku!

– Czy mamy pójść na żebry? – zapytałem ze strachem.

– Może nie będzie to konieczne. Tu blisko mieszka szofer, ma na imię Jegor, znam go z widzenia, pracuje tam gdzie ja. Szoferzy mają lepiej, bo z tego co wożą mogą coś czasem chapnąć. Pójdziemy złożyć mu życzenia na wielkie święto – Nowy Rok.

Furtka przy domu Jegora była otwarta. Po zastukaniu w okiennice podeśliśmy do drzwi. Otworzyła dziewczyna w moim wieku. W izbie widać było stół, a przy nim kilka osób.

– A wy do kogo? – zapytała zdziwiona.

– A my do gospodina Jegora – zdecydowanie odpowiedziała Mama.

Od stołu zbliżył się rosły mężczyzna i z zainteresowaniem przypatrzył się opatulonej osobie, która nazwała go „gospodinem”.

Naraz się rozchmurzył:

– A eto wy, pani Antonia! Dobro pożałowat’, wojditie požajłusta!

– Da eto ja, Antonina – podkreśliła swoje imię Mama – s moim synom. My przisli k Wam, czto by pożełat’ Nowogo Goda i Nowogo Szcastia!

Dalej Mama wygłosiła tyradę, że my przepraszamy za najście, ale nie mamy bliskich, by im złożyć życzenia z okazji Nowego Roku, w czasie, gdy bohaterka Armia Czerwona już dobija faszystowską bestię.

Jegor uśmiechnięty zrobił gest zaproszenia:

– Prisiad’ tie k nam, my wot budiem užynat’. Nasza babuszka – tu wskazała starszą kobietę przy stole – izgotowiła nam pielmieni. Eto prazdnicnoje bludo, jego chwatit dla wsiech.

Gdy usłyszałem słowo „pielmieni” dosłownie mnie zatkało. Mięso! Mięso w pierożkowym cieście! Poznałem je na początku zesłania. To był szok smakowy! A potem w następnych latach zesłania? Pamiętam, że raz Mama gdzieś zdobyła dwie baranie głowy. Między skórą a kośćmi dłubaliśmy w nich ślady mięsa. A teraz nagle smakowa kwintesencja mięsa?

Przy stole szła towarzyska rozmowa o wojnie, o tym, że Polacy chyba wrócą do swojego kraju, o tym jak przeżywa wojnę Związek Radziecki. A ja w tym czasie miałem głodową wizję pielmieni parujących z miski.

I oto babuszka je podała i nałożyła każdemu na talerz. Mnie i Mamie też!

Całą siłą woli wstrzymywałem się, aby ich nie pożreć. Nie wypadało zdradzić się, że przyszlismy tu z głodu. Brałem kolejno, powoli każdy pierożek i w całości rozgryzałem w ustach, by nic nie utracić ze smaku soczystego farszu. Gdy na talerzu miałem ostatnie dwa zauważyłem, że gospodarze, którzy też już kończyli danie, wymieniają się jakimiś, niezrozumiałymi dla mnie, urywanymi frazami. Wyczuwało się w nich jakąś konsternację.

Wziąłem przedostatni pielmień i rozgryzłem. W zębach zazgrzytało jakbym ugryzł kłab żwiru! Ale nie! To nie żwir! Miałem w ustach bombę grubo-

ziarnistej soli! Przerażony, nie rozumiejąc co to znaczy, żułem tę sól i przełknąłem, bo nie mogłem się zdecydować, czy mogę przed gospodarzami ten fatalny traf ujawnić. Czułem się sparaliżowany strachem, a mój wygłodniały żołądek skrzył się bólem, uderzony tą solną bombą. Zagryzłem to szybko ostatnim pielmieniem, ale to niewiele pomogło.

Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie, więc by ukryć strach w moich oczach rozglądałem się po izbie. Na jednej ścianie był kilim, na drugiej, między oknami, portret Stalina, w narożu na półeczce pociemniała ikona.

Mama zauważyła, że wśród gospodarzy jest jakaś konsternacja. Zaniepokojona, czy to może z naszego powodu zapytała Jegora:

– Czto-to słucziłos’? W cziom dieło?

– Dieło w tom, czto gdzie-to potieriałsia siurpriz.

Dalej Jegor wyjaśnił Mamie, że u nich w rodzinie jest taki obyczaj, że jeden z pielmieni jest nadziewany niespodzianką. To taki siurpriz, na kogo trafi, ten ma coś zrobić – tym razem posprzątać i umyć naczynia. Na kogo trafi – ten się przyznaje, ale też trudno się nie przyznać, bo dzisiaj siurprizem była sól.

– A więc co się stało? – naiwnie powtórzyła pytanie Mama.

Po chwili milczenia sytuację rozładowała babuszka, inteligentnie zauważając niepewnym głosem, że może on się rozgotował.

Wracając do domu Mama wyraziła zdziwienie, że to faktycznie dziwne, co się stało. Ja nie miałem odwagi, by się przyznać do tego, co przeżyłem. Myślałem, że teraz gospodarze, po naszym wyjściu, chichoczą, że Polacziok z głodu pożarł solną bombę, nawet tego nie zauważając.

W mojej rodzinie do dziś zdarzają się pielmieniowe sesje według syberyjskiej receptury. Czasem, bo to bardzo pracochłonna robota, a i mięso baranie, które trzeba dodać do farszu, rzadko spotyka się w sprzedaży. Ale zawsze w takiej sesji, gdy mam na talerzu ostatnie dwa pielmienie, przeżywam echo szoku, jaki mi się trafił 1 stycznia 1945 roku, gdy miałem – nomen omen – 13 lat³.

³ Syntetyczna relacja z pobytu autora na zesłaniu w „Zesłańcu” nr 48: 2011, s. 78-88

KRONIKA

• WYJEŹDŻANO Z BAGAŻEM PEŁNYM PLANÓW I NADZIEI

Projekt badawczy „Syberia w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości 2009-2015” jest przedsięwzięciem programowym Wrocławskiej Fundacji Edukacji Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej Freya (www.freya.org.pl). Co roku współpracujący z nią wolontariusze wyruszają do Kraju Ałtajskiego w poszukiwaniu śladów Polaków zesłanych tam w okresie II wojny światowej. Poprzez działania te uczestnicy wypraw pragną również uczcić pamięć zmarłych na zesłaniu rodaków oraz dopełnić wiadomości o tułaczym losie deportowanych. Trud dokumentowania życia Polaków przebywających na zesłaniu w tej części byłego Związku Radzieckiego to niewątpliwie znaczące przedsięwzięcie wpisane w program Fundacji. Wyłania się z niego obraz otoczenia w jakim przyszło żyć deportowanym Polakom a wgląd do dokumentacji w Archiwum Miejskim w Barnaulu obrazuje różnorodne aspekty pobytu na zesłaniu. Pozwala to także na dopełnienie listy naszych rodaków, którzy w deportacyjnych eszelonach trafili w rejon Zachodniej Syberii.

Nie bez znaczenia dla tej dokumentacji jest również fakt wyjazdów do miejscowości, w których mieszkali zesłańcy, pozwalający nieraz na dopełnienie wiadomości o ich losach. Istniejąca już na ten temat faktografia nie budzi wprawdzie merytorycznych zastrzeżeń, jednak specyfika problemu wymaga dokładniejszego podejścia do prezentowanej tematyki z wykorzystaniem lokalnych zasobów źródłowych – dokumentów pisanych, materialnych śladów pobytu zesłańców, cmentarzy i tzw. historii mówionej, czyli relacji miejscowej ludności dotyczących przebywających w rejonie Kraju Ałtajskiego Polaków deportowanych w latach 1940-1941.

Od początku projektu „Syberia”, Fundacja czynnie współpracuje z księdzem Andrzejem Obuchowskim, proboszczem parafii katolickiej w Bijsku. To on pyta, szuka, odnajduje i gromadzi informacje. Na czas wyprawy wrocławskich wolontariuszy zapewnia im zakwaterowanie na plebani. Pomaga też w dotarciu do okolicznych miejscowości, w których przebywali „specposieleńcy”, gdzie oprócz pamięci o nich, która przetrwała nieraz wśród miejscowej ludności, pozostały także nieliczne groby na cmentarzach.

Uczestnicy wypraw odwzajemniają księdzu ten trud badawczy oraz serdeczną gościnność, podejmując na rzecz miejscowego kościoła, a także parafii, różne czynności gospodarcze i organizacyjne. Chociaż ks. Andrzej oddany jest bez reszty pracy duszpasterskiej, to w pełni dostrzega i uświadamia sobie potrzebę realizowania projektu Fundacji, którego celem jest zachowanie pamięci i edukacja historyczna, a także zbudowanie mostu przyjaźni pomiędzy Polską

a Syberią. W polskich zbiorach istnieje wprawdzie trochę archiwaliów oraz wspomnień dotyczących pobytu Polaków na zesłaniu w Kraju Ałtajskim, dodajmy jednak, że działania Fundacji przyczyniają się do pogłębienia wiedzy na ten temat. Nieraz bywa i tak, że dostarczają wręcz nowych materiałów eliminujących tzw. „białe plamy” z tego zakresu.

Ubiegłoroczna (sierpień-wrzesień 2012) wyprawa trwała dwa tygodnie. Wzięły w niej udział cztery osoby. Wśród nich dwoje studentów z Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej funkcjonującej w strukturach Filii Zamiejscowej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II w Tomaszowie Lubelskim, dla których było to pierwsze spotkanie z programem projektu, a także z Rosją i Syberią. Wyjeżdżano z bagażem pełnym planów i nadziei. W programie znalazły się wspomniane wcześniej wizyty w wioskach, na cmentarzach, praca w archiwum, pomoc księdzu w budowaniu kościoła, a także spotkania z mieszkającymi tam Polakami, w tym potomkami zesłańców z XIX wieku. Podczas wyprawy odwiedziono kilkanaście miejscowości: Barnauł, Bijsk, Ozero Pietrowskoje, Pietrowka, Żywieckoje, Sorokino, Kutasz, Turoczak, Aja, Katuń, Kosicha i inne. Barnauł był miejscem spotkania z mieszkającymi tu i w okolicach Polakami, w tym z młodzieżą, która wzięła udział w IV edycji Zlotu Młodzieży Polonijnej „Polonicus”, zorganizowanego przez Fundację Freya.

Wspomniani Polonusi to potomkowie dobrowolnych osadników, którzy przybyli na tereny Południowej Syberii pod koniec XIX i na początku XX wieku, czego przykładem są istniejące do dzisiaj „polskie wioski” Znamienka i Aleksandrówka. W Barnaulu działa stowarzyszenie „Centrum Polskiej Kultury”, powołane na początku XX wieku w celu zachowania polskiego języka i tradycji, kultywowania rodzimej kultury, podtrzymywania świadomości narodowej obywateli rosyjskich polskiego pochodzenia, a także umacniania kontaktów z Macierzą i innymi stowarzyszeniami polskimi działającymi w Federacji Rosyjskiej, zwłaszcza w jej syberyjskiej części, sfederalizowanymi w „Kongresie Polaków w Rosji” z siedzibą w Moskwie. Dodajmy zarazem, że powstające w Bijsku i Barnaulu struktury Kościoła katolickiego pozostają w stałych kontaktach z barnaulskim Centrum Polskiej Kultury.

Wpisane w program Fundacji badania związków polsko-syberyjskich na terenie Kraju Ałtajskiego wymagają kwerend archiwalnych dla wyłonienia różnych wątków związanych z tym zagadnieniem. Fundacja dokłada starań by wyjaśnić różne kwestie z tego zakresu o lokalnym zasięgu chronologicznym. W tym konkretnym przypadku wyłania się trudne zadanie dokumentacyjne, czyniące z uczestników kolejnych wypraw swoistego rodzaju „archiwalnych szperaczy”, co nie jest wprawdzie łatwe, ale z powodzeniem udaje się to realizować. Ważnym przedsięwzięciem wpisanym w program fundacyjnych przedsięwzięć były też wspomniane już wyjazdy w teren.

W miejscowościach, do których udało się dotrzeć, prowadzono wywiady na temat życia Polaków przebywających tam w okresie drugiej wojny światowej. Dowiedziano się np., że Ozero Pietrowskoje było miejscem pracy zesłanych tu Polaków, Litwinów i Niemców. Niestety, nikt z mieszkańców wioski nie był w stanie dokładnie określić, gdzie Polacy mieszkali, ilu ich było i co się z nimi stało po wojnie. W innych wioskach było podobnie, chociaż tu i ówdzie

pozyskano ciekawe informacje. Penetrowano też lokalne cmentarze licząc, że odkryje się na nich groby rodaków i tzw. polskie krzyże. W odnalezionych miejscach pochówków umieszczano pamiątkowe tabliczki z napisem:

**W tym miejscu spoczywają Polacy
zesłani do Kraju Ałtajskiego w latach 40-tych XX wieku.
Cześć ich pamięci!**

W posesji Katuń natrafiono na fundamenty baraków, w których mieszkali Polacy deportowani w latach 40. XX wieku. W miejscu tym oddano hołd zmarłym tam rodakom, umieszczając symboliczną tabliczkę z tekstem w języku polskim i rosyjskim.



Uczestnicy wyprawy w miejscowości Kutasz. Fot. A. Kaniewska.

Jednym z punktów wyprawy była wizyta w miejscowości Kosicha. W 1940 r. do miejscowości tej zesłany został Jerzy Hoffman (ur. 1932) z rodziną, reżyser filmów fabularnych, dokumentalnych i publicystycznych, m.in. „Ogniem i Mieczem”, będącym filmową adaptacją dzieła Henryka Sienkiewicza. Wśród mieszkańców tej wsi nie przetrwała jednak pamięć o polskich zesłańcach, w tym także o rodzinie J. Hoffmana. Śladów tych poszukiwano także w miejscowym muzeum, jednak i tam niewiele się dowiedziano na ten temat. Zainteresowani naszymi poszukiwaniami pracownicy muzealnej placówki postanowili pomóc w usystematyzowaniu polskich losów w tej wsi, wymieniono więc adresy e-mail i pozostało czekanie na wiadomości.

Podczas wyprawy odwiedziono także miejsca, gdzie w poprzednich latach prowadzono badania. Był to między innymi cmentarz w Bijsku, gdzie znajduje się symboliczna mogiła zmarłych na Ałtaju Polaków, ofiar represji stalinowskich, a także mogiła zmarłego na zesłaniu ojca Wojciecha Jaruzelskiego. Uczestnicy odwiedzili także miejscowość Kutasz, w której w otaczającym ją lesie znajdują

się polskie groby. Podczas poprzednich wypraw udało się je uporządkować, zaś w trakcie tegorocznej miejsce to zostało oznaczone pamiątkową tablicą.

Podobnie jak w latach poprzednich, uczestnicy wyprawy wnieśli swoją cegiełkę w dalszą budowę kościoła w Bijsku. Ich trud i wysiłek zapewne nie pójdzie na marne, ponieważ w Ałtajskim Kraju jest coraz więcej katolików, którzy dzięki świątyni będą mogli pełniej uczestniczyć w życiu religijnym. Warto zaznaczyć, że parafia działa bardzo prężnie i ciągle się rozwija, wspomagana duszpastersko przez siostry ze zgromadzenia zakonnego św. Pawła z Tarsu. To, co pamiętam, gdy wspominam rozmowy z siostrami to niezwykła ufność z jaką odnoszą się one do ludzi spotkanych na swej duszpasterskiej drodze. Fundacja Freya, chcąc dalej realizować swój projekt, podpisała porozumienie o współpracy z ks. Andrzejem Obuchowskim, który jak do tej pory wspomagał ją w realizacji programowych działań dotyczących dziejów Polaków na Ałtaju

Omawiana wyprawa przyniosła realizację części założeń projektu, uświadomiła także konieczność dalszych prac merytorycznych, z ogarnięciem szerszych perspektyw czasowych, tematycznych i terytorialnych, pozwalających odczytywać dzieje Polaków w Ałtajskim Kraju jako pewną całość w wymiarze materialnym, społecznym i duchowym. Te tak ważne wątki podjęte zostaną w toku kolejnych wypraw, a sponsorom tego badawczego wyjazdu tj. Fundacji Freya oraz Bankowi Zachodniemu WBK, pragnę serdecznie podziękować.

Edyta Justyna Kaczmarczyk

• DROGAMI PAMIĘCI SYBERYJSKIEGO ZESŁANIA RODZINY ŻUKOWSKICH (1940-1946)

Z początkiem lipca 2011 r. wyruszyliśmy w czterotygodniową podróż do Rosji by dotrzeć do miejsca zesłania jednego z nas. Było nas czworo. Najważniejszym jednak uczestnikiem wyprawy był mój Ojciec – Bogusław Żukowski, który w latach 1940-1946 wraz z rodziną przebywał na zesłaniu. Urodził się 5 lipca 1936 roku w Hajnówce, nieopodal Białowieży. Mieszkał tam w pierwszych latach swojego życia wraz z ojcem Leonardem, mamą Sylwestrą oraz trzema starszymi siostrami. Ojciec był leśniczym, mama zajmowała się domem. 10 lutego 1940 roku cała rodzina, tak jak wiele innych polskich obywateli zamieszkujących wschodnie rubieże Polski, zesłana została na Syberię.

Miejscem zsyłki była mała wioska Gromatucha, obok większej wsi Udarnoje nad rzeką Kiją, w powiecie Tissul – wówczas w obwodzie nowosybirskim. Tam 19 lipca 1941 roku zmarła i została pochowana matka rodziny, Sylwestra. Jesienią 1941 roku Leonard Żukowski wraz z czwórką osieroconych dzieci – tak jak i inni Polacy, na podstawie umowy zwanej potocznie „układem Sikorski-Majski” – opuścił miejsce zesłania i udał się do odległego, znajdującego się w obwodzie orenburskim Buzułuku. Formowała się tam Armia Polska pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Dotarli do Buzułuku, gdy miasto było już przepełnione chętnymi do wojska i ludnością cywilną. Rodzinę Żukowskich skierowano do pobliskiego Soroczyńska, gdzie miała oczekiwać na ostatni transport do Persji.

Tam przyszło im spędzić zimę i rozpocząć nowy 1942 rok. Ten ostatni, oczekiwany transport wojska, zatrzymany decyzją sowieckich władz, nigdy nie

wyjechał. Z tego powodu przymusowy pobyt rodziny Żukowskich w ZSRR przedłużył się o kolejne lata. Początkowo przenieśli się do wioski Nowogieorgiewka w rejonie Taszły, potem zaś do innej, oddalonej o 12 km, noszącej nazwę Graznucha. W tym czasie Leonard Żukowski (marzec 1943 r.) został aresztowany za odmowę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego i osadzony w łagrze, skąd zwolniono go i odesłano pod eskortą (listopad 1943 r.) do powstającego ponownie na terenie ZSRR wojska polskiego, tym razem pod dowództwem płk. Zygmunta Berlinga. Z wojskiem tym dotarł do Polski jako żołnierz 5 baterii ciężkiej artylerii. W walkach pod Warszawą (styczeń 1945 r.) został ciężko ranny. Zwolniony ze szpitala na urlop rekonwalescencyjny (luty 1945 r.), z krwawiącymi ranami, wyruszył w daleką drogę do pozostawionych we wsi Graznucha ukochanych dzieci. 12 lutego 1946 roku, po 2 tygodniach oczekiwania na transport na orenburskim dworcu kolejowym, rodzina Żukowskich (ojciec Leonard i czwórka jego dzieci) wyruszyła w podróż repatriacyjną do Polski, docierając do Ojczyzny 22 marca, po ponad 6 latach zesłania.



Wycieńczeni po wielogodzinnym spływie rzeką Kija.
Bogusław Żukowski z córką Dagmarą Dworak.

Upływały lata, a dzieje tej syberyjskiej zsyłki tliły się w pamięci tych którzy ją przeżyli i nieraz pobrzmiewały w naszym domu. Pomyślałam, że kiedyś odbędę podróż tym zesłańczym szlakiem, który przed laty zawiódł rodzinę Żukowskich na odległą Syberię. Pragnienie ziściło się po latach a najważniejszym uczestnikiem tej wyprawy był oczywiście mój Ojciec. Sprawami logistycznymi zajął się mój mąż, którego dzielnie wspierałam, a Łukasz Stachnik, doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego wspomagał nas w sprawach organizacyjnych. Mimo, że długo trwały nasze przygotowania jechaliśmy jednak w nieznaną, rzecz można w otchłań związków polsko-syberyjskich, w której tliły się losy mojego Ojca i Jego najbliższych, nade wszystko zaś Dziadka Leonarda, który

sterany wojennym szlakiem, ranny pod Warszawą, nie bacząc na trudne okoliczności pośpieszył po swe dzieci pozostałe gdzieś pod Orenburgiem.

Wyruszyliśmy z Krakowa przez Moskwę do Irkucka. Dalej podróżowaliśmy różnymi środkami transportu odwiedzając kolejno Sliudankę nad Bajkałem, Port Bajkał, Chużyr na bajkalskiej wyspie Olchon i polską wieś Wierszynę, aby ponownie powrócić do Irkucka. To była rekreacyjna część naszego wyjazdu, mimo że rekreacyjna to naprawdę warta przeżycia. Najbardziej zachwycało nas surowe piękno Bajkału, soczystość zieleni, chłód jeziora, potęga i dzikość natury. Ale nie to było jednak powodem naszej podróży. W trakcie dalszej ponad dwutygodniowej ekspedycji podążyliśmy już tylko śladami mojego Dziadka i Ojca z lat ich syberyjskiego zesłania.



Udarnoje, ryngraf na krzyżu ku pamięci Sylwestry Żukowskiej.

Najpierw wyruszyliśmy na miejsce zsyłki rodziny Żukowskich. Celem była mała wioska Gromatucha położona nad rzeką o tej samej nazwie, tuż nieopodal innej wsi o nazwie Udarnoje nad rzeką Kiją w rejonie Tisul (obecnie kemerowskaja obłast). Poszukiwaliśmy grobu mojej Babci, Sylwestry Żukowskiej, aby w 70 rocznicę jej śmierci – dokładnie w ten dzień (zm. 19 lipca 1941 r.) – zapalić znicze na jej mogile i spełnić życiowe marzenie mojego Ojca, a Jej syna. Nie było prosto, nie było łatwo. Przez 2 dni walczyliśmy z naturą wiosłując na dmuchanych łodziach po rzece Kiji po 8-9 godzin dziennie. Zmęczenie ogromne. Niski poziom wody uniemożliwiał spływ rzeką i powodował nieustającą walkę z jej nurtem, tak by nie dopuścić aby łódzie zawieszały się na kamieniach czy osiadały na mieliznach. Wysiłki te łagodzone były przepięknymi widokami nadbrzeży rzeki i cudowną słoneczną pogodą. Sukcesu pełnego nie było, bo być chyba nie mogło. Natura i czas zrobiły swoje.

Od 1953 roku, czasu gdy zlikwidowano kopalnię złota w Udarnoje i tamtejszy sowchoz, nikt już nie mieszka ani w poszukiwanej przez nas wsi Gromatu-

cha, ani w sąsiadującym z nią niegdyś Udarnoje. Dotarliśmy jednak do miejsca, gdzie mała dziś rzeczka Gromatucha wpływa do rzeki Kiji. Zabrakło kilometra, dwóch a może trzech aby dotrzeć do miejsca gdzie była wioska Gromatucha. Mimo naszych prób, brnięcia przez ponad 2 metrową kwitnącą dziką syberyjską roślinność, przedarcie się w górę rzeki bez specjalistycznego sprzętu nie było możliwe. Tajga zamknęła przed nami swe tajemnice. Nam, a przede wszystkim mojemu Ojcu i mnie, musiała wystarczyć bliskość poszukiwanego miejsca. Na prowizorycznej mogile, w dniu śmierci Babci, zapaliliśmy świece ustawione w znak krzyża. Po chwili zadumy i modlitwy, będąc pewnymi, że zapalone świece palić się będą przez cały ten dzień, odpłynęliśmy. Ostatecznie rzeką dotarliśmy do Makaraku skąd wyruszyliśmy do Mariińska, aby tą drogą dotrzeć do najbliższej stacji Kolei Transsyberyjskiej. Z Mariińska dalej podróżowaliśmy pociągiem przez Nowosybirsk, Omsk, Orenburg, kolejno zatrzymując się w każdym z tych miejsc.



Step, miejsce gdzie była wioska Nowogieorgiewka.
Pierwsza z prawej Wanda Seliwanowska.

W Orenburgu, w miejscu skąd w marcu 1946 roku rodzina Żukowskich rozpoczęła swą repatriacyjną podróż do Polski, spotykaliśmy się z charyzmatyczną prezes Orenburskiego Obwodowego Kulturalno-Oświatowego Centrum „Czerwone Maki” – Panią Wandą Seliwanowską. Ona jako jedyna reprezentantka polskich organizacji na tym terenie odpowiedziała na naszą korespondencję zawierającą prośbę o pomoc w zorganizowaniu tej wyprawy, wysyłaną na etapie planowania ekspedycji. Zadawała nam potem wiele pytań, aby uszczegółwić cel naszej podróży i wiedziała czemu to będzie służyć. Pomoc pani Wandy okazała się nieoceniona. To dzięki niej, zarażone pasją jej archiwalnych poszukiwań władze Orenburskiego Archiwum zdecydowały o wydaniu nam: Ojcu i mnie uwierzytelnionych kopii 36 takich dokumentów – dla nas bezcennych!

Pani Wanda potrafiła zarazić ideą poszukiwań również władze Soroczyńska, Błagadarnoje, a także rejonu Taszły. Sposób przyjmowania nas tam przeszedł najsmielsze oczekiwania. W Soroczyńsku dzięki pomocy i zaangażowaniu miejscowych władz odnaleźliśmy wspólnie miejsce, gdzie w czasie wojny znajdował się Polski Dom Dziecka, a w którym przebywał Ojciec ze swoimi siostrami. Zobaczyliśmy, wyglądające inaczej jak 70 lat temu, ale ciągle funkcjonujące zakłady mięsne, w których pracował Dziadek a nawet byliśmy w barakach, w których mieszkali wówczas robotnicy tych zakładów, gdzie Żukowscy spędzili zimę 1941/42 roku. Dodatkowo z miejscowego archiwum otrzymaliśmy kolejne kopie dokumentów dotyczących rodziny. Dalej pod opieką Pani Wandy udaliśmy się z Soroczyńska do miejscowości Taszła w powiecie Błagadarnoje, gdzie we wsiach Nowogioorgiewka i Graznucha mieszkała niegdyś rodzina Żukowskich. W te miejsca przyznał ich wówczas głód panujący w Soroczyńsku.



Orenburg, pamiątkowe zdjęcie z uroczystości przekazania rodzinnych dokumentów.

W Taszle gościnność i serdeczność oraz zaangażowanie w sprawę naszych poszukiwań miejscowych władz oraz zwykłych ludzi zaskoczyła nas ponownie. Nie tylko serdecznie nas przywitano, ale i sporządzono w miejscowym muzeum specjalną ekspozycję na powitanie Ojca. W jej centralnym miejscu umieszczono zdjęcie rodziny Żukowskich z dawnych lat a obok zdjęcie żyjącego Jewgienija Iwanowa, syna gospodni w domu której mieszkali Żukowscy we wsi Graznucha. Były też zdjęcia stawów i pól oraz pozostałości drewnianej szkoły, w której uczył się Ojciec, gdy poszedł w 1944 do pierwszej klasy. Był też narysowany plan jego domu i plan Nowogioorgiewki sporządzony przez jednego z żyjących mieszkańców wsi. Wzruszający gest! Tu dowiedzieliśmy się, że czas poczynił wielkie zmiany. Dziś Gramatucha nazywa się Majskoje a wieś Nowogioorgiewka od 1981 roku nie istnieje. Na tym jednak niespodzianki się nie kończyły. Zawieziono nas do Majskoje, gdzie w miejscowej szkole odbyło się wspaniale zorganizowane spotkanie Ojca z dawnymi, żyjącymi jeszcze mieszkańcami obu wsi a pamiętającymi rodzinę Żukowskich. Byliśmy świadkami niewiarygodnych spotkań po

latach i burzy emocji. Płakali mężczyźni i płakały kobiety, których los zetknął ze sobą w latach dzieciństwa, a którzy dziś jako sędziwi ludzie w nieoczekiwany sposób spotkali się po 70 latach.

Ale nie tylko oni płakali. Ja też płakałam. Płakałam, gdy Ojciec witał się z Nadią Paradina, córką gospodyni, u której Żukowscy mieszkali w nieistniejącej już wsi Nowogeorgiewka.



Bory Buzułuku, bezimienna mogiła polskich oficerów.

Pani Nadia, mimo swoich 86 lat, na spotkanie przebyła długą drogę. Przyjechała z Orenburga pod opieką syna, który by mogła tu przybyć przyjechał aż z Omska. Wspominała niewiarygodną wręcz historię spódniczki, jaką otrzymała od mojego dziadka Leonarda. O przydział tej spódniczki dziadek prosił miejscowy oddział Związku Patriotów Polskich, na co istnieje pisemny dokument w Orenburskim Archiwum, a którego uwierzytelnioną kopię otrzymaliśmy. Dlaczego prosił, spytałam potem Ojca? Odpowiedział, po prostu Nadia była już wówczas dużą dziewczynką, wstyd było, bo spódnicę powinna już dawno mieć odpowiedział. Płakałam i potem, gdy Ojciec płakał witając się z Jewgienijem Iwanowem, młodszym od niego o 2 lata, synem gospodyni domu, w którym mieszkali w kolejnej wsi o nazwie Graznucha. Choć przez moment się wahali a z oczu płynęły łzy padli sobie w objęcia, jak bracia jak najwięksi przyjaciele, ciesząc się ze spotkania, na które nigdy nie liczyli. Jak miałam nie płakać? Jewgienij zwany Gienkiem pamiętał jak otworzyły się drzwi domu i usłyszał gromki głos: „zdjes budut żyt palijaki”. On również wspominał, jak dziadek Leonard wrócił z wojny ranny a przez bandażę na głowie sączyła się krew. Takie opowieści płynęły na tym niezwykłym spotkaniu a każdy pamiętał inne zdarzenia. Dzieci wojny wspominały dawne dni. Na spotkaniu obecni byli inni znamienici goście jak siostry Riepiech, Panowie Korownikow, Szapowałow oraz wielu innych. Temperaturę emocji łagodził głos wokalistki śpiewającej przy akompaniamencie harmonii piękne, stare rosyjskie pieśni.

Jedną z nich – pieśń o żołnierzach wracających z wojny – śpiewali wspólnie Ojciec i Gienka Iwanow. Wzruszona była cała sala zgromadzonych gości. Później jeszcze podano obiad, na który władze Taszły zaprosiły wszystkich zgromadzonych. Były też prezenty, a na koniec wspólne pamiątkowe zdjęcie. Czas biegł jednak nieubłaganie. Musieliśmy jechać, ale zdążyliśmy obejrzeć w Majskoje rozpadający się budynek drewnianej szkoły i miejsce gdzie kiedyś stał dom Iwanowych. Dalej pojechaliliśmy jeszcze w bezkresny step w miejsce nieistniejącej dziś wsi Nowogieorgiewka.



Majskoje (dawniej Graznucha), pożegnalne zdjęcie uczestników spotkania.

Wzruszeni jesteście do dziś przebiegiem tamtej wizyty i wdzięczni miejscowym władzom. Bez ich pomocy nigdy nie spotkalibyśmy tych wszystkich ludzi, nie znaleźlibyśmy tych wszystkich miejsc. Największe podziękowania należą się szefowi rejonu Taszła Panu Władimirowi Suslikowowi Iwanowiczowi oraz szefowi powiatu Błagadarnowo Panu Władimirowi Wasiljewiczowi Iwasjukowi, a także Paniom, które bezpośrednio dbały o nas i pomagały we wszystkim. Nie można również zapomnieć o wielu innych osobach zaangażowanych w pomoc jaką nam udzielali w przebieg i organizację tego pobytu. Nie wiem czy gdzie indziej ktoś wyhaftowałby woreczki z nazwą miejsc komuś drogich, z których trzeba wziąć na pamiątkę po symbolicznej garści ziemi. Takie woreczki przygotowano w Taszle z wyhaftowanym napisem; Graznucha i Nowogieorgiewka. Nie wiem czy to tylko polski zwyczaj, czy rosyjski również, ale ten gest na zawsze pozostanie w naszej Pamięci.

Dalej z Taszły pojechaliliśmy jeszcze do Buzułuku, gdzie jesienią 1941 roku, jak wielu innych Polaków przybyła tu rodzina Żukowskich by z nowopowstającą armią gen. W. Andresa zakończyć okres swojego zesłania. To jednak się nie udało. Leonard Żukowski, jako ojciec czworga dzieci, półsierot otrzymał zadanie poszukiwania polskich sierot na terenie całego obwodu oren-

burskiego (wtedy obwodu czałowskiego) co czynił z wielkim poświęceniem do zaplanowanego wyjazdu ostatniego transportu polskiego wojska. Ten ostatni transport nigdy z ZSRR nie wyjechał a zsyłka rodziny Żukowskich przedłużyła się o kolejnych kilka lat. Tu, w Buzułuku podążaliśmy miejscami pamięci polskich żołnierzy prowadzeni przez niestrudzoną Panią Wandę. Odwiedziliśmy miejscowe Muzeum a w nim małą salę poświęconą formującemu się tu 70 lat temu wojsku gen. W. Andersa. Miejsce to jest dla każdego Polaka szczególnie, bo łączy się z nadzieją, wiarą i oddaniem sprawom Kraju. Pojechaliśmy również do leśnej bezimiennej zbiorowej mogiły zwanej Aleją Oficerów w Borach Buzułuku oraz zbiorowej imiennej mogiły 16 naszych żołnierzy we wsi Kołtubanowka.

Buzułuk był przedostatnim etapem naszej podróży. Dalej kolejną podążyliśmy już tylko do oddalonej o 4 godziny jazdy pociągiem Samary, skąd powrót do Krakowa samolotem przez Frankfurt nad Menem był czasowo najkorzystniejszy. W Samarze zostaliśmy jednak jeszcze dwie noce. To ja chciałam tam pobyc, bo jak mówił mój drugi dziadek Edward (Ojciec Mamy); Samara jest piękna. Skąd wiedział że Samara jest pięknym miastem? Ano był jako dziecko zesłany z rodziną na Sybir w 1905 roku ale to zupełnie inna historia.

Moja refleksja z całej podróży? To czego nie zapomnę? Trudna do opisanie w kilku słowach. Przepiękne obrazy, widoki przestrzeni, niewiarygodnie dzikiej i niezniszczonej cywilizacją przyrody. Przepiękni też zwykli, normalni ludzie, których piękno zawarte jest w ich wnętrzu. Otwarci i serdeczni dla drugiego człowieka. Rozumiejący sprawy, które w innych krajach nie znajdą takiego zrozumienia. Podążanie za sercem na mogiłę Matki, za wspomnieniami dzieciństwa uważają za naturalną potrzebę człowieka. Tak więc przy niezwyklej przyrodzie i ludziach niezwyklej, w Rosji nadal zaskakuje brak dbałości przez władze o zwykłego człowieka, m.in. przez tworzenie bzdurnych, nieżyciowych przepisów. Jeden z takich przepisów to ten, wg którego bagaż może przejść odprawę celną tylko w stolicy Rosji, w Moskwie. Ten wewnętrzny, niczym nieuzasadniony przepis, zupełnie niezrozumiały dla człowieka zachodu, zatrzymał w Moskwie nasz bagaż, który był odprawiony omyłkowo z Krakowa bezpośrednio do Irkucka. Mimo kilkukrotnej interwencji Konsulatu Polskiego w Irkucku i faktu, że placówka Urzędu Celnego Rosji jest też na lotnisku w Irkucku, nic nie dało się w naszej sprawie załatwić. Cóż za znaczenie w jakim miejscu odbywa się odprawa celna? W Moskwie czy w Irkucku? Podróż naszą trwająca 26 dni odbyliśmy więc bez bagażu kupując jedynie to co było najpotrzebniejsze: bieliznę, skarpety, koszule, spodnie no oczywiście pastę i szczoteczki do zębów. W Rosji nieprawdopodobne zawsze jest możliwym. Uważajcie drodzy turyści!

Dagmara Dworak

*

Epilog I

Z tej niezwyklej podróży powstał film dokumentalny zatytułowany „Drogami Pamięci” (2012/87’/polska/rosyjska wersja językowa). Film jest podziękowaniem dla tych, którzy Bogusławowi Żukowskiemu w 2011 r. w podróży drogami pamięci jego syberyjskiego zesłania (1940-46) okazali wielkie zrozu-

mienie, ogromne serce, bezcenną pomoc i wsparcie, podziękowaniem wypowiedzianym obrazem filmu, stworzonym przez córkę Bogusława, uczestniczkę wyprawy – Dagmarę Dworak. Premiera filmu miała miejsce 12 maja 2012 r., w kinie „Sokół” na Festiwalu Filmu Polskiego w Orenburgu.

Epilog II

Dwóch uczestników podróży z 2011 r.: córka Bogusława – Dagmara Dworak i jej mąż Marek w czerwcu 2012 r. wyruszyli w tajgę po raz kolejny. Celem wyprawy było dokończyć to, co nie dokończone, zawieść na miejsce ryngraf ku pamięci zmarłej na zesłaniu Sylwestry Żukowskiej. Ryngraf, który w roku poprzednim był w zaginionym bagażu i odnalazł się wraz z bagażem po powrocie ekipy do Krakowa. Wyruszyli wczesną syberyjską wiosną. Roślinność jeszcze nie była wysoka. Ponownie płynęli rzeką Kiją. W trakcie kilkudniowych poszukiwań w głębokiej tajdze odnaleźli wiele pozostałości z tamtych lat; miejsce zesłania rodziny – wioskę Gromatuchę, resztki dawnej kopalni złota i wioski Udarnoje, ustalili położenie dawnego polskiego cmentarza (porośniętego już brzoźowym lasem). W sercu tajgi postawili krzyż ku pamięci Matki Bogusława i Babci Dagmary¹.

• INTELEKTUALNA PRZYGODA Z OGROMNYM ŁADUNKIEM EMOCJONALNYM...

Tak najkrócej można scharakteryzować konferencję, jaka odbyła się w dniach 2-5 grudnia 2012 roku w „Domu Polonii”, mieszczącym się na Zamku w Pułtusk. Poświęcona ona była polskim budowniczym Kolei Wschodniochińskiej i Polakom w Mandżurii, a zorganizowały ją Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oraz Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej Wydziału Zamiejscowego Nauk Prawnych i Ekonomicznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Tomaszowie Lubelskim. Program konferencji był bardzo bogaty, lista referentów długa, a jednak okazało się, że czas przeznaczony na naukowe dysputy upłynął bardzo szybko.

Poszczególne wystąpienia dotyczyły różnorodnych zagadnień i zawierały ogromny ładunek wiedzy. Obok referatów naukowych, napisanych w oparciu o literaturę przedmiotu, były też wystąpienia bardzo osobiste, bo prezentujące

¹ Autorka tej relacji poszukuje środków na opracowanie kolejnego filmu (polska, rosyjska, angielska wersja językowa), obrazującego trud dwóch wypraw 2011 i 2012 roku a niosącego piękny przekaz. Film ma pokazywać wzajemne współczesne relacje zwykłych ludzi: Polaków i Rosjan, którzy mimo dzielących ich narody traumatycznych historycznych wydarzeń, są wzajemnie otwarci, życzliwi i pomocni. Nie ma on narzucać ocen, przypomnieć jedynie fakty historyczne (zsyłki polskiej ludności w głąb Rosji w czasie II wojny światowej) i pokazać współczesne wydarzenia, a w ich kontekście mówić o tym, co łączy ludzi, mimo granic, odrębnych interesów politycznych i trudnej historii. Tym co łączy ludzi jest człowieczeństwo – symbolem którego ma być kromka chleba. Roboczy tytuł filmu; „Kromka chleba”. Te i inne informacje na temat filmu „Drogami Pamięci” oraz projektu nowego filmu o roboczym tytule „Kromka chleba” znajdziecie Państwo na stronie internetowej; www.drogami-pamieci.pl

dzieje rodzin, które los związał na długo z daleką Mandżurią. Z niezwykłą uwagą zostało przyjęte wystąpienie Leonarda Spychalskiego ukazujące historię rodziny Spychalskich i jej udział w bogatym życiu społeczno-kulturalnym Harbinu. Przy okazji prelegent przypomniał też obraz życia sportowego Harbinu, w którym brał aktywny udział. Równie ciekawa była barwna opowieść Jerzego Czajewskiego dotycząca drogi, jaką rodzina Czajewskich odbyła z Kresów Wschodnich do Mandżurii. Wystąpienia ilustrowane zdjęciami z rodzinnych albumów przywoływały wydarzenia i ludzi tworzących polską kolonię na obszarach, gdzie budowano Kolej Wschodniochińską. Zarówno w okresie budowy, jak i przy eksploatacji kolei istotną rolę odegrali Polacy. Byli kierownikami poszczególnych odcinków budowy, konstruowali tabor kolejowy, byli naczelnikami stacji, maszynistami, konduktorami, lekarzami. Ten niezwykle ważny wkład Polaków omówił szczegółowo prof. Adam Winiarz, podkreślając, że była to świadoma inteligencja techniczna, a polscy inżynierowie z wschodniochińskim doświadczeniem byli potem twórcami kolejnictwa w II Rzeczypospolitej. Swoistym uzupełnieniem tego referatu była prezentacja Jerzego Czajewskiego zatytułowana „Album Kolei Wschodniochińskiej 1896-1925 (ludzie i dzieło)”, w której autor wykorzystał szereg fotografii obrazujących poszczególne etapy budowy kolei oraz polskich budowniczych. Wśród nich byli m.in.: inż. Tadeusz Bedniowski, Kazimierz Zienkiewicz, Jan Chodorowski, prof. Antoni Xiężopolski, inż. Bronisław Małachowski. Dwaj ostatni zostali bliżej zaprezentowani w referacie dra Zbigniewa Tucholskiego, który podkreślił istotne zasługi A. Xiężopolskiego dla kolejnictwa w Rosji, a potem w Polsce.

Warto podkreślić, że polska kolonia w Harbinie była zamożna, zgodna i dobrze zorganizowana, a niezbitym tego dowodem była jej różnorodna działalność oświatowa czy kulturalna. Na ten aspekt zwracali uwagę wszyscy niemal referenci, natomiast prof. Andrzej Wójcik i Karol Czok dokonali przeglądu polskiej prasy wydawanej w Harbinie, w której jawi się wielość wątków charakteryzujących działalność oświatową, kulturalną, administracyjną i duszpasterską Polaków związanych z tym dalekowschodnim miastem. Równie ważne wśród tej społeczności było patriotyczne wychowanie, jakie młodzi Polacy odebrali w harbińskich szkołach i organizacjach. Przełożyło się to na ich późniejsze losy, a niektórzy Polacy z harbińskim rodowodem zasłynęli potem z bohaterskich czynów podczas wojny (np. udział w bitwie pod Monte Cassino), za które odznaczeni zostali wysokimi odznaczeniami wojennymi i zyskali należne miejsce na kartach historii. Dla pełnego obrazu osadnictwa polskiego w Mandżurii niezwykle ważne były panujące tam stosunki między różnymi grupami narodowościowymi. Z tego względu wiele ciekawych wiadomości dostarczyły wystąpienia dotyczące relacji Polacy – Rosjanie (dr Sergiusz Leończyk) oraz społeczności ukraińskiej w tym mieście (dr Grzegorz Skrukwa).

W historii Polacy zapisali się nie tylko jako budowniczowie Kolei Wschodniochińskiej czy pracownicy zatrudnieni na różnych szczeblach zarządu i ruchu. Nasze skomplikowane losy spowodowały, że wielu Polaków z Priwiślińskiego Kraju służyło w armii Imperium Rosyjskiego. Ich kariery i postawy przeanalizował dr Mariusz Kulik, podkreślając, że co 10. żołnierz w rosyjskiej armii lądowej i co 50. we flocie był Polakiem. Polacy stanowili 17% oficerów w wojskach lądowych, a 20 z nich dosłużyło się rangi generała.

Analizując naszą obecność w Mandżurii, należy zaznaczyć, że prowadziliśmy tam szeroko zakrojone badania naukowe. Przykładem może być Kazimierz Grochowski – geolog i podróżnik. Na jego dokonania zwrócili uwagę prof. Zbigniew Wójcik oraz dr Michał Pędracki, zaś prof. Maria Blombergowa i Igor Strojcecki zaprezentowali postać etnografa, przyrodnika, podróżnika, fotografa i dokumentalisty Leona Barszczewskiego.

Na życie społeczności polskiej w Mandżurii – na co zwracało uwagę wielu prelegentów – duży wpływ miał kościół katolicki i jego duchowni. Wśród nich niewątpliwie na przypomnienie zasługuje Maurus Kluge, którego interesująca biografię przedstawił ks. prof. Franciszek Rosiński OFM z Wyższego Seminarium Duchownego Ojców Franciszkanów we Wrocławiu, kierujący wspomnianą powyżej Katedrą Etnologii i Antropologii Kulturowej podejmującej w swojej działalności wątki polsko-syberyjskie i współorganizującej tę interesującą konferencję o naszych rodakach w Harbinie.

Z Harbina wywodzą się też ludzie pióra. Niestety, zabrakło na konferencji pana Edwarda Kajdańskiego, ale o jego dorobku mówiła z fascynacją dr Stefania Skowron-Markowska. Nie można było oczywiście pominąć Teodora Parnickiego, absolwenta Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Harbinie. To właśnie tam znalazł on grono nauczycieli, którzy kształtowali jego literackie zainteresowania. Młodość spędzona w Mandżurii wywarła wpływ na pisarstwo Parnickiego oraz na jego sposób operowania słowem i na postrzegania świata. Szeroko o tym mówiła prof. Barbara Noworolska.

Kolonia polska w Mandżurii pozostawiła bogatą spuściznę. Są to materialne ślady polskiej obecności, jak choćby harbiński dworzec zaprojektowany przez Ignacego Cytowicza. Pozostała też dokumentacja fotograficzna, która z archiwów rodzinnych przekazywana jest do placówek muzealnych czy bibliotecznych. Na mapie Polski miejscem, gdzie trafiło chyba najwięcej pamiątek z Harbina jest Książnica Pomorska w Szczecinie, bo właśnie w tym mieście zamieszkało sporo Polaków z Mandżurii. Fotograficzną dokumentację zgromadzoną i szeroko prezentowaną omówiła Cecylia Judek, zwracającą szczególną uwagę na ścisłe kontakty ze szczecińskim Klubem Harbińczyków, którego prezesem jest wspomniany już Leonard Spychalski.

Materiały związane z losami Polaków w Harbinie znajdują się również w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Zgromadzone fotografie, egzemplarze prasy oraz publikacje były tematem mojego referatu. Niezwykle ważne było uzupełnianie informacji o osobach uwiecznionych na fotografiach przez tych uczestników spotkania, którzy prezentowanych ludzi i miejsca znają z autopsji lub opowieści rodzinnych. Równie miłym elementem konferencji była podróż sentymentalna, w którą zaprosił obecnych Romuald Oziewicz, ukazując na slajdach dawny i współczesny Harbin ze szczególnym uwzględnieniem śladów polskich.

Wygłoszone referaty wywołały dyskusję, która z zamkowej biblioteki przeniosła się do restauracji, a potem miała swój dalszy ciąg w pokojach hotelowych. Był to dowód, że temat jest intrygujący i wart szerokiej popularyzacji. Szkoda, że wśród referentów – poza wspomnianym już Harbińczykiem Edwardem Kajdańskim – zabrakło prof. Antoniego Kuczyńskiego z KUL-u, współtwórcy konferencji, którego zaplanowane wystąpienie noszące tytuł „Stan i potrzeby badań nad historią Polaków w Harbinie – losy, świadectwa, dziedzic-

two”, dałoby zapewne obraz zarówno stanu badań nad historią polskiego osadnictwa w Mandżurii, jak i wskazałoby kierunki dalszych poszukiwań.

Pozostaje mieć nadzieję, że staraniem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” – przy wsparciu Ministerstwa Spraw Zagranicznych – uda się wydać drukiem materiały pokonferencyjne, które będą istotnym wkładem w dokumentowanie naszej historii. Obecnie istotne jest pokazanie tego, co Polacy rozproszeni po świecie w okresie ponad stu lat zaborów dali światu w zakresie nauki, gospodarki i cywilizacji. Powinniśmy się o to częściej upominać, a na programy badawcze z tego zakresu nie powinno brakować pieniędzy. W imieniu wszystkich referentów pragnę w tym miejscu podziękować organizatorom spotkania za stworzenie wspaniałej atmosfery naukowej oraz dopracowanie w każdym szczególe tej konferencji.

Jolanta Załęczny

• ABY NIE ZOSTAŁ ZAPOMNIANY

Kazimierz Sobolewski urodził się 3 stycznia 1919 roku w Modliborzycach powiat Janów Lubelski, jako syn Wincentego Bolesława Sobolewskiego¹, kapitana Wojska Polskiego, lekarza i Wiktorii ze Strzałkowskich. Dzieciństwo i lata szkolne wraz z rodzeństwem: Ireną (ur. 15 kwietnia 1906 r.), Zdzisławem (ur. 24 kwietnia 1917 r.)² i Januszem (ur. 1 września 1921 r.)³, spędził w domu rodziców przy ulicy Mickiewicza 12. Pobierał nauki w Męskiej Szkole Powszecznej, a następnie w Gimnazjum i później Liceum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. W 1936 r. rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

W 1939 r. zgłosił się na ochotnika do wojska, jednak nagła choroba i konieczność poddania się operacji, nie pozwoliła mu na wzięcie udziału w kampanii wrześniowej. Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa, został aresztowany pod zarzutem ukrywania broni. Zwolniony, dzięki interwencji profesora Jakuba Parnasa z Uniwersytetu Jana Kazimierza, podjął studia na IV roku medycyny. Ponownie zagrożony aresztowaniem przez NKWD, powrócił do Sandomierza. Tu brał udział w pracy konspiracyjnej, m.in. wydając i współredagu-

¹ Wincenty Sobolewski (ur. 12.10.1889 r.), major Wojska Polskiego, lekarz 35 Pułku Piechoty w Chełmie i 4 Batalionu Saperów w Sandomierzu, lekarz miejski w Sandomierzu w latach 1926–1950, związany ze Stronnictwem Narodowym. Podczas okupacji wydawał w Sandomierzu gazetę podziemną „Naród w Walce”. Pozostawił „Dzienniki” z lat okupacji i lat powojennych.

² Zdzisław Sobolewski, student medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, działacz ruchu narodowego, wiceprezes Młodzieży Wszechpolskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarł 20 września 1939 r. podczas ewakuacji sandomierskiego szpitala w miejscowości Irena w powiecie janowskim.

³ Janusz Sobolewski, student medycyny na tajnych kompletach Uniwersytetu Warszawskiego. Żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej i Armii Krajowej. Dwukrotny zbieg z więzień gestapo. W Powstaniu Warszawskim walczył w Oddziale Specjalnym „Juliusz”. Zmarł z odniesionych ran 27 sierpnia 1944 r. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Wojennym *Virtuti Militari* i dwoma Krzyżami Walecznych.

jąc pismo „Naród w Walce”, związane z Polskim Obozem Narodowym (1940-1942)⁴.

W końcu stycznia 1942 r. zagrożony aresztowaniem przez gestapo, przedostał się do Lwowa, gdzie kontynuował studia medyczne na Kursach Lekarsko-Przyrodniczych – (*Staatliche Medizinisch-Naturwissenschaftliche Fachkurse Lemberg*), pracując jednocześnie jako laborant w Instytucie Tyfusowym, kierowanym przez profesora Rudolfa Weigla⁵. We Lwowie nadal działał w konspiracji i współtworzył gazetę konspiracyjną „Słowo Polskie”, wydawaną przez Wydział Propagandy Zarządu Okręgowego Stronnictwa Narodowego⁶.



Kazimierz Sobolewski w Incie.

⁴ M. Adamczyk, *Prasa konspiracyjna na Kielecczyźnie w latach 1939-1945*, Kraków 1982, s. 54, 151, 186; P. Matusak, *Ruch oporu na ziemi opatowsko-sandomierskiej w latach 1939-1945*, Warszawa 1976, s. 114-115; S. Lewandowska, *Polska konspiracyjna prasa informacyjno-polityczna 1939-1945*, Warszawa, 1982 s. 100; *Wojna i okupacja*, [w:] *Dzieje Sandomierza*, pod red. H. Samsonowicza, t. 4, Toruń 1994, s. 175; M. Orłowski, *Prasa konspiracyjna Stronnictwa Narodowego w latach 1939-194*, Poznań 2006, s. 159; M. Proć, D. Szczygielski, *Znani Wychowankowie*, [w:] *Collegium Gostomianum. Nauczyciele, uczniowie i ich szkoła w latach 1944-2002*, Praca zbiorowa. Komitet Obchodów 400-lecia Collegium Gostomianum, Sandomierz 2002, s. 128.

⁵ Szerzej o pracy Lwowskiego Wydziału Lekarskiego w okresie okupacji zobacz: Z. Albert, *Lwowski Wydział Lekarski w czasie okupacji hitlerowskiej 1941-1945*, Wrocław 1975.

⁶ M. Orłowski, op. cit., s. 132-133.

Po uzyskaniu dyplomu lekarza, odbył staże kliniczne, zakończone egzaminami i podjął pracę w Klinice Chorób Wewnętrznych w Oddziale Chorób Zakaźnych UJK we Lwowie oraz w Ubezpieczalni Społecznej. Był równocześnie żołnierzem AK (ps. Norbert) i jako przedstawiciel Stronnictwa Narodowego działał we lwowskim okręgu Delegatury Rządu Londyńskiego we Lwowie, pełniąc funkcję komendanta Straży Porządkowej na województwo stanisławowskie (w ramach Kierownictwa Walki Cywilnej). Wchodził w skład Komitetu Oporu Społecznego przy Kierownictwie Walki Podziemnej⁷.



Kazimierz Sobolewski bezpośrednio po powrocie do Sandomierza.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich został aresztowany 28 sierpnia 1944 r. wraz z pozostałymi członkami Delegatury Rządu, których proces odbywał się w dniach od 16 do 22 stycznia 1945 r. w więzieniu przy ul. Łackiego. Kazimierz Sobolewski został skazany przez Trybunał Wojskowy Lwowskiego Okręgu Wojskowego z art. 54-3 i 54-11 z zastosowaniem artykułu 54-2⁸ kodeksu karnego Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej na 18 lat pozba-

⁷ W. Grabowski, *Polska tajna administracja cywilna*, Warszawa 2003, s. 446.

⁸ Art. 54-3: kontakt z państwem obcym w celach kontrrewolucyjnych; art. 54-11: kontrrewolucyjna działalność organizacyjna; art. 54-2: powstanie zbrojne. *Indeks represjonowanych. Więźniowie łagrów w rejonie Workuty*, t. 10, część II, Warszawa 2001, s. 44-48.

wienia wolności (licząc od 28 sierpnia 1944 r.) i na 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Jako jedyny w tym procesie był sądzony jako Polak, a nie obywatel Związku Radzieckiego⁹. Po wyroku oczekiwał na zesłanie wraz ze współtowarzyszami w obozie przejściowym przy ul. Pełtewnej we Lwowie. Transport więźniów odjechał ze Lwowa 4 marca 1945 r.

Przebywał w Incie (Komi ASSR¹⁰, gdzie został skierowany do tzw. miasteczka sanitarnego (Inta-Sangorodok). Tam pracował jako lekarz w oddziale zakaźnym oraz zorganizował i prowadził laboratorium analityczne i punkt krwiodawstwa. Zajmował się także odbieraniem porodów w oddziale położniczym, pełniąc dyżury w godzinach nocnych oraz znieczulaniem do operacji chirurgicznych. Pełnił również funkcje ordynatora oddziałów: wewnętrznego i ocznego.¹¹ Organizował kursy, np. szkolenia laborantów analitycznych, które kończyli zarówno więźniowie, jak i rodziny kadry obozowej, otrzymując pełne uprawnienia do pracy laboranta na terenie Związku Radzieckiego. Ukończenie tych kursów przez więźniów umożliwiało im podejmowanie pracy w obozowej służbie zdrowia, co niejednokrotnie ratowało przez zesłaniem do ciężkiej pracy w kopalniach, czy przy wyrębie lasów.¹² Jesienią 1955 r. został zwolniony z łagru i powrócił do rodzinnego Sandomierza. Niemal natychmiast po powrocie rozpoczął pracę w miejscowym Szpitalu Powiatowym. W pracy zawodowej przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej. Był twórcą punktu krwiodawstwa i laboratorium analitycznego oraz pełnił obowiązki ordynatora oddziału zakaźnego a także wicedyrektora szpitala do spraw leczenia. Znany był ze swojej działalności naukowej i społecznikowskiej. Od 1958 roku był wiceprezesem kieleckiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego.

Podczas zesłania w Incie prowadził badania naukowe, które zaowocowały po powrocie do kraju wygłoszeniem szeregu referatów na zjazdach analitycznych oraz na posiedzeniach Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Pozostawił szereg publikacji z zakresu analityki lekarskiej i bakteriologii, miał w przygotowaniu pracę doktorską o metodach oznaczania oraz roli w organizmie ludzkim witaminy C¹³. Zmarł w dniu 5 stycznia 1968 roku w Krakowie.

Piotr Sobolewski

⁹ W. Grabowski, op. cit., s. 454; K. Żygulski, *Jestem z lwowskiego etapu*, Warszawa 1944, s. 216, 220; T. S. Sroka, *Sobolewski Kazimierz*, „Polski Słownik Biograficzny”, Warszawa-Kraków 2000, s. 578-579; *Indeks represjonowanych*, op. cit., s. 545.

¹⁰ *Indeks represjonowanych*, op. cit., s. 545.

¹¹ A. Niezabitowski, *To był tylko etap. Wspomnienia z łagrów*, Kraków 1999, s. 260-263.

¹² K. Żygulski, op. cit., s. 252.

¹³ S. Głuszek, G. Majcher-Witczak, *50 lat Dni Klinicznych Buska-Zdroju*, Kielce – Busko Zdrój 2002, s. 97-108; T. S. Sroka, op. cit., s. 578-9

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Kazimierz Sobolewski, *Moja droga do Polski*, Seria „Biblioteka Tradycji Sandomierskiej”, nr 7, Sandomierz 2011, s. 248, il. 110.**

Do zbioru książkowych edycji pamiętnikarskich o tematyce zesłańczej doszła ciekawa pozycja, wydana w nadwiślańskim Sandomierzu, na pograniczu wschodniego terytorium małopolsko-podkarpackiego. Tamtejsze, skądinąd bardzo interesujące wydawnictwo ambitnych, wręcz naukowych książek – ARMORYKA – opublikowało wojenny pamiętnik znanego sandomierskiego lekarza, śp. Kazimierza Sobolewskiego (1919-1968). Trzeba tu dodać: lekarza bardzo zasłużonego, a zarazem zesłańczego poety (o czym nie wszyscy dotychczas wiedzieli). Przygotowanie pamiętnika do wydania to praca członków rodziny Kazimierza – Janusza i Piotra Sobolewskich. Oni to dostarczyli dodatkowych informacji biograficznych o autorze i całym zaangażowanym patriotycznie lekarsko-wojskowym rodzie Sobolewskich z Sandomierza. Lekarzem wojskowym, przedwojennym działaczem ruchu narodowego i wojennym wydawcą podziemnej gazety był ojciec Kazimierza, doktor Wincenty, major WP. Młodszy brat Kazimierza Janusz, student medycyny na tajnych „kompletach” Uniwersytetu Warszawskiego i żołnierz Polski Podziemnej, zginął w Powstaniu Warszawskim. Studia medyczne Kazimierza, jego działalność w ruchu narodowym, wojenne funkcje polityczne, działalność wydawnicza w prasie podziemnej – sprawiają więc wrażenie kontynuacji rodzinnej tradycji.

Nawet pobieżny rzut oka na bardzo liczne i różnorodne zajęcia, którym się oddawał Kazimierz podczas wojny i zesłania, rysują przed naszymi oczyma obraz człowieka niesamowitej wręcz energii, tytana pracy i żelaznej woli – a przy tym człowieka z szerszą wizją świata, i tego, co robi, zdolnego do samodzielnej refleksji i do ważnych etycznych wyborów. Kontynuacja studiów w trudnych warunkach powrześniowego IV rozbioru Polski (1939), w opanowanym przez sowietów Lwowie, połączona z pracą w Instytucie Tyfusowym, następnie zaś praca w ubezpieczalni społecznej i klinice uniwersyteckiej, w końcu praca lekarska w sowieckim łagrze – to jeden, zawodowy, aspekt jego ówczesnego życia. Wydawanie konspiracyjnych gazet w Sandomierzu i we Lwowie, wojskowa przynależność do Armii Krajowej, działanie w podziemnych strukturach politycznych Stronnictwa Narodowego i we lwowskiej Delegaturze Rządu na Kraj – to druga, tajna twarz doktora Kazimierza, która doprowadziła go do uwięzienia, sowieckiego sądu i osadzenia w jednym z łagrów. Do tego trzeba dodać epizody przechodzenia „zielonej granicy” między zaborami hitlerowskim i stalinowskim, życie po obydwu stronach okupacyjnego kordonu, ukrywanie się i wędrówki ściganego.

„Zasypany” i przejściowo uwięziony przez sowietów za ukrywanie woj- skowej broni, następnie zagrożony ponownym aresztowaniem przez lwowskie NKWD, ucieka na obszar okupacji niemieckiej, w rodzinne strony – do Sandomierza i okolic, gdzie oczywiście aktywnie działa w konspiracji. W 1942 roku, zagrożony z kolei przez Gestapo, powraca do Lwowa, kontynuuje studia, pracuje i nieustannie konspiruje. Kres temu aktywnemu życiu konspiratora kładzie ponowne wkroczenie Armii Czerwonej, aresztowanie wraz z innymi członkami Delegatury Rządu, wyrok śmierci zamieniony na 18 lat łagru, wywózka do północnego „archipelagu Gułag” i docelowe osadzenie w łagrze w Incie (Autonomiczna Republika Komi).

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że to kres aktywności tego niestrudzonego człowieka. Sowieckie władze obozowe szybko poznały się na jego wartości jako wykwalifikowanego, zdolnego lekarza i doceniły go w swoisty sposób, kierując do pracy w tzw. miasteczku sanitarnym (Sangorodok). Zawdzięcza to lękowi łagrowych „wierchuszek” przed ciągle zagrażającymi epidemiami. Ponownie więc miał wiele rozmaitych zajęć: lekarz w oddziale zakaźnym i położniczym, anestezjolog przy operacjach chirurgicznych, potem ordynator oddziałów wewnętrznych i ocznego. Do tego organizator i szef punktu krwiodawstwa i laboratorium analitycznego, kierownik szkolenia laborantów. Uff, należy tylko podziwiać niespożyte siły tego prawdziwego „człowieka-orkiestry” i zastanawiać się, skąd je brał. Bo dochodziło tu jeszcze aktywne pomaganie współbraciom – „zekom”, medyczne badania naukowe oraz pisanie wierszy i inna działalność kulturalna.

Ten bogaty wojenno-łagrowy życiorys lekarza-konspiratora, sylwetki renesansowo bogatej i wszechstronnej – mógłby stać się kanwą awanturniczej dumasowskiej powieści i sensacyjnego filmu wojennego w stylu „Komandosów z Navarony”, albo, jeszcze bardziej, porywającego telewizyjnego serialu. Gdy jednak przystąpimy do lektury tego pamiętnika, możemy przeżyć pewien zawód. Te wszystkie wydarzenia, które ktoś inny ubrałby w szaty sensacji – Autor opisuje w skromny, nieefektywny sposób, jakby to były wydarzenia codziennego, normalnego ludzkiego życia, zaś element ryzyka, zagrożenia – czymś oczywistym.

Trzeba jednak pamiętać, że są to relacje przefiltrowane przez odzierającą z emocji późniejszą, refleksyjną pamięć Autora, która przechowała je pieczołowicie przez cały okres wojenny aż do zwolnienia z łagru już w nowej chruszczowowskiej rzeczywistości „odwilży” i powrotu do rodzinnego Sandomierza w 1955 roku. Po tej dacie musiały one jeszcze odczekać swoje zanim, uporządkowane i uzupełnione, przybrały postać gotową, jednak jeszcze nie do druku, czas druku nadszedł dopiero po transformacji ustrojowej, w wiele lat po śmierci Autora. To z kolei dokonało się za sprawą głównie syna Piotra (też sandomierskiego lekarza), redaktora tej spuścizny, „akuszerą” i do pewnego stopnia współautora kształtu ostatecznego. Można powiedzieć, że to syn właśnie – kontynuator, kolejna sylwetka rodowej sagi – „przeciął pępowinę” i umożliwił temu dziełu samodzielne istnienie w świecie literatury.

Nie są to więc już żywe strzępki tamtego wojennego „życia na gorąco”, za takie mogą uchodzić jedynie załączone do książki listy, które też z oczywistych względów nie mogły być wtedy pisane tak, jakby się chciało i jakby się to robiło w czasach pokoju, w wolnym państwie. Miejsce początkowych silnych

emocji – dostrzegamy ich ślady w narracji – zajmuje tutaj różnego typu refleksja – psychologiczna, polityczna – połączona ze świetnym, literacko-reporterskim zmysłem obserwacji, pozwalającym na utrwalanie przemijających momentów, kontrastowych migawek, pejzaży – o niezwykle sugestywnej sile wyrazu i wręcz symbolicznym wymiarze – szczególnie w chwilach, gdy Autor, jak rasowy pisarz-epik, pozwala poczuć „gorący oddech historii”. Jako literat i profesjonalny historyk literatury nie mogę nie zauważyć tych ukrytych literackich walorów pamiętnika Sobolewskiego.

Jeżeli zastosować do dzieła Kazimierza Sobolewskiego narzędzia badawcze teorii literatury, musimy powiedzieć, że cechuje się ono budową „otwartą”, jest to tzw. forma atektoniczna. Przypomina to nieco eksperymenty formalne Adama Mickiewicza z III części „Dziadów”, który swój obraz carskiej Rosji zawarł również w zestawie rozsypanych i luźno powiązanych form literackich („Dziady”, cz. III). Tą drogą Mickiewicz przetworzył swoje autobiograficzne wspomnienia w świadome dzieło literackie. Sobolewski nigdy nie wyrażał takich ambicji, ale metoda jest podobna, przez co jego pamiętnik sięga rangi niepośledniego dzieła literackiego – należącego do tego szczególnego typu literatury, zwanego „literaturą faktu”. Mamy więc tu pisany prozą pamiętnik zestawiony z wierszami, uporządkowane i zdyscyplinowane słowo autorskiej narracji zestawione z surowymi dokumentami i pisanymi *ad hoc* listami. Fragmenty czysto wspomnieniowe, pisane z pewnej perspektywy czasowej, przefiltrowane przez refleksję – z tekstami o charakterze reportażowym (końcowe opisy powrotu do Kraju). Epizody bardzo kameralne, o wymiarze teatralnym (sceny z cel więziennych) współgrają z epicką panoramą wydarzeń (migawki z pierwszych tygodni wojny we Lwowie). Ten zmysł epicki, przenoszący indywidualne doświadczenia człowieka w szerszą perspektywę historii, wyraża się bardzo wyważonym stylem, który unika zbyt mocnych słów, cechuje się rzeczowością, dyskrecją i jakby nawet pewną wstydlivością. I to nadaje tym pamiętnikom niezwykłą sugestywność. Narracja odautorska, momentami – pod wpływem okoliczności – szorstka i „nieoheblowana”, bywa tu zadziwiająco wysokiej klasy, przypomina stylistycznie oszczędne, lapidarne pamiętniki wojenne Juliusza Cezara. Dostrzegamy w niej od czasu do czasu wyraźny nerw dramaturgiczny, a także zmysł paradoksu, kontrastu, co uwidacznia się w scenach jak gdyby „filmowych”.

Jako przykład podam migawkę z finału tej wojennej odysei. Autor, już zwolniony z obozu były „zakliuczonyj”, żywy człowiek, który przetrwał – na tle potężnej bryły milczącego i martwego mauzoleum ze zwłokami Stalina, snujący podsumowującą refleksję – „Jak sprawiedliwy jest Bóg”. Znakomita literacko pointa, którą dopisało życie. Innym zabiegiem rasowo literackim jest tonacja końcowej relacji – drogi powrotnej – operująca efektem wręcz symbolicznej ciszy. Cisza ta, cisza chruszczowowskiej „odwilży”, cisza ulgi śmiertelnie zmęczonych ludzi, cisza cmentarna i żałobna – to zupełnie inna cisza niż złowroga stalinowska cisza terroru, współbrzmiąca z oficjalnym, rytualnym hałasem zagłuszającym krzyki ofiar. Nasuwa się w tym miejscu wyraźna analogia z tytułem obrachunkowej powieści rosyjskiego pisarza Jurija Bondariewa – „Cisza” (1962.) Ta pozbawiona swojego najbardziej odrażającego, niewolniczego elementu „Sowdepia” chruszczowowskiej odwilży jest w tej finalnej relacji stale skontrastowana z przeraźliwą Sowdepnią stalinowską.

Możemy przy uważniejszym czytaniu dostrzec tutaj, że zarówno Autor jak i jego syn-redaktor to przecież typowe dusze polskie, wykarmione specyficznie polską, literacką i malarską tradycją obrazów Zesłania i Sybiru – tej mickiewiczowskiej z fragmentów III części „Dziadów”, tej Juliusza Słowackiego z „Anhellego” i tej z malarstwa Artura Grottgera. Ten mroczny ton polskiej „drogi przez mękę” od czasu do czasu tutaj pobrzmiewa, ale Autor nie pozwala mu zdominować całej relacji. Jednocześnie możemy dostrzec, że Autor jak gdyby polemizuje z tą anhelliczno-grottgerowską tradycją, przełamuje ją, zastępuje ją nowym cyklem symboliki narodowej. Jakby na przekór tej wpojonej tradycji nieludzkiego, mrocznego pustkowiecia Autor zaznacza, że nie jest to bynajmniej pustkowiecie, ale świat zasiedlony żywymi ludźmi, którzy zachowują dobre i złe cechy ludzkie nawet w świecie północnego Gułagu. Zaznacza też, że w gruncie rzeczy jest to ziemia piękna, a ludzie – dobrzy. On sam i jego towarzysze to nie klasyczni męczennicy, bierne ofiary. Wręcz przeciwnie, ci ludzie wepchnięci w nieludzkie warunki chcą żyć, walczą o życie i o stworzenie sobie możliwie najznośniejszych warunków. I nie dotyczy to tylko więźniów, tych na samym dole. Również ci względnie uprzywilejowani, nawet sami dozorczy – też czują się do pewnego stopnia skazanymi ofiarami systemu, co więcej, mają często silną świadomość, że lada dzień sami mogą trafić do łagru w charakterze więźnia, a więc przepaść między nimi i więźniami nie jest aż tak absolutna.

Te zasadniczo złe cechy „tych z góry” – to cechy walczącego o byt zwierzęcia, wyszarpującego pokarm słabszym – bez szczególnego sadyzmu, bez emocjonalnego zaangażowania w programowe szkodzenie więźniom. Ot, posłuszni urzędnicy-wykonawcy, przy okazji często skorumpowani i żerujący na więźniach. Nie dostrzegamy w tym gronie jakichś zacierzwionych fanatyków-ideowców. Widzimy za to zanik zmysłu moralnego, gdy kradzież tego, co się należy innym, wydawała się pewnym ludziom zdrową troską o siebie i swoich (postać lejtenanta Barana). Inną historią są opisane przypadki więźniów kryminalnych, bestialskich w swym okrucieństwie i szerzonym terrorze, ale też zasadniczo po to, aby lepiej przeżyć. Ta hierarchia wzajemnych współzależności, oprawców i ofiar, beznadziejnie uwikłanych w pajęczęć sieci Systemu – to pewna ważna nowość w polskim spojrzeniu na świat Gułagu.

Na tym tle Autor (wraz z towarzyszami łagrowej pracy) jawi się naszym oczom nie jako bezwolny męczennik, przytłoczony rozpaczą i melancholią. Wręcz przeciwnie, nabiera cech dobrego, prometejskiego tytana, niosącego pomoc słabszym – przegranym, cierpiącym i bezsilnym. To człowiek niesłuchanie aktywny, a zarazem niezwykle skromny, któremu duma z własnej siły i „pozytywności” ani na chwilę nie uderza do głowy. To wręcz dobroczynny cywilizator, nie tylko dla więźniów, ale i dla całej okolicy – który dzięki swym kwalifikacjom przemienia dziką, zabita dechami północną głusz w załączkowe ognisko współczesnej higieny i opieki zdrowotnej, cywilizacji i nawet kultury (działalność kulturalna Sobolewskiego z więźniami to osobny rozdział). Przynosi więc tej ziemi bardo realne dobro – i nie płynie ono tylko z wymuszenia przez władze.

Wizja zesłania i obozu traci w ten sposób swoje cechy tragicznego romantyzmu – staje się zasadniczo pozytywistyczna, zawiera też ziarno jakiegoś egzystencjalistycznego optymizmu, nawet wbrew nadziei. Przypomina się Albert Camus i jego „Dżuma”. A także jakże polscy bohaterowie Żeromskiego – doktor Judym i młoda nauczycielka z „Siłaczki”. W najgorszych nawet warunkach ma

u Sobolewskiego zastosowanie trudna, ale i heroiczna etyka ludzkiego zaangażowania, ludzkiej powinności walki o dobro człowieka, mimo wszystko. Takie przesłanie zdaje się nieść ta relacja „aktywnego łagiernictwa” więźnia- lekarza.

To prawda, że dużo tej aktywności – i względnej swobody działania – zawdzięcza swojej wyjątkowej pozycji lekarza w sowieckim systemie łagrowym. Gdyby nie to, jego los łagiernika byłby o wiele bardziej typowy i „klasyczny”, jako bezbronnej ofiary, skazanej na powolne wykończenie się. Jego działalność nie w pełni nadawała się na masowy powielany wzorzec zachowania „zeka”. Dla porównania niewolnik-drwał, podobnie zaangażowany w wyrąb sowieckiego lasu, robiłby wrażenie śmieszne. Różnica polega na tym, że praca łagrowego lekarza miała dwa aspekty – przede wszystkim pracy dla ludzi, zgodnej z lekarskim powołaniem, a dopiero w drugim planie dla zbrodniczego systemu. A więc łagrowa postawa Kazimierza Sobolewskiego, oparta na aktywnej pomocy innym – nadaje się jak najbardziej na wzorzec.

Ta postawa lekarza-humanisty mocno rzutuje na jego wojenny i obozowy stosunek do innych nacji, co może zaskakiwać, jeżeli się zważy, że ruchowi narodowemu (z którym się utożsamiał) gorliwie przyklejano etykietkę radykalnego, wojującego nacjonalizmu, ba! szowinizmu, dyskredytującego inne narody. Sobolewski nie jest bezkrytyczny wobec swoich, ani superkrytyczny wobec obcych. Nie czyni z Polski umęczonego Chrystusa, niewinnego i doskonałego. Jego wizja historii nie jest idealizacją. Wspomina błędy polityki polskiej na Kresach. Wytyka krótkowzroczność i nieodpowiedzialność polskich władz przedwojennych, z wyrzutem wspomina polskie nieprzygotowanie do wojny. Nie oszczędza rodaków. Podkreśla polską solidarność w obliczu najazdu, wytrwałość, przytomność umysłu, zimną krew i zaradność zwykłych ludzi w obliczu katastrofy, która wydawała się osiągać wymiary Apokalipsy. Wspomina też jednak przypadki donosicielstwa i zdrady, właśnie ze strony niektórych Polaków. Nie demonizuje gorliwszych i mniej gorliwych sojuszników Hitlera – Słowaków i Węgrów. Nie miota klątw, bardzo oszczędnie używa wielkich słów i emocjonalizmów. Gdy pisze o sowieckiej Rosji, nie mówi o ohydnej, „nie-ludzkiej ziemi”, zamieszkałej przez szatany w ludzkiej skórze. Nie ma tu (tak dzisiaj popularnej) stylizacji na Golgotę, nie ma atmosfery Apokalipsy i piekła.

Co do Ukraińców, ma duże zrozumienie dla ich desperacji, podsyconej także przez polskie błędy polityczne, wspomina Wielki Głód na Ukrainie sowieckiej. Pokazuje uwikłania ludzkie, pokazuje, w jaki sposób z egoizmu, ale i z rozpacz, krzywdy, indoktrynacji, z fałszywie rozumianej wspólnotowości – rodzą się agresja i nienawiść, jak rozpadają się więzi dobrosąsiedzkie, międzyludzkie (Polacy i Ukraińcy). Wspomina także, w epizodach więziennych i obozowych, sympatyczne sylwetki Ukraińców, a także przedstawicieli innych grup etnicznych. Uderza tu jakiś niezadekretowany, spontaniczny, więzienny i obozowy lekarski „internacjonalizm” Autora, jakby niezamierzone odwrócenie oficjalnego internacjonalizmu bolszewików, z ukrytym efektem parodystycznym. Są tu ludzie różnych narodów i w każdym z opisanych znajduje ludzi bardzo dzielnych i dobrych, ale też upodlonych, sprzedających, zezwierzęconych, złych od podszewki. Nie podkreśla jakichś szczególnie złych „narodowych” cech samych Rosjan. Ba, rosyjski lejtenant Sasza wypada bardzo na korzyść w konfrontacji z witającą Autora na granicy polską jednostką wojsk specjalnych.

To ten Rosjanin wybronił przeciw Autora od kolejnej upokarzającej rewizji osobistej, tym razem ze strony rodaków, reprezentujących wytęsknioną Ojczyznę. Odzywa się tutaj rasowo literacka umiejętność dostrzeżenia i wychwycenia ukrytej ironii faktów i zdarzeń – w pojedynczym życiu ludzkim i w dziejach.

Na koniec poświęćmy trochę uwagi literackiej symbolice tytułu tej książki – „Droga do Polski”. Nie bez kozery przywołałem tutaj dla porównania pierwsze wielkie dzieło europejskiej tradycji literackiej „drogi” i „podróży” – „Odyseję” Homera. Analogie pomiędzy pamiętnikiem Sobolewskiego i „Odyseją” są pogłębione przez nieustannie pojawiający się, podskórny motyw osobistego związku kobiety i mężczyzny, skazanych na rozłąkę i nie dającą się spełnić tęsknotę. Już więc przedchrześcijańska grecka Odyseja zawiera w sobie wymiar symboliczny – tułaczka powojenna Odysa po morzach i wyspach, jego niekończący się powrót do Itaki współbrzmi z rozwojem duchowym bohatera, z jego dojrzewaniem do roli głowy rodziny, męża, ojca, gospodarza, króla. Podobnie jest z innym starogreckim mitem, który nie znalazł swojego genialnego Homera – z wędrowną Argonautów po Złote Runo. W odległej starożytności naszego kontynentu motyw drogi sprzął się silnie z motywem rozwoju, dorastania, dojrzewania, kolejnych prób charakteru – z symboliką typu psychologicznego. Chrześcijaństwo tę symbolikę pogłębiło, wzbogacając ją o egzystencjalny wymiar *homo viator*, człowieka – wiecznego pielgrzyma, zdążającego do sakralnego centrum i doznającego oczyszczenia w swojej pielgrzymce.

Można się domyślać, że w wyborze tytułu odezwała się tutaj u Autora swości polska tradycja mickiewiczowska – wzorzec „Polaka-pielgrzyma”, nasuwający na myśl kodeks honorowy jakiegoś rycerskiego zakonu. Znamy go z III części „Dziadów”, z „Pana Tadeusza”, z „Ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego”. Ta ponadczasowa wspólnota polskich losów łączy Mickiewicza i polskiego lekarza Kazimierza z XX wieku. Wspólne są tu wątki uwięzienia, skazania, zesłania za to, że jest się Polakiem-patriotą. Zdarzyło się, że niegdysiejszy wchodzący w życie młodzieniec Kazimierz wyjechał w 1939 roku za granicę i po powrocie nie zastał już dawnej Ojczyzny – odeszła, przeorana okupacyjnymi kordonami. Do nowej Ojczyzny – takiej, jaka realnie wtedy mogła zaistnieć po katastrofie – droga była długa i bolesna. Była okresem prób charakteru i postawy moralnej, była okresem rozwoju i sprawdzania jego człowieczeństwa.

Zapewne też Autorowi nasunęła się tutaj mickiewiczowska myśl, że nie wystarczy urodzić się Polakiem, członkiem pewnej wspólnoty etnicznej i językowej, na pewnym terytorium; że słowa „Polak” i „Polska” znaczą coś więcej, mają wymiar symboliczny i wręcz metafizyczny, na ogólnym tle kondycji ludzkiej. Samo bycie Polakiem staje się rodzajem życiowego powołania, jakby wtajemniczenia w swoiste, niezrozumiałe dla obcych, misterium. Do miana Polaka i do Polski trzeba dorosnąć, dojrzeć. Trzeba sobie na to zasłużyć, także przez cierpienie, przez osobiste ofiary. I tutaj polski bohater pozytywistyczny, rodzaj obozowego Judyma – jednoczy się w końcu z typowo polskim bohaterem romantycznym.

Ale to już nie jest żadna literacka sztuczka pamiętnikarza. Taka pointę dopisał jego polski los. I od tej chwili pozostaje mi już tylko zaprosić do lektury.

Mirosław Grudzień

- **Piotr Cichoracki, *Stołpce-Łowcza-Leśna 1924. II Rzeczpospolita wobec najpoważniejszych incydentów zbrojnych w województwach północno-wschodnich*, Łomianki, s. 340 + 25 fot.**

Zawarcie traktatu pokojowego w Rydze nie doprowadziło niestety do uspokojenia sytuacji na ziemiach wschodnich RP. Jeszcze przez kilka lat rozbrzmiewały tam strzały i ginęli ludzie. Władze sowieckie po przegranej wojnie z Polską zmieniły tylko metody, cel zniszczenie państwa polskiego, pozostał ten sam. Było to tym łatwiejsze, że tereny te w dużej mierze zamieszkane były przez mniejszości narodowe, częstokroć wrogo nastawione wobec państwa polskiego.

Książka wrocławskiego historyka Piotra Cichorackiego, przedstawia trzy najgłośniejsze akty dywersyjne dokonane przez przybyłe z terenu ZSRR oddziały na kresach północno-wschodnich II RP. Jest to swego rodzaju praca pionierska. Przed 1989 rokiem wątek sowieckich akcji dywersyjnych nie był zbyt mocno eksponowany, z oczywistych względów, w ówczesnej literaturze. Dopiero po przemianach politycznych kwestia ta zaistniała szerzej na łamach polskiej historiografii.

Książka została podzielona na cztery rozdziały. W rozdziale pierwszym przedstawiono stan bezpieczeństwa panujący w województwach północno-wschodnich między rokiem 1921, a 1924. Działalność oddziałów dywersyjnych przede wszystkim sowieckich powodowała wzrost napięcia na tych terenach. Nie bez znaczenia były nie najlepsze posunięcia władz państwowych. Od 1921 roku porządku i bezpieczeństwa w powiatach przygranicznych pilnowały kolejno bataliony celne podległe Ministerstwu Skarbu, straż graniczna podległa Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a potem policja państwowa również podlegająca temu resortowi. Sytuacji nie poprawiały też spory kompetencyjne pomiędzy odpowiedzialnymi za stan bezpieczeństwa w strefie przygranicznej formacjami MSW a wojskiem, oraz wzrastające napięcie w stosunkach międzynarodowych. Jak pisze autor, od początku 1924 roku pracujący w Mińsku polscy dyplomaci alarmowali Warszawę o formowaniu na terenie Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej oddziałów dywersyjnych, przeznaczonych do akcji na ziemiach polskich. Zapowiedzią opisywanych wydarzeń był jak się wydaje napad na Wiszniewo w nocy 18/19 lipca 1924 roku, położone w województwie Nowogródzkim. Jak stwierdza Cichoracki w tym wypadku miano do czynienia z nową jakością. Napastnicy byli dobrze uzbrojeni, zwłaszcza w broń maszynową. Wydarzenie to wywołało wreszcie oczekiwaną reakcję władz w Warszawie, które w związku z coraz bardziej napiętą sytuacją rozszerzyły kompetencje inspektora Armii w Wilnie generała Edwarda Rydza-Śmigłego. Już w kilka godzin później, jak pisze autor, rzeczywistość brutalnie zweryfikowała podjęte środki zaradcze.

W rozdziale II przedstawione zostały wydarzenia związane z atakiem na Stołpce. Został on podzielony, podobnie jak następne, na podrozdziały, w których przedstawiono: sytuację przed atakiem, jego przebieg, pościg i schwytanie niektórych sprawców, wnioski, jakie wyciągnęły władze z przebiegu opisywanych wydarzeń oraz echa jakimi odbiły się one w Polsce jak i w ZSRR. Kontrowersje jak pisze, budzi już sam cel akcji. Czy był to tylko zwykły akt dywer-

sji obliczony na destabilizację sytuacji społeczno-politycznej, czy też coś więcej? Wśród więźniów uwolnionych ze stołpeckiego aresztu było bowiem dwóch wysokich rangą funkcjonariuszy Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, zarazem delegatów na V kongres Kominternu Józef Łochinowicz i Stefan Mertens. Ta sprawa nie jest do końca jasna. Prawdopodobnie władze polskie nie wiedziały, kim są obaj zatrzymani w strefie nadgranicznej. Dopiero w 1928 roku polski wywiad uzyskał informacje, że jednym z celów akcji było uwolnienie wysokiego rangą działacza komunistycznego wspomnianego Józefa Łochinowicza.

Dużo miejsca poświęcono również akcji pościgowej prowadzonej przez wojsko i policję. Pomimo zaangażowania stosunkowo licznych sił udało się ująć zaledwie kilku podejrzanych, z których przed sądem stanęło ostatecznie trzech, Piotr Joda, Edward Kaczmarczyk i Mikołaj Goraczko. Przebieg napadu został odtworzony głównie dzięki obszernym zeznaniom jakie złożył Piotr Joda. On też został ułaskawiony przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, a karę śmierci zamieniono mu na karę więzienia. Wobec Goraczki i Kaczmarczyka prezydent nie skorzystał z prawa łaski, obaj zostali skazani na karę śmierci i straceni.

Wydarzenia w Stołpcach zmusiły władze do poważnego potraktowania kwestii bezpieczeństwa. Między innymi na polecenie inspektora armii generała Edwarda Rydza-Śmigłego przesunięto w strefę nadgraniczną dodatkowe formacje kawalerii. Było to niewątpliwie trafne posunięcie. Fatalny stan dróg powodował, że tylko kawaleria mogła w miarę szybko przybyć na miejsce potencjalnego napadu. Autor pisze też, że władze zaczęły zwracać baczniejszą uwagę, na dobór i wyposażenie policjantów kierowanych do służby w województwach północno-wschodnich. Różnorodne działania władz, mające doprowadzić do poprawy sytuacji, przyniosły niestety tylko połowiczne skutki. Choć akcja o takiej skali, jak napad na Stołpce nie miała już miejsca, to do ustabilizowania sytuacji było jeszcze daleko.

Pokazały to dobitnie wydarzenia z dnia 24 września 1924 roku. Wtedy to bowiem grupa dywersyjna dokonała napadu na pociąg pod Łowczą. Dla ówczesnych polskich władz był to policzek, ponieważ w pociągu znajdowało się wielu prominentnych pasażerów m.in. ówczesny wojewoda poleski Medard Downarowicz, biskup Zygmunt Łoziński, czy senator Bolesław Wysłouch. Napastnicy po dokładnym obrabowaniu pociągu i pasażerów rozpoczęli pośpieszny odwrót. Wydarzenie to było tym bardziej kompromitujące, że w składzie pociągu znajdował się wagon z uzbrojonymi policjantami, a wśród pasażerów byli też uzbrojeni żołnierze i oficerowie. Niektórzy z nich próbowali ostrzeliwać napastników, jednak szybko zostali zmuszeni do przerwania ognia.

W wyniku działań pościgowych podjętych przez stronę polską udało się zatrzymać kilka osób. Po żmudnym postępowaniu sądowym większość z nich została skazana na kary więzienia, trzech sprawców otrzymało wyroki śmierci. Wydaje się, że osobą najbardziej poszkodowaną w tych wydarzeniach był wojewoda M. Downarowicz. Kilka dni później został zmuszony do dymisji i już nigdy nie powrócił do pracy w administracji państwowej.

W rezultacie opisywanych wydarzeń, jak informuje autor omawianej tu książki, postanowiono nie tylko dołączać do składów pociągów wagony z uzbrojoną eskortą ale także wzmocnić placówki wywiadowcze i kontrwywiadowcze, ukierunkowując je na zwalczanie działalności dywersyjnej. Ponadto

podjęto decyzję o przyśpieszeniu przejmowania ochrony granicy i strefy przygranicznej przez nowo formowane oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza.

Niestety także i te środki nie doprowadziły do przywrócenia porządku. Do kolejnego napadu, jak pisze autor, doszło 3 listopada 1924 roku pod Leśną. Zaatakowano wtedy pociąg relacji Baranowicze-Brześć. Sytuację napastników ułatwił fakt, że w składzie pociągu brak było wagonu z uzbrojoną eskortą. Podobnie jak pod Łowczą napastnicy doszczętnie obrabowali zarówno pociąg, jak i pasażerów. W wyniku działań podjętych przez wojsko i policję zatrzymano kilka osób, rozpoznanych jako uczestnicy napadu. Z tej grupy skazano 8 osób, cztery na karę śmierci, pozostałych na karę dożywotniego więzienia.

Napad na pociąg pod Leśną był, jak pisze autor, jednym z ostatnich tego typu na Kresach. Wzmocnienia praca wywiadu i kontrwywiadu, działania nowopowstałego KOP-u spowodowały znaczący spadek tego typu incydentów. Ważnym jest również fakt, że władze w Moskwie zrezygnowały z prób eksportu rewolucji na zachód, z czym bezpośrednio była związana wzmożona działalność dywersyjna na Kresach Wschodnich. Nie bez znaczenia była także nasilająca się walka o władzę w samym ZSRR oraz narastające kontrowersje pomiędzy sowiecką policją polityczną a wywiadem wojskowym.

Ta niezwykle interesująca książka została oparta w zdecydowanej większości o akta polskiej proweniencji, znajdujące się w archiwach polskich i białoruskich. W dużym stopniu wzbogaca naszą wiedzę na temat wydarzeń, jakie miały miejsce na obszarze kresów północno-wschodnich II RP tuż po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej. Niewątpliwie nie wyczerpuje ona tematu, sam autor zwraca uwagę, że wiele interesujących materiałów może znajdować się w archiwach dawnych sowieckich służb specjalnych, na Białorusi i w Rosji, do których obecnie polscy badacze nie mają niestety dostępu.

Praca została wzbogacona o liczne fotografie, w aneksach autor zamieścił archiwalne dokumenty dotyczące omawianych wydarzeń. Należy mieć nadzieję, że miarę upływu czasu dostęp do archiwów zawierających akta proweniencji radzieckiej zostanie otwarty i wiele przypuszczeń i hipotez postawionych przez autora, doczeka się wreszcie ostatecznego wyjaśnienia.

Tomasz Dudek

- **Krzysztof Walaszczyk, *Środkowy Wschód w latach II wojny światowej. Relacje i działania polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Iranie, Iraku i Afganistanie*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 494.**

Wybuch II wojny światowej spowodował pojawienie się dużych skupisk uchodźców cywilnych i wojskowych w różnych rejonach świata, nawet takich, o których przeciętny mieszkaniec II RP wiedział bardzo niewiele. Jednym nich był obszar Środkowego Wschodu obejmujący tereny Persji (dzisiejszego Iranu), Iraku i Afganistanu. Także polska dyplomacja w tym czasie nie przejawiała specjalnego zainteresowania tym obszarem. Świadczyć może o tym m.in. fakt, że polskie poselstwo umiejscowione było tylko i wyłącznie w stolicy Persji, a swoim zasięgiem obejmowało również teren Iraku i Afganistanu. Sytuacja

zmieniła się po wybuchu II wojny światowej, kiedy wszystkie trzy kraje, z różnych zresztą względów, zajęły ważne miejsce w polityce polskiego rządu na uchodźstwie.

Prezentowana praca została podzielona na trzy odrębne części, w których autor omawia działalność polskich placówek dyplomatycznych na terenie wymienionych krajów. Najwięcej miejsca poświęcił w swoich rozważaniach sytuacji i działalności polskiej placówki w Teheranie. Po wybuchu wojny, jak pisze, sytuacja polskiej placówki stała się bardzo trudna. Naciski i wzmożona propaganda hitlerowska i sowiecka powodowały znaczne utrudnienia w jego działalności. Paradoksalnie, rozpoczęcia wojny niemiecko-sowieckiej spowodowało znaczący wzrost znaczenia teherańskiej placówki. Miasto, jak i cały obszar ówczesnej Persji, stało się areną zaciętej walki wywiadowczej i propagandowej między sowietami, Brytyjczykami, Niemcami i Polakami. W 1942 roku na teren Persji ewakuowano przeszło 115 tysięcy cywilów i żołnierzy z ZSRR. Przybycie wychodźców spowodowało, że na terenie Persji powstały nowe polskie instytucje, takie jak np. delegatura Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Autor nie bez racji zwraca uwagę, że nadmierny wzrost liczby instytucji polskich, prowadził tylko i wyłącznie do sporów kompetencyjnych. Nie dotyczyło to jednak nowo powołanego attachatu wojskowego, którego głównym zadaniem było godne reprezentowanie wojska polskiego wobec władz brytyjskich o perskich. Autor zwraca również uwagę na drugi istotny aspekt jego działalności. Teheran był bowiem doskonałym miejscem obserwacji sytuacji militarnej, politycznej, społecznej i gospodarczej ZSRR. Stało się to szczególnie ważne po zerwaniu przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie. Wtedy to również nasiliły się ataki propagandowe, skierowane przeciwko polskim władzom ze strony Sowietów. Krzysztof Walaszczyk zwraca uwagę na udział w tej swoistej polsko-sowieckiej wojnie propagandowej, placówki Związku Patriotów Polskich w Teheranie, kierowanej przez Władysława Matwina. Wysiłki Matwina i jego kolegów zakończyły się kompletnym fiaskiem. Dla ludzi, którzy przeszli przez piekło sowieckich obozów, pozostawiając niejednokrotnie na bezkresnych obszarach ZSRR groby swoich bliskich, myśl o jakakolwiek współpracy z sowietami i ich agenturą, za jaką powszechnie uważano ZPP, była nie do przyjęcia. Autor zwraca również uwagę, na fakt, że ewakuacja Armii gen. W. Andersa i jej przybycie na teren Persji w pewien sposób utrudniało prowadzenie proradzieckiej propagandy wśród samych Irańczyków. Widok, biednych, obdartych i schorowanych rzesz uchodźców, znacznie osłabił proradzieckie nastroje w tym kraju. Było to tym bardziej istotne, że władze perskie obawiały się agresywnych zamiarów stalinowskiej Rosji. Ostatecznie polskie placówki zostały zlikwidowane latem 1945 roku, po uznaniu nowego rządu w Warszawie przez mocarstwa zachodnie, zaś przebywający jeszcze w tym kraju Polacy udali się na dalszą tułaczkę. Doświadczenia z pobytu w ZSRR spowodowały, że tylko nieliczni powrócili po wojnie do kraju.

W drugiej części, niniejszej publikacji, została omówiona działalność polskiej placówki w Bagdadzie. W okresie międzywojennym siedziba polskiego poselstwa znajdowała się w Teheranie. Dopiero po wybuchu wojny powstał w Bagdadzie polski konsul, kierowany przez Zygmunta Vetulaniego. Jego głównym zadaniem była obserwacja penetracji politycznej III Rzeszy i ZSRR w Iraku oraz sytuacji wewnętrznej tego kraju. Konsul prowadził też intensywną

działalność propagandową na rzecz sprawy polskiej w środowiskach irackich. Placówka została ostatecznie zlikwidowana z powodów finansowych w marcu 1940 roku. Dopiero w 1943 roku powstało polskie poselstwo w Bagdadzie, kierowane przez Henryka Malhomme, byłego pierwszego sekretarza ambasady polskiej w Berlinie. W przeciwieństwie do sąsiedniej Persji, na terenie Iraku znalazły się tylko oddziały Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie. Brak było natomiast uchodźców cywilnych. Sporym kłopotem dla polskich dyplomatów były przejazdy zorganizowanych grup obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, udających się do Palestyny. Nie trzeba dodawać, że silne już wtedy nastroje antysemityczne w samym Iraku powodowały wzrost napięcia we wzajemnych stosunkach. Trzeba jednak powiedzieć, że podobnie jak w sąsiedniej Persji i mimo początkowej rezerwy, stosunki z miejscową ludnością ułożyły się bardzo dobrze. Po opuszczeniu Iraku przez oddziały II korpusu w kraju tym pozostały jeszcze nieliczne formacje tyłowe. Działalność polskiej placówki skupiała się wówczas na prowadzeniu akcji na rzecz sprawy polskiej w samym Iraku. Polacy pozostawili tam, jak się wydaje, chyba dobre wspomnienie po sobie. Jak pisze autor, na łamach irackiej prasy bardzo często znajdowały się wzmianki o Polsce i walkach żołnierzy polskich, szczególnie II korpusu, na frontach II wojny światowej. Po cofnięciu uznania rządu polskiego przez mocarstwa zachodnie, także placówka w Iraku przestała istnieć, zaś znajdujący się tam jeszcze Polacy opuścili ten kraj.

W trzeciej, najkrótszej części przedstawiono działalność polskich dyplomatów na terenie Afganistanu. Ten górzysty, pozbawiony bogactw naturalnych kraj podczas II wojny światowej stanowił arenę zaciętej wojny propagandowej i wywiadowczej pomiędzy Brytyjczykami i Polakami z jednej, Niemcami z drugiej i Sowietami z trzeciej strony. Stąd też duże znaczenie istniejącego w Kabulu od 1938 roku polskiego Konsulatu Generalnego. Duże zasługi w prowadzeniu działalności wywiadowczej miał kierujący nim w latach 1940-1945 kpt. Michał Telatycki. Dzięki niemu władze polskie nie tylko otrzymywały informacje o sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej w republikach środkowoazjatyckich ZSRR, ale także w samym Afganistanie. Siatka wywiadowcza, kierowana przez Telatyckiego, oparta o przebywających w tym kraju polskich inżynierach, umożliwiała planowanie przez Brytyjczyków posunięć dyplomatycznych, których celem było zapobieżenie przejściu tego kraju do radzieckiej strefy wpływów. Innym równie ważnym zadaniem polskiej placówki była pomoc Polakom przebywającym w ZSRR, oraz setkom uciekinierów, którzy po zawarciu układu Sikorski-Majski, chcąc jak najszybciej wyrwać się z radzieckiego piekła, nielegalnie przekraczali granicę afgańską. Po przesłuchaniu przez afgańskie władze, byli oni kierowani do polskiego konsulatu w Kabulu a stamtąd do Indii.

Ta interesująca książka niewątpliwie w znaczący sposób poszerza nasze informacje o działalności polskiej dyplomacji na Środkowym Wschodzie w latach II wojny światowej. Autor wykorzystał w pracy akta polskich władz emigracyjnych przechowywane w Instytucie Władysława Sikorskiego, które stanowiły podstawę źródłową niniejszego opracowania. W mniejszym stopniu wykorzystał akta polskiego poselstwa w Teheranie znajdujące się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, papiery profesora Stanisława Kota ze zbiorów Zakładu Historii Ruchu Ludowego, czy papiery generała Władysława Andersa ze zbiorów Instytutu Hoovera w Stanford. Ponadto wykorzystano liczne źródła

drukowane, takie jak pamiętniki, wspomnienia, czy też wydane drukiem protokoły posiedzeń rządu emigracyjnego. W niewielkim stopniu wykorzystano natomiast prasę, co jak się wydaje wynika przede wszystkim z nienajlepszego stanu zachowania poszczególnych tytułów polskich czasopism wydawanych na Środkowym Wschodzie. Należy wyrazić wdzięczność autorowi za napisanie tej książki. Jest to tym bardziej interesujące, w kontekście ponownej obecności wojska polskiego w tym obszarze świata po 11 września 2001 roku. Dlatego sądzę, że nie tylko osoby zainteresowane historią, ale także związane pracą zawodową z tym rejonem Azji powinny sięgnąć po tę książkę.

Tomasz Dudek

- **Stefania Skowron-Markowska, *Z Oksfordu na Syberię. Dziedzictwo naukowe Marii Antoniny Czaplickiej*, Oficyna Wydawnicza „Biblioteka Zesłańca”, Wrocław 2012, s. 294.**

Prezentowana książka opublikowana przez Oficynę Wydawniczą „Biblioteka Zesłańca” wpisuje się w kanon polskiego dziedzictwa naukowego na Syberii dotyczącego obrazu kultury jej autochtonicznych etnosów. W większości obraz ten jest pochodną zesłań Polaków za Ural i takie nazwiska jak Benedykt Dybowski, Józef Kowalewski, Edward Piekarski, Bronisław Piłsudski czy Wacław Sieroszewski zaliczane są do osiągnięć Polaków w zakresie badań języka i kultury tubylczych ludów Syberii. W odniesieniu zaś do dorobku etnograficznego Marii Antoniny Czaplickiej mamy do czynienia nie z zesłańcym, lecz z celowym wyjazdem na Syberię w ramach tzw. jeniejskiej ekspedycji etnograficznej (1914-1915), którą kierowała ona z ramienia brytyjskich środowisk naukowych. Było to przedsięwzięcie wyjątkowo trudne, a jego naukowe echa, pobrzmiewają do dzisiaj w etnologicznej literaturze i nadal przynoszą naręcze pozytywnych opinii.

Narracja książki wiedzie poprzez biografię M. A. Czaplickiej, jej dziedzictwo naukowe i jego recepcję w etnologii. W warstwie fabularnej autorka książki odwołuje się też do emigracyjnej uciążliwości egzystencjalnej swej bohaterki, niespełnionych uczuć i rozczarowań miłosnych, podobnych rozczarowań związanych z oczekiwaniem na stabilność zawodową i chwilę spokoju by móc pracować naukowo. To wszystko wskazuje na poczucie zagubienia, smutku i goryczy, które w istocie doprowadziły ją do dobrowolnego rozstania się z życiem 26 maja 1921 roku. Gdy zamknąłem ostatnie kartki tej książki, powracałem potem jeszcze parokrotnie do niektórych jej stron. I pomyślałem wówczas, że życie M. A. Czaplickiej zasługuje na pełniejszy opis, rzecz można na powieść biograficzną, która z pewnością zainteresuje czytelników. Jednak, kto i kiedy to uczyni?

Grób M. A. Czaplickiej znajduje się na cmentarzu Wolvercote w Oksfordzie, niestety zaniedbany i bez jakiegokolwiek opieki. Mam nadzieję, że te ostatnie zdanie zabrzmi jak Apel skierowany do Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Wielkiej Brytanii oraz Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie by otoczyły opieką jej grób. Czas mija i zaciera ślady, warto to powstrzymać. Sp. Maria Antonina na to bezwzględnie zasługuje!

Antoni Przesmycki

**„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przede wszystkim radosna.”**

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberią, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władystok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

Wiesław K r a w c z y ń s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

**Oferta wydawnicza
dla Oddziałów i Kół Związku Sybiraków
oraz Szkół im. Zesłańców Sybiru**

Nakładem serii wydawniczej „Biblioteka Zesłańca” Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu ukazała się interesująca książka pt. *Polacy w guberni archangielskiej w XIX i XX wieku*, pod red. naukową Antoniego Kuczyńskiego i Mirosława Marczyka. Publikacja stanowi pokłosie międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Szeroki chronologicznie zakres książki uwzględnia dzieje zesłań Polaków na obszary guberni archangielskiej dotyczące okresu XIX stulecia (powstanie listopadowe i styczniowe) oraz stanowi bogate kompendium wiedzy odnoszące się do sowieckich deportacji w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu.

Tematyczny pluralizm publikacji decyduje o jej wartości naukowej oraz wypełnia dotkliwą lukę w polskich badaniach nad losami Polaków w tej części rosyjskiego imperium. Wśród członków Związku Sybiraków jest wiele osób, które przebywały na zesłaniu w obwodach archangielskim i wołogodzkiem. Już choćby z tego powodu książka powinna znaleźć się w podręcznym księgozborze Oddziałów i Kół Związku Sybiraków, w bibliotekach szkół noszących im. Zesłańców Sybiru a także trafić do osób i ich rodzin, których zesłańczy los łączył się z tymi rejonami Związku Sowieckiego. Zachęcamy do sięgnięcia po lekturę tej naprawdę wartościowej książki.

*

Zainteresowanych nabyciem książki polecamy kontakt:

**Polskie Towarzystwo Ludoznawcze
ul. Szczytnicka 11; 50-382 Wrocław
Tel.71/321-16-10; fax: 71/ 321-16-14
e-mail: ptl@ptl.info.pl**